

Czas zacząć kolejne wakacje w Azji. W tym roku będzie to wyjazd do krajów „cywilizowanych”, czyli Korei i Japonii. Trochę się tego wyjazdu obawiam ze względu na to, że są to kraje wysokorozwinięte, o bardzo dużej gęstości zaludnienia. Ten cały miesiąc spędzimy właściwie głównie w miastach, co mnie za bardzo nie cieszy. Ale może będzie jakieś zaskoczenie? Czy zobaczę jednak jakąś wieś z prawdziwego zdarzenia? Czy będzie odpowiadać mi kuchnia japońska i sushi? Czy kraje te są tak elektroniczne jak nam się wydaje? Czy Japończycy tak chronią swoją skórę przed słońcem i noszą maseczki? Na pewno nie mogę doczekać się wizyty na granicy obu Korei i zestawienia jej z zeszłoroczną wizytą na granicy Indie-Pakistan. Ciekawie wygląda wyspa Jeju w Korei z licznymi wulkanami i jaskiniami. W Japonii ciekawią mnie gejsze, „przebierańcy” w postaci lolit i cosplayów. No i na pewno wyspa Hokkaido, która może różnić się znacząco od reszty kraju. Na pewno w tym roku nie będzie problemów z przemieszczeniem się... dzięki japońskim pociągom, które mkną po szynach niczym pocisk. Na pewno nie będzie tak tanio, jak było na ostatnich wyjazdach... No to ruszamy w drogę, aby znaleźć odpowiedzi na nasze pytania.

### **17 lipca (nadziela)**

O 7 wychodzimy z domu. Podjeżdża taksówka. Szybciutko jedziemy na dworzec kolejowy, z którego mamy pociąg do Warszawy o 7:44. Wyjeżdżamy w deszczu, który padał już całą noc. Chwilę po 10 rano docieramy do stolicy. Tu spotykamy się na kilka godzin z rodziną i odwiedzamy fantastyczne miejsce pokazujące jak żyją ludzie niewidomi. Są to pomieszczenia w których jest totalnie ciemno. Każdy z nas czuje się jakby był niewidomy. Poszczególne pomieszczenia – kuchnia, łazienka, pokój, parking samochodowy, czy sklep, a nawet salę muzealną trzeba poznawać za pomocą dotyku lub węchu. Naszym przewodnikiem jest osoba niewidoma. Najgorsze jest miejsce naśladowujące ulicę z parkingiem i sklepami. Naprawdę niesamowite odczucia.

O 13 jesteśmy na lotnisku. Szybkie nadanie bagaży, odprawa paszportowa, choć tu trochę to trwa bo jest jakiś protest służby lotniskowej i wcale im się nie spieszy.

Wsiadamy do samolotu o 14:30, ale wylot opóźnia się o pół godziny. Zamiast wylecieć o 15:00, wylatujemy o 15:30. Przed nami 5 godzin i 25 minut lotu. Lot przebiega bez problemów. Jemy obiad, jak zwykle obfity, bo i ciasteczko, i sałatka, no i kurczak curry, bułeczka, napoje, a potem jeszcze pojawiają się waniliowe lody. Dolatujemy do Dubaju po 5 godzinach i 17 minutach, czyli udało nam się nadrobić 8 minut spóźnienia. Nie ma to praktycznie żadnego znaczenia, bo mamy na tym lotnisku przerwę 4 godzin i 53 minut. Na lotnisku niewiele się zmieniło oczywiście pojawiają się nowe ekskluzywne sklepy i unowocześnienia lotniska. Co ciekawe przylecieliśmy na terminal A i również z niego mamy odlot do Seulu, więc tym razem nie musimy jeździć między terminalami szybką kolejką.

Przez to, że przerwa jest tak długa linie Emirates dają vouchery na darmowy posiłek do zrealizowania w wybranych restauracjach na lotnisku. Przerwa między lotami musi być ponad cztery godziny, aby taki posiłek otrzymać. Mamy swoją ulubioną restaurację, która zmieniła nazwę na Mezzazine. Jest o tyle fajna, że jest bufet z różnymi kuchniami świata. Dlatego też po przejściu sklepów z wszystkim co możliwe, łącznie z samochodami, minięciu osobiwej reklamy, że można wygrać 1,5kg złota poszliśmy do Mezzazine na jedzonko. Oczywiście zjedliśmy międzynarodowy misz masz od europejskiej sałatki, przez arabski humus po indyjskie curry i dal.

O 2 lokalnego czasu przeszliśmy pod nasz gate. Dookoła masa ludzi, że ciężko wolne miejsce znaleźć do siedzenia. Lubię Dubaj, bo jest taki międzynarodowy. Spotyka się tu cały świat.

Barwne stroje Hindusek, niesamowite fryzury mieszkank Afryki, no i różne stroje z krajów arabskich.

Czas wsiadać do samolotu. Po raz drugi mam okazję lecieć dwupiętrowym samolotem. Mimo tego, że samolot mieści około 550 pasażerów, to zapakowanie ich wszystkich trwa naprawdę niedługo. Już kilka minut po 3 czasie dubajskiego siedzimy na swoich miejscach w samolocie. Lecą głównie Azjaci – Koreańczycy. Co ciekawe w 3 minuty zajęli miejsca, okutali się kocykami i podłączyli do zasilania. Albo ładują swoje komórki, albo podłączyli całe przenośne dyski... Kable... wszędzie wiszą kabelki... na 10 foteli, które mam w rzędzie 8 ma podłączone kabelki z czymś elektronicznym. Tylko ja i Paweł chwilowo odstajemy. Hmm widać, że jedziemy do elektronicznego kraju. Odlatujemy z 33 minutowym opóźnieniem.

Po półtorej godzinie pierwszy posiłek, choć jedzenie o tej porze to masakra. Organizm nie wie która jest godzina, a tu każą mu jeść coś co przypomina obiad.

Jednak po zjedzeniu posiłku udaje mi się dość szybko zasnąć i śpię prawie 5 godzin. Wykorzystuje do tego część zestawu podróznego z Emiratów, czyli naoczniki oraz słuchawki gdzie słucham muzyki, która zagłusza szum silników...

### **18 lipca (poniedziałek)**

Budzi mnie rano (????) o ile to można nazwać rano... stukot pojemników z jedzeniem i zapach posiłku. Czas znowu jeść. Na śniadanie jest omelet z fasolką i pieczarkami, bułeczka, serek, owoce i sałatka makaronowa z krewetkami. Mój żołądek zaczyna się buntować od tego samolotowego jedzenia. Po 7 godzinach i 46 minutach, mimo początkowego opóźnienia wylądowaliśmy w Seulu punktualnie o 16:59.

Bardzo dużo czasu schodzi nam na lotnisku. Wszędzie długie kolejki – do wyjścia, do odprawy paszportowej, aż w końcu sporo czasu zajmuje odbiór bagażu. Toteż całość zajmuje nam bagatela półtorej godziny. Potem szybko wybieramy z bankomatu trochę lokalnej waluty – wonów oraz szukam tradycyjnie planów Seulu, aby potem wykorzystać je do zadań na lekcjach.

Odnajdujemy odpowiedni pociąg do centrum Seulu i jedziemy jeszcze dobrą godzinę na stację Seoul Station. Po drodze gdy pociąg nie jedzie pod ziemią mamy okazję zobaczyć wielkie blokowiska. Jakoś posępnie wyglądają i przypominają zabudowę Hongkongu. Po dotarciu musimy jeszcze przejść jakieś 500m do naszego hostelu New Sun. Wychodzimy ze stacji metra, już zapadł zmrok, ale okolica to wieżowce, a poniżej nich stare niskie budynki z licznymi sklepikami. Połączenie starego z nowym. Ostatecznie do hostelu docieramy o 20:30. Nie pozostaje nam nic innego jak zjeść coś, umyć się i iść spać. Mimo tego, że sporo spaliśmy w samolocie, to jednak ponad 24-godzinna podróż z Krakowa swoje zrobiła. A jutro przecież zaczynamy zwiedzanie Korei od jednego z najważniejszych naszych punktów, czyli granicy Korei Południowej z Północną.

Korea Południowa jest niewielkim państwem leżącym w Azji Wschodniej w południowej części Półwyspu Koreańskiego. Korea Południowa cechuje się łagodnym klimatem, górzystym krajobrazem i wielką kontrastowością gospodarki względem swojego północnego sąsiada. Kraj należy do państw wysoko rozwiniętych, jego gospodarka rozwija się w szybkim tempie. Państwo powstałe po II wojnie światowej na terenach zajętych przez wojska USA. Republika Korei oficjalnie rości sobie pretensje do całego terytorium Korei.

Powierzchnia Korei Południowej wynosi: 99 tys. km<sup>2</sup>. Korea jest szeroka na około 250 km i długa na około 370 km. Korea Południowa graniczy z następującymi państwami: Korą Północną, a przez wody terytorialne z Japonią od wschodu i od południa oraz z Chinami od zachodu.

Korea Południowa zajmuje południową część Półwyspu Koreańskiego. Od wschodu kraj ten oblewają wody Morza Japońskiego, od południa wody Morza Wschodniochińskiego, natomiast do zachodniego wybrzeża przylega Morze Żółte. Koreę od Japonii oddziela szeroka na około 250 km Cieśnina Koreańska. Wschodnie wybrzeże kraju jest wysokie i wyrównane, gdzie jedyną większą zatoką jest zatoka Yöngil-man. Wybrzeże południowe i zachodnie jest riasowe i posiada liczne zatoki, m.in. Chinhae-man, Kwangyang-man, Posöng-man czy też Asan-man. Leżą tam też liczne półwyspy jak Yösu Pando czy T'aean Pando. Ponadto wzdłuż południowego i zachodniego wybrzeża ciągną się liczne przybrzeżne wyspy. Największe z nich to Namhae-do na południu i Anmyöñ-do na zachodzie.

Podłożem geologicznym Półwyspu Koreańskiego czyli też północnego sąsiada jest północno-wschodnia część platformy chińskiej. Na skład tego utworu składają się gnejsy, łupki i marmury. Miejscami tereny te przykryte są utworami paleozoicznymi. W czasie mezozoiku i trzeciorzędu, nastąpiły ruchy górotwórcze, które wypiętrzyły wschodnią część kraju, tworząc Góry Wschodniokoreańskie. Masyw ten jest zbudowany z pochodzących z prekambriu skał metamorficznych, głównie łupków, a także granitów.

Korea jest krajem górzysto-wyżynnym, gdzie 70% obszarów tego kraju stanowią góry. Wzdłuż północnej części Morza Japońskiego ciągną się wyżej wspomniane Góry Wschodniokoreańskie (pasmo T'aebaek). Góry posiadają urozmaiconą rzeźbę, a najwyższym ich szczytem jest Kyebang-san wysoki na 1577 m n.p.m. Ku południu Góry Wschodniokoreańskie rozdzielają się na pasma Kyöngsang i Sobaek. Pasma te zwane są także Górąmi Południowokoreańskimi. Znajduje się tam najwyższy szczyt kraju (kontynentalna część Korei) Cziri-san o wysokości 1915 m n.p.m. Pomiędzy tymi dwoma pasmami ciągnie się szeroka dolina rzeki Naktongan. Od głównego grzbietu Gór Wschodniokoreańskich odchodzą ku zachodowi niższe pasma gór: Kwangju i Ch'aryöng. Góry w Korei dzielą się na pasma, które rozdzielają doliny rzeczne pochodzenia tektoniczno-erozyjnego. Lokalnie rzeźbę gór uzupełniają formy krasowe. Wzdłuż zachodniego i południowego wybrzeża ciągnie się pas aluwialnych nizin, gdzie na ich obszarze znajdują się izolowane wzniesienia do wysokości około 700 do 800 m n.p.m. Na południe od Korei mniej więcej w odległości 100 km leży wyspa Jeju. Wyspa ta jest górzystą formacją pochodzenia wulkanicznego, gdzie znajduje się najwyższy szczyt całej Korei Południowej - wulkan Halla-san o wysokości 1950 m n.p.m.

Korea Południowa leży na przecięciu dwóch stref klimatycznych. Na większości powierzchni kraju panuje klimat umiarkowany ciepły, natomiast południowe krańce w tym wybrzeże, leżą pod wpływem klimatu podzwrotnikowego morskiego. Ogólnie klimat tego kraju posiada odmianę monsunową. Oznacza to, że na pogodę w Korei mają wpływ sezonowe wiatry - monsuny, charakterystyczne dla wielu regionów Azji.

Temperatury w kraju są na ogół łagodne, zwłaszcza w strefie nadbrzeżnej, gdzie na południowych krańcach kraju, aurę kształtuje ciepły Prąd Cuszimski. Temperatury są regionalnie zróżnicowane. Najzimniejszy jest styczeń, gdzie w Seulu na północy kraju temperatura średnia wynosi -4 °C, natomiast południowe regiony kraju cechują się temperaturami rzędu od 2 do 4 °C. Na wyspie Cheju wartości zimowe osiągają 6 °C. Jedynie tereny górskie są bardziej surowe, gdzie przyczyną jest wysokość nad poziomem morza. Latem, gdzie najcieplejszym miesiącem jest lipiec, temperatury są dość wyrównane. Północne regiony kraju reprezentują wartości około 23 °C, na południu zaś około 27 °C. W górach jest nieco chłodniej.

Korea Południowa jest krajem wilgotnym, gdzie notuje się duże ilości opadów, z tym że są to opady rozłożone dość nierównomiernie w ciągu roku. Maksimum przypada na okres letni, co wiąże się z wilgotnym monsunem wiejącym z Oceanu Spokojnego. Zimą opady są dość niskie, jednak w kraju nie występuje zjawisko pory suchej. Średnie wartości opadowe wynoszą od 1 250 mm na północy do 1 300 mm na południu. W górach zaś ilości opadów są wyższe maksymalnie do 1 500 mm rocznie. Zimą w górach pada śnieg, który także sporadycznie jest notowany na nizinach. Na samym południu kraju śnieg w zasadzie nie pada. Po koniec monsunu letniego wschodnie i południowe wybrzeże kraju jest nawiedzane przez niszczycielskie tajfuny. Okres tych zjawisk ma miejsce we wrześniu i w październiku, tuż przed nadejściem monsunu zimowego.

Sieć rzeczna Korei należy do zlewiska Oceanu Spokojnego, rzeki wypływają z Gór Wschodniokoreańskich i te które płyną na zachód uchodzą do Morza Żółtego, zaś te które płyną na południe kończą swój bieg w akwenie Cieśniny Koreańskiej. Sieć rzeczna jest gęsta, jednak rzeki są krótkie, pełne progów, bystrzy i wodospadów. W całym niemal swym biegu zachowują charakter górski, co oznacza, że żadna z rzek nie jest żeglowna. Ze względu na fakt istnienia cyrkulacji monsunowej, rzeki cechują się zmiennością swych wodostanów. W okresie letnim do częstych zjawisk należą lokalne powodzie.

Główna rzeka kraju to Naktong-gang (długość 512 km) uchodzi do Cieśniny Koreańskiej, kolejną ważną rzeką jest Han-gang (długość 488 km), która uchodzi do Morza Żółtego. W kraju nie ma większych jezior naturalnych. W górach zbudowano wiele sztucznych zbiorników m.in. P'aroho na rzece Pukhan-gang, rzeka ta jest dopływem rzeki Namhan-gang uchodzącej do Morza Żółtego.

Gleby są na ogół żyzne. Na północy dominują gleby brunatne - kambisole, w górach występują kambisole górskie. Południowe krańce Korei są pokryte kwaśnymi glebami ferralitowymi o czerwonej barwie, a dolinach rzek występują żyzne fluwisole. Część gleb na wybrzeżu zachodnim jest silnie zasolona.

Szata roślinna w Korei jest bardzo bogata, a co ważne dobrze zachowana, czego faktem jest to, że dwie trzecie kraju pokrywają lasy. Tereny leśne koncentrują się głównie w górach. Na północy kraju rosną lasy mieszane, gdzie drzewa zrzucają liście na zimę. W lasach tych rosną dęby mongolskie, kasztany japońskie, lipy amurskie i jesiony chińskie. W wyższych partiach gór lasy te przechodzą w lasy iglaste, gdzie powszechnym gatunkiem jest sosna koreańska. Na południu kraju rosną lasy zimozielone, czyli takie których drzewa nie zrzucają liści w porze zimowej. W lasach tych rosną wiecznie zielone dęby, natomiast w wysokich partiach południowej części gór rośnie tajga jodłowa. Lasy południowej Korei to lasy podzwrotnikowe z bambusami, wawrzynami i kamelią. Tak sama formacja roślinna występuje także na wyspie Cheju.

Świat zwierząt typowy dla Regionu Mandżurskiego Palearktyki. Fauna w Korei jest znacznie przetrzebiona z powodu wzrostu zaludnienia i niekontrolowanych polowań. Dużych ssaków jest niewiele. Rzadkim gatunkiem jest niedźwiedź himalajski i syberyjski podgatunek tygrysa. Z roślinożernych występują jelenie wschodnie i piżmowce syberyjskie. Z ptaków licznie reprezentowana jest rodzina bażantów. W przypadku płazów interesującym przedstawicielem jest salamandra olbrzymia.

Terenów chronionych jest niewiele. Łącznie zajmują one zaledwie 2,6% powierzchni kraju. Do najbardziej znanych parków narodowych należą: Seorak-san, leżący w północnej części Gór Wschodniokoreańskich i Halla-san na wyspie Jeju.

Liczba mieszkańców: ok. 50 mln. Kraj jednolity narodowościowo – 99,9% ogółu ludności stanowią Koreańczycy, o zróżnicowanej strukturze wyznaniowej. Większość ludności skupia się na

wybrzeżu Morza Żółtego i Cieśniny Koreańskiej. Żywiłowy rozwój miast, spowodowany wysokim tempem uprzemysłowienia i masową migracją ze wsi. 1949 w miastach mieszkało 20% ludności, 1991 – 75%. Największe miasta: Seul (10,3 mln mieszkańców), Busan (3,7 mln), Daegu (2,5 mln), Incheon (2,5 mln), Ulsan (2 mln), Gwangju (1,4 mln) i Daejeon (1,4 mln).

A teraz trochę historii Korei...

Z dawnych, klasycznych legend koreańskich można wyczytać, że pierwsze państwo, Gojoseon, założone zostało w 2333 p.n.e przez Tanguna, syna Króla Niebios (Hwanunga) i ziemskiej kobiety, w południowej Mandżurii w dorzeczu rzek Liao He i Taedong-gang. Gojoseon uważane jest za pierwsze królestwo koreańskie. Pierwotnie nazwa brzmiała Joseon ("Ziemia Porannej Ciszy"), lecz w późniejszym okresie historycy zaczęli nazywać ten okres Gojoseon lub Dawny Joseon w celu odróżnienia go od późniejszych Wiman Joseon i Gija Joseon. W roku 1122 p.n.e. chiński banita Jizi (Gija) poprowadził 5000 oddanych mu ludzi do górzystego półwyspu i założył królestwo zwane Gija Joseon. W późniejszym okresie królestwo to, podbite przez Win Mana, zmieniło nazwę na Wiman Joseon i przetrwało do roku 108 p.n.e. Obecnie wszystkie te trzy okresy uznaje się za jeden: Gojoseon, w odróżnieniu od późniejszego dynastii Joseon.

Po upadku Gojoseon na terenie Mandżurii i półwyspu Koreańskiego powstało wiele państewek. Na wschodnim wybrzeżu dzisiejszej Korei Północnej powstały Okjeo i Tongye a w Mandżurii Buyeo i Goguryeo. W późniejszym okresie Okjeo, Tongye i Buyeo podbite zostały przez Goguryeo. W południowej części półwyspu istniały trzy konfederacje państw: Mahan, Jinhan i Byeonhan. Na podstawie Księgi Późniejszych Hanów przyjmuje się, że Mahan tworzyły 54 państwa, a Jinhan i Byeonhan po 14. Wśród tych państw w potęgę urosły Baekje w Mahanie i Silla w Jinhanie, a następnie stopniowo państwa te wchłonęły/podbiły pozostałe ziemie swych konfederacji. Byeonhan zmienił się w konfederację państw Gaya.

Po zwycięstwie cesarza Wu z dynastii Han nad państwem Wiman Joseon (108 p.n.e.) podzielono podbity kraj na cztery części: Lelang, Xuantu, Zhenfan oraz Lintun. Niektóre źródła utrzymują, że istniała jeszcze piąta część zwana Canghai. Administracje tych części trzymały militarną kontrolę nad dużą częścią Mandżurii oraz części północnej Korei. Niedługo po ustanowieniu tych części zostały one podbite przez konfederację królestw Mahan oraz Jinhan. W 82 p.n.e. zdobyto Zhenfan oraz Lintun, w 75 p.n.e. Xuantu. Przetrwała tylko część Lelang. Po upadku dynastii Han część obszarów kontrolowanych wcześniej przez Chińczyków oraz część Południowej Mandżurii początkowo rządzona była przez klan Gongsun, następnie podbita przez królestwo Wei. Podczas panowania dynastii Jin Chińczycy byli ciągle obecni, ale ze względu na to, że militarnie dynastia ta była słaba, kontrolę nad obszarem przejęli Xianbei, protomongolscy nomadowie, tworząc swoje własne królestwo Yan. W 313 n.e. Goguryeo podbiło Lelang, czym zakończyło okres bezpośrednich rządów chińskich nad tą częścią Mandżurii. Goguryeo wyrastało na wielką potęgę militarną i gospodarczą tego obszaru. We wszystkich częściach dowodzonych przez Chińczyków zaznaczył się wyraźnie wpływ bogatej kultury chińskiej. W szczególności wprowadzili oni szkoły konfucjańskie oraz pismo znakowe. Goguryeo wprowadziło pierwsze koreańskie szkoły konfucjańskie w IV w.

Trzy Królestwa Korei stanowiły Goguryeo, Baekje oraz Silla. Do 562 roku istniała jeszcze Gaya, konfederacja sześciu państw zajmująca obszar wzdłuż większej części rzeki Nakdong. W 562 roku podbita została przez Sillę. Goguryeo zostało założone w roku 37 p.n.e. w południowej Mandżurii, a następnie rozszerzyło swe wpływy na teren Korei Północnej, zajmując tereny chińskiego okręgu w okolicach Pjongjangu w IV w. Królestwo przeżywało pełnię swojego rozkwitu w V w., kiedy okupowało Równiny Liaodong w Mandżurii i obszar dzisiejszego Seulu. W czasie panowania dynastii Sui w Chinach królestwo doświadczyło wielu ataków wojsk chińskich, co

spowodowało znaczne osłabienie państwa. W 668 roku Goguryeo zostało podbite przez zjednoczone siły Silli i Tanga. Powstanie Baekje jest dyskutowane, wiadomo, że to królestwo, jak i Goguryeo, miały to samo podłoże językowe i etniczne oraz że zostało założone w południowo-zachodniej części Półwyspu Koreańskiego ze stolicą w Seulu przed IV w. Królestwo przeniosło swoją stolicę najpierw do Kongju, a następnie do Sabi (dziś to powiat Buyeo w prowincji Chungcheong Południowy w Korei Południowej). Wraz z nawiązaniem kontaktów z chińskimi południowymi dynastiami przenikała bogata kultura chińska. Baekje wywierało duży wpływ na Japonię, z którą posiadało przyjazne stosunki przez cały okres, wprowadzając tam między innymi buddyzm i pismo znakowe. W roku 660 Baekje zostało podbite przez połączone siły Silli i Tanga. Pozostałości po kulturze królestwa Silla, włączając w to unikatowe wyroby ze złota, pokazują wpływ nomadów z północnych stepów, co odróżnia tę kulturę od Goguryeo czy Baekje, gdzie większy nacisk wywierała kultura chińska. Silla powiększała swoje terytoria poprzez okupację rejonów wzdłuż rzeki Han oraz włączając królestwo Gaya w VI wieku. Goguryeo i Baekje odpowiedziało na to, łącząc swe siły. Aby zabezpieczyć się przed inwazją, Silla pogłębiła swoje stosunki z dynastią Tang. Dzięki temu, że dynastia ta uzyskała dostęp do Morza Żółtego, możliwe stały się częstsze kontakty uskuteczniane głównie drogą morską. Dzięki temu sojuszowi Silla podbiła pozostałe dwa królestwa, a po usunięciu wojsk dynastii Tang z półwyspu zajęła tereny na południe od Pjongjangu.

W 660 roku król Munmu z Silli nakazał swym armiom zaatakować Baekje. Generał Kim Yu Shin, wspomagany przez siły Tanga, pobił generała Ge Baeka i zajął Baekje. w 661 roku ruszył na Goguryeo, ale został pokonany. Król Munmu nakazał generałowi Kimowi zorganizowanie nowej kampanii w roku 667, a w 668 Goguryeo zostaje podbite. Okres od roku 668 do 935 często zwany jest Zjednoczoną Sillą. Państwo Balhae (chińskie Bóhǎi) powstało z dawnych ziem Goguryeo, a twórcą był Dae Joyeong. Parhae kontrolowało najbardziej na północ wysunięte ziemie Półwyspu Koreańskiego, część Mandżurii (bez półwyspu Liaodong) i rozchodziło się na obszary dzisiejszego rosyjskiego Kraju Nadmorskiego. Państwo to uważało siebie za spadkobiercę Goguryeo. Podkreślano także związki z Imperium Tang (np. poprzez stylizację stolicy). W czasie względnego spokoju i stabilizacji w regionie rozkwitała kultura Balhae, głównie w trakcie długich rządów trzeciego króla Mun Wanga (737–793). Podobnie jak w przypadku kultury Silli, duży wpływ wywierał buddyzm. Jednakże do X w. Balhae, przez uczestnictwo w wielu walkach, uległo osłabieniu i w 926 roku zostało podbite przez kitajską dynastię Liao. Nie zachowały się żadne zapiski z czasów Balhae, także Liao nie pozostawiło żadnych informacji o tym państwie. Część ziem wchłonęło Goryeo, wraz z nimi ludność oraz rodzinę królewską, ale także nie zarejestrowało żadnych historii. Samguk Sagi zawiera informację o Balhae, ale bez wiadomości o władcach. W XVIII wieku historyk Yu Deukgong jako pierwszy napisał studium państwa Balhae jako części historii Korei i wprowadził termin "Okres Północy i Południa" do określenia czasów kiedy Silla i Balhae istniały obok siebie.

Królestwo Goryeo zostało założone w roku 918. W latach 935–936 było dominującą siłą w regionie. Nazwa Goryeo jest skróconą wersją Goguryeo a także źródłem angielskiej, a następnie polskiej, nazwy państwa Korea. Państwo to istniało aż do roku 1392. Do tego czasu skodyfikowano prawa a także utworzono urzędy. Rozpowszechnił się buddyzm. W roku 1231 Mongołowie dokonali ataku na Koreę i po 25 latach walk rodzina królewska poddała kraj i podpisała rozejm. Przez następne 100 lat w Goryeo panowali Mongołowie. W latach 40. XIII w. Imperium mongolskie gwałtownie chyliło się ku upadkowi ze względu na walki wewnętrzne w państwie. Król Gongmin uzyskał pewne prawa i zreformował rząd Goryeo. Jednymi z problemów jakimi musiał zająć się ten władca było pozbycie się promongolskich arystokratów i oficerów wojskowych, naprawienie stosunków pomiędzy buddystami a konfucjanistami oraz określenie zasięgu ziem

królestwa. Dużym problemem byli także dobrze zorganizowani japońscy piraci, którzy coraz śmiej wdzierali się w głąb łądu. Rozwiązaniem ostatniego problemu zajął się generał Yi Seong-gye, który odparł ataki piratów w serii zwycięskich potyczek. Zwycięstwa te dały mu siłę a także spore wsparcie by w 1392 r. sięgnąć po koronę i zakończyć okres Goryeo.

W 1392 koreański generał Yi Seong-gye został wysłany do Chin z kampanią przeciwko dynastii Ming, ale zamiast tego przyłączył się do Chińczyków i powrócił by obalić króla Goryeo i założyć nową dynastię. W 1394 roku dynastia Joseon przeniosła stolicę do Hanseongu (dawniej Hanyang; dziś Seul) i przyjęła konfucjanizm jako religię państwową, pozbawiając wpływów i siły buddyzmu. Podczas tego okresu wprowadzono w 1443 r. nowe pismo koreańskie hangeul. Joseon, jak zwana była tamtych czasach Korea, w latach 1592-1598 (wojna Imjin) prowadziło walki z najeźdźcami japońskimi. Dzięki admirałowi Yi Sun-sin inwazja Japończyków nie udała się. Po odparciu ataków Mandżurii w 1627 oraz 1636, dynastia połączyła się z Imperium Qing. Korea utrzymywała stosunki handlowe z Japonią i wysyłała, od czasu do czasu, misje do stolicy Edo w Japonii. Europejczycy nie mogli handlować z koreańskimi portami aż do lat 80. XIX wieku. Polityka wewnętrzna kraju była nękana walkami o wpływy biurokratów konfucjańskich. Czyniono nieskuteczne wysiłki by przedstawić Korei zachodnią technologię poprzez misje jezuickie w Pekinie. Ludność obszarów wiejskich cierpiała głód i wyzysk, co stanowiło bodziec do masowych ucieczek z kraju do Mandżurii.

W XIX w. Korea próbowała kontrolować otwieranie się na handel z zagranicą i wpływ obcych. Jedną z dróg było zamykanie granic przed wszystkimi krajami prócz Chin. W 1853 r. Amerykanie na statku wojennym USS South America przez 10 dni wizytowali Pusan i nawiązali dobre stosunki z lokalnymi władzami koreańskimi. W 1871 roku Stany Zjednoczone po raz pierwszy przeprowadziły akcję wojskową w Korei. Gwałtownie unowocześniająca się Japonia zmusiła Koreę do otwarcia portów i zwyciężyła Imperium Qingów, które głosiło niepodległość Korei w pierwszej wojnie chińsko-japońskiej (1894-1895). W 1897 r. Joseon zmieniło nazwę na Daehan Jeguk (Cesarstwo Koreańskie), a król Gojong został cesarzem Gojong.

Korea nie była w stanie odeprzeć ataków Japończyków, z wyjątkiem walk partyzanckich w górach. 25 lipca 1905 roku, wskutek wojny rosyjsko-japońskiej (1904-1905), została protektorem japońskim. W 1910 kraj został oficjalnie zajęty przez Japonię. Rozpoczął się długi okres okupacji. Wszelka działalność polityczna została zakazana, stopniowo kraj ulegał japonizacji. 1 marca 1919, po ogłoszeniu "deklaracji niepodległości", wybuchły w Seulu antyjapońskie zamieszki. Ruch niepodległościowy został krwawo stłumiony przez japońskie wojsko i policję. Opór Koreańczyków przeciwko japońskim rządóm organizował Koreański Rząd Tymczasowy w latach 1919-1945. Podczas II wojny światowej mężczyźni byli werbowani siłą do japońskiej armii (choć zdarzały się przypadki kolaboracji) lub do policji porządkowej. Jednak mimo wysiłków okupantów, Koreańczycy licznie dezertowali. Jedną ze zbrodni jakie wyrządzono narodowi koreańskiemu było zmuszanie siłą przez Japończyków tysiące kobiet do prostytucji. Okupanci dopuszczali się również aktów ludobójstwa wobec ludności koreańskiej.

Na terenie Korei istniał ogólnokrajowy ruch oporu (szczególnie silna była komunistyczna partyzantka Kim Ir Sena). Istniał również koreański rząd na uchodźstwie z m.in. Li Syng Manem na czele. Na Konferencji w Kairze w 1943 podjęto decyzję o przywróceniu Korei pełnej niepodległości. Okupacja japońska zakończyła się w 1945, wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej od północy, zaś wojska amerykańskie zajęły południową część kraju. Wzdłuż 38 równoleżnika powstała linia demarkacyjna, która stała się przyczyną powojennego podziału półwyspu na dwa zwaśnione państwa koreańskie. 15 sierpnia 1948 w strefie amerykańskiej powstała Republika Korei (Korea Południowa) z Li Syng Manem jako prezydentem, zaś 9 września tegoż roku w strefie

radzieckiej Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna (Korea Północna) z Kim Ir Senem na czele.

Sytuacja na Południu pozostawała głęboko niestabilna, a w 1948 na wyspie Jeju wybuchło zbrojne powstanie. Li rozpoczął próbę stabilizacji kraju drogą likwidacji opozycji względem jego rządów – do więzień trafiło ponad 30 000 domniemych komunistów i około 300 000 podejrzanych o sympatyzowanie z komunistami lub jakimikolwiek grupami opozycyjnymi. Destabilizacja Południa i coraz większa chęć Północy na zjednoczenie kraju doprowadziła w 1950 roku do inwazji wojsk KRLD na Południe. Siły Północy szybko pokonały szereg oddziałów Południa i zdobyły Seul. Rząd Południa zwrócił się z pomocą do ONZ, który zgodził się wysłać do Korei oddziały wojskowe (głównie amerykańskie), wspierające odtąd siły południowe w walce z Północą. Interwencja oddziałów ONZ nie przyniosła spodziewanych rezultatów na skutek włączenia się do wojny Chin, które wsparły komunistów. Rozejm został podpisany w 1953 roku przez przedstawicieli Korei Północnej, Chin Ludowych oraz ONZ-etu. Nieobecność i brak podpisu przedstawiciela Korei Południowej stanowił przez długie lata pretekst dla KRLD do odmowy rozpoczęcia rozmów pokojowych z Południem, które dla Koreańczyków z Północy nie było stroną konfliktu.

Wojna Koreańska - wojna tocząca się w latach 1950–1953 na terytorium Półwyspu Koreańskiego między komunistycznymi siłami KRLD (północnokoreańskimi) i wspierającymi je wojskami ChRL, a siłami ONZ (głównie amerykańskimi) wspierającymi wojska Republiki Korei (południowokoreańskie).

25 czerwca 1950 roku wojska Korei Północnej (liczące 415 tys. żołnierzy wspartych 150 czołgami i 150 samolotami różnego typu) wkroczyły na terytorium Korei Południowej, przekraczając 38 równoleżnik i zdobywając wkrótce Seul. Armia południowokoreańska licząca 150 tys. ludzi, 40 czołgów i 14 samolotów nie miała szans samodzielnie oprzeć się inwazji. W odpowiedzi na agresję Rada Bezpieczeństwa ONZ uchwaliła 27 czerwca wysłanie do Korei sił międzynarodowych. ZSRR oficjalnie zbojkotował obrady, co umożliwiło przegłosowanie wniosku wobec niewykorzystania przysługującego ZSRR w Radzie Bezpieczeństwa ONZ prawa weta. Przerzucona z prefektury Yamaguchi (Japonia) amerykańska 24. Dywizja Piechoty została zniszczona w 12-dniowej bitwie pod Daejeonem, a jej dowódca gen. William Dean trafił do niewoli. Pierwotnie planował wycofanie dywizji na południe, ale otrzymał rozkaz obrony miasta o kilka dni dłużej. Wskutek przewagi nieprzyjaciela dywizja została rozbita, a gen. Dean samodzielnie przedzierał się na południe.

Początkowe niepowodzenia wojsk amerykańskich związane były z tym, że oddziały amerykańskie w Japonii pełniły służbę okupacyjną i nie były ani odpowiednio uzbrojone, ani wyszkolone do prowadzenia normalnych działań wojennych. Wojska amerykańskie stacjonujące w Japonii miały poważne braki etatowe w ludziach; dywizje piechoty miały tylko po kompanii lekkich czołgów zamiast batalionu pancernego i kompanii czołgów w każdym pułku (mosty w Japonii nie pozwalały na przejazd innych czołgów poza lekkimi); nie posiadały także nowoczesnej broni przeciwpancernej (dział bezodrzutowych i granatników przeciwpancernych 89 mm), a tylko granatniki 60 mm z II wojny światowej („bazooki”), na dodatek z amunicją sprzed co najmniej 5 lat, która często zawodziła; ponadto w Japonii nie prowadzono szkolenia bojowego, a tylko normalną służbę okupacyjną. W późniejszym okresie stan liczebny, jakość uzbrojenia i wyszkolenia wojsk amerykańskich w Korei znacząco się poprawiły. Do 5 września wojska KRLD opanowały prawie cały półwysep (95% terytorium Korei Południowej), zamykając wojska amerykańskie i południowokoreańskie w tzw. „worku pusańskim” – w tym momencie ofensywa północnokoreańska została powstrzymana. KRLD i ZSRR za pośrednictwem Indii (Jawaharlal



Nehru) zaproponowały rokowania pokojowe, odrzucone przez Stany Zjednoczone (ONZ). W międzyczasie KRLD przeprowadziła na południu reformę rolną i nacjonalizację przemysłu oraz nabór do swojej armii. W ramach sił ONZ, 14 państw skierowało do Korei swoje kontyngenty wojskowe, które czasowo rozlokowano w Japonii. 95% tych sił stanowiły wojska amerykańskie. Głównodowodzącym wojsk ONZ został gen. Douglas MacArthur, który ze swoim sztabem opracował plan inwazji na Koreę Północną.

Udany desant amerykański (ONZ) 15 września 1950 roku gen. Douglasa MacArthura pod miastem Inch'ŏn oraz jednoczesne kontruderzenie z miasta Pusan doprowadziły do odzyskania zajętych przez wojska Północy terenów. Jednostki Koreańskiej Armii Ludowej odcięte na południu Korei próbowały przejść do działań partyzanckich, tworząc tzw. „drugi front”, ale próby te zostały szybko udaremnione, ponieważ ludność południowokoreańska już zniechęciła się do KRLD (z powodu postępowania jej wojsk i organów bezpieczeństwa). W październiku działania przeniosły się na północ od 38 równoleżnika, a 90% Korei Północnej do 25 października znalazło się pod okupacją amerykańską. ONZ (Stany Zjednoczone) zaproponowały zawieszenie broni i uznanie siłowego zjednoczenia Korei, ale 25 listopada Mao Zedong wprowadził na front kilkuset tysięczną armię „Chińskich Ochotników Ludowych”. ChOL okrążyli X Korpus amerykański, który jednak zdołał się przebić i został ewakuowany z Hŭngnam („koreańska Dunkierka”). Pod naciskiem Chińczyków (i odtwarzającej się armii KRLD) oddziały ONZ cofały się, tracąc w styczniu 1951 roku Seul. Chiny bezskutecznie prosiły o wsparcie ZSRR, Stalin zgodził się jedynie na wysłanie Chińczykom sprzętu wojskowego z czym jednak zwlekał. Polityka ta spowodowana była chęcią utrzymania ZSRR w neutralności a tym samym zrzucając kosztów prowadzenia wojny na Chiny. Rządy KRLD i Chin otrzymały różnorakie wsparcie ze strony Indii i niektórych państw bloku wschodniego.

Nowy dowódca wojsk lądowych gen. Matthew Ridgway powstrzymał ofensywę i w lutym odzyskał Seul, a następnie ruszył na północ, częściowo przekroczył 38 równoleżnik i ustabilizował front na szkodliwej do obrony linii „Kansas-Wyoming”, która do dzisiaj stanowi granicę pomiędzy obydwojema państwami koreańskimi. W czasie tych walk MacArthur ogłosił, że Amerykanie użyją broni atomowej, co spotkało się z protestem ich sojuszników z NATO, obawiających się atomowego odwetu ZSRR na Wielkiej Brytanii, i ostatecznie doprowadziło do konfliktu z prezydentem Trumanem. MacArthur proponował ponadto przenieść wojnę na teren Chin poprzez bombardowanie lotnisk armii chińskiej i jednoczesne wprowadzenie do walki na pierwszej linii oddziałów Tajwanu (Kuomintangu). Ta propozycja MacArthura była bezpośrednim powodem jego zdymisjonowania przez prezydenta Trumana. Zastąpił go gen. Matthew Ridgway (opuszczone przezeń stanowisko zajął gen. James van Fleet, a następnie gen. James Taylor).

W okresie od kwietnia do maja 1951 roku wojska chińskie i północnokoreańskie przeprowadziły wielką ofensywę, która załamała się i czerwcową kontrofensywa ONZ z powrotem przywróciła front na linii Kansas-Wyoming. Od tej pory działania wojenne przyjęły postać wojny pozycyjnej przeplatanej walkami niewielkich oddziałów. W lipcu 1951 roku rozpoczęła się pierwsza tura rokowań pokojowych, podczas której nie osiągnięto porozumienia z powodu dwóch konfliktów – po pierwsze w sprawie granicy (Chiny i KRLD chciały linii 38 równoleżnika, a ONZ linii Kansas-Wyoming), a po drugie w sprawie jeńców (spora część jeńców z Chin i Korei Północnej nie chciała wracać do tych państw, które tutaj żądały przymusowego odesłania ich wszystkich). W 1952 roku generał Ridgway został zastąpiony przez generała Marka Clarka – przyczyną było to, że Głównodowodzący Wojsk NATO gen. Dwight Eisenhower wystartował w wyborach prezydenckich i zrezygnował ze stanowiska, a gen. Ridgway go zastąpił. Pomimo liczebnej przewagi lotnictwa chińsko-północnokoreańskiego, wzmocnionego radzieckimi „ochotnikami”, lotnictwo amerykańskie (i innych państw ONZ – za najlepszych uchodzili piloci z

RAF) odnosiło sukcesy. Międzynarodowy Czerwony Krzyż zorganizował kilkadziesiąt szpitali polowych w KRLD ze względu na ogrom ofiar wśród ludności cywilnej (jednym z takich szpitali kierował prof. J. Oszacki z Krakowa).

Opinia publiczna w krajach uczestniczących w operacji ONZ była mocno podzielona, szczególnie w Wielkiej Brytanii gdzie liczne grono ludzi sprzeciwiało się uczestnictwu w wojnie. Wiele osób obawiało się eskalacji wojny a nawet wybuchu wojny nuklearnej. Silna opozycja względem wojny była przyczyną często napiętych relacji brytyjsko-amerykańskich. Z tych powodów brytyjscy politycy szukali sposobu na jak najszybsze zakończenie konfliktu, prędkie wycofanie wszystkich obcych sił ONZ i zjednoczenie Korei pod auspicjami tej organizacji. Ostatecznie wybór Eisenhowera i zmęczenie społeczeństwa amerykańskiego wojną (jednorazowo w Korei przebywało 500 tys. żołnierzy amerykańskich, zmieniani byli co 6 miesięcy, w sumie przewinęło się przez front 2,5 mln Amerykanów), a z drugiej strony śmierć Stalina i walka o schedę po nim oraz brak znaczących efektów działań militarnych po obu stronach zmusiły wreszcie obie strony konfliktu 27 lipca 1953 roku w Panmundzomie do podpisania rozejmu i ustanowienia strefy demarkacyjnej (po 2 km na północ i południe, zatem szerokość tej strefy wynosi 4 km) dzielącej półwysep na dotychczasowej linii frontu (linii Kansas-Wyoming; w sprawie jeńców swoje stanowisko także przeforsowała strona ONZ – w rezultacie część jeńców północnokoreańskich osiedliła się w Korei Południowej, a jeńców chińskich na Tajwanie). Rozejm został podpisany przez przedstawicieli Korei Północnej (w osobie Kim Ir Sena jako zwierzchnika armii Korei Północnej), Chin Ludowych (przedstawiciel: Peng Dehuai – dowódca Ochotników Ludowych) oraz ONZ-tu, reprezentowanego przez głównodowodzącego wojsk Narodów Zjednoczonych, amerykańskiego generała Marka W. Clarka. Nieobecność i brak podpisu przedstawiciela Republiki Korei (czyli Korei Południowej) stanowił przez długie lata pretekst dla KRLD do odmowy rozpoczęcia rozmów pokojowych z Południem, które dla Koreańczyków z Północy nie było stroną konfliktu. Nad przestrzeganiem rozejmu czuwali inspektorzy sił rozjemczych (Komisja Nadzorcza Państw Neutralnych) rozmieszczeni po obu stronach tej linii, na północy Polacy oraz Czesi i Słowacy, a na południu Szwajcarzy i Szwedzi. Ci ostatni po szykanach amerykańskich w 1956 roku zwinęli swoje posterunki. W przypadku Czechosłowacji (potem Czech) i Polski po zmianach politycznych w 1989 roku władze KRLD zaczęły także szykanować ich przedstawicieli tak, że ci w końcu wyjechali.

Wojna koreańska utrwaliła sztuczny podział półwyspu koreańskiego. Straty poniesione przez strony konfliktu i ludność cywilną są trudne do oceny ze względu na zróżnicowanie szacunków i brak swobodnego dostępu historyków do materiałów archiwalnych, szczególnie północnokoreańskich i chińskich. Aktualne szacunki historyków zakładają straty armii Republiki Korei (Korea Południowa) – 415 tys. żołnierzy zabitych i zmarłych w niewoli i 429 tys. rannych, Koreańskiej Armii Ludowej – 500–600 tys. zabitych i drugie tyle rannych, a ludności cywilnej – około miliona ludzi zabitych i rannych. Straty sił ONZ obejmowały: 33 629 zabitych i zaginionych oraz 107 tysięcy rannych żołnierzy amerykańskich, 1263 zabitych i 4817 rannych żołnierzy Wspólnoty Narodów oraz 1800 zabitych i 7 tys. rannych żołnierzy z pozostałych kontyngentów państw walczących pod flagą ONZ. Straty ChRL ocenia się na 400 tys. zabitych i zmarłych oraz 500 tys. rannych żołnierzy.

W trakcie wojny doszło do licznych zbrodni wojennych. Według prof. Kim Dong Choona, delegata Komisji Prawdy i Pojednania, co najmniej 100 000 ludzi zostało zamordowanych w związku z podejrzeniami o wspieranie komunizmu. Historycy twierdzą, że nawet 200 000 osób mogło ponieść śmierć z rąk południowokoreańskiej armii i policji. Południowokoreańskie organizacje cywilne utrzymują, że liczba zabitych mogła wynosić nawet 1 200 000 ofiar. Przez dekady za masakry te niesłusznie obwiniani byli komuniści. Z drugiej strony także oficerowie armii Korei Północnej a szczególnie oficerowie polityczni odpowiedzialni byli za liczne łamanie praw

człowieka w tym liczne egzekucje urzędników, inteligencji czy przywódców religijnych podejrzanych o sympatyzowanie z rządem Południa.

Po zakończeniu działań wojennych następowała stopniowa odbudowa KRLD i Republiki Korei z gigantycznych zniszczeń wojennych. Ekonomiczne skutki wojny odczuwały także Stany Zjednoczone, dla których koszt operacji wojskowych na półwyspie wyniósł 17,2 mld dolarów, oraz Chiny, dla których koszty te oscyływały w granicach 10 mld dolarów. Stało się to powodem trudności gospodarczych w Chinach, szczególnie że po śmierci Stalina nowi przywódcy ZSRR nie zgodzili się na umorzenie długów za dostarczony sprzęt wojskowy, co pogłębiło narastający już z przyczyn ideologicznych konflikt między władzami ChRL i ZSRR. Sytuacja polityczno-gospodarcza KRLD była niezwykle skomplikowana. Chinom zawdzięczano ocalenie, ale Mao nie był w stanie wspierać gospodarczo Korei Północnej ze względu na własne kłopoty ekonomiczne. Ochotnicy chińscy byli wycofywani z Korei powoli etapami aż do 1958 roku. Rosjanie na początku nie kwapili się też z pomocą materialną, gdyż nie wiedzieli, jaką orientację przyjmie Kim Ir Sen, prochińską czy proradziecką. W polityce wewnętrznej wojna stała się pretekstem dla Kim Ir Sena do likwidacji opozycji i militaryzacji kraju, wprowadzania w życie idei dżucze i kultu własnej osoby.

Na południu do rebelii z lat 60. władzę sprawował wspierany przez USA autorytarny Li Syng Man uważany za brutalnego i skorumpowanego dyktatora. Jednocześnie dzięki pomocy gospodarczej państw Zachodu Korea Południowa zaczęła szybko się odbudowywać, stając się z czasem jednym z azjatyckich „tygrysów gospodarczych”. Do późnych lat 70. gospodarka Północy była jednak silniejsza od gospodarki Południa (gospodarcze kłopoty KRLD zaczęły się w latach 90. gdy Korea straciła cenne źródło umów handlowych jakim był ZSRR).

Wojna koreańska miała też daleko idące konsekwencje w polityce światowej. Wytworzyła przede wszystkim powszechny strach przed wojną światową, w której bardzo prawdopodobne było użycie broni nuklearnej. Kryzys koreański doprowadził również do wzrostu zaangażowania amerykańskiego w Europie. Stany Zjednoczone potroiły wydatki na obronność i uściśliły współpracę z sojusznikami w ramach NATO. Stany Zjednoczone przyjęły rolę naczelnego dowódcy w bloku państw zachodnich, kreując model dwubiegunowości w stosunkach międzynarodowych.

16 maja 1961 roku armia dokonała zamachu stanu, na czele nowych władz wojskowych stanął generał Park Chung-hee. W 1963 objął on stanowisko prezydenta i na następnych 16 lat wprowadził ścisłą juntę wojskową, która limitowała prawa i wolności obywatelskie oraz dławiała ruchy opozycyjne. Rządzona przez juntę Korea Południowa była jednym z najbliższych sojuszników USA w Azji. Od 1965 wojska południowokoreańskie walczyły po stronie USA w wojnie wietnamskiej. Kolejna fala masowych protestów rozpoczęła się w 1974 roku, a opór społeczeństwa narastał, aż do chwili, gdy 26 października 1979 Park Chung-hee został zastrzelony przez szefa służb specjalnych. Po zamachu nowym prezydentem został Choi Kyu-ha, który z czasem rozpoczął liberalizację reżimu – uwolnił więźniów politycznych oraz zapowiedział serię reform instytucjonalnych. Za prezydentury Choi Kyu-ha nasiliły się protesty społeczne, zwłaszcza studenckie. W mieście Kwangju w 1980 wybuchło powstanie, które stłumiła armia (masakra w Kwangju).

Skompromitowanego Choi Kyu-ha zastąpił szef wywiadu wojskowego, generał Chun Doo-hwan, który 27 sierpnia 1980 objął urząd prezydenta i sprawował władzę dyktatorską przez 7 lat. W okresie jego rządów doszło do wzmożonego rozwoju gospodarczego. W czerwcu 1987, Chun Doo-hwan oznajmił, że sam wyznaczy następnego prezydenta. Decyzja ta wywołała lawinę protestów społecznych w całym kraju. W Seulu studenci toczyli regularne bitwy z policją. W obliczu masowych demonstracji społecznych prezydent zmienił zdanie, godząc się na przeprowadzenie

wyborów prezydenckich. Wybory wygrał generał Roh Tae-woo. Nowy prezydent zainicjował proces pojednania narodowego. Udało mu się pozyskać do współpracy jednego z liderów opozycji Kim Young Sama. W 1988 roku weszła w życie demokratyczna konstytucja i odbyły się demokratyczne wybory do parlamentu. Zmianom uległa też polityka zagraniczna Korei Południowej, z którą w 1990 roku stosunki dyplomatyczne nawiązały państwa Układu Warszawskiego, w tym ZSRR. Dwa lata później Korea Południowa nawiązała też stosunki z Chińską Republiką Ludową. W 1997 w wyborach prezydenckich zwyciężył Kim Dae-jung. Ogłosił on pomoc materialną dla Korei Północnej i rozpoczął próby pojednania i nawiązania współpracy gospodarczej i politycznej. W 2000 doszło do spotkania północnokoreańskiego przywódcy Kim Dzong Ila i prezydenta Kim Dae-junga, które zostało odebrane jako zapowiedź zjednoczenia w przyszłości obu krajów. Tzw. słoneczna polityka była podstawą rządów jego i jego następcy Roh Moo-hyuna, po czym została zarzucona przez kolejnego prezydenta, Lee Myung-baka.

Po zakończeniu wojny Kim Ir Sen rozpoczął wprowadzanie w życie idei dzucze. Sytuacja polityczno-gospodarcza KRLD pozostała skomplikowana ze względu na zachodzący rozłam radziecko-chiński i na skutek zerwania z polityką stalinizmu przez przywódcę ZSRR. ZSRR skrytykował KRLD za nieprzeprowadzenie procesu destalinizacji a protesty przeciwko stalinizmowi w Korei rozpoczęły się w samej partii rządzącej. Choć początkowo Kim obiecał przeprowadzić bardziej liberalne reformy, po pewnym czasie zarzucił ten pomysł a opozycja partyjna została usunięta z organów władzy. Na początku lat 60. rząd KRLD skrytykował zarówno przywódców radzieckich jak i chińskich, na co ZSRR zareagował odcięciem pomocy dla tego kraju.

W latach 80. Kim ożywił prowadzone od 1971 roku negocjacje z Koreą Południową i podpisał z Koreą Południową układ o pojednaniu i nieagresji. W latach 60. i 70., przy pomocy centralnie sterowanej ekonomii, Korei Północnej udawało się utrzymać względnie wysoki wzrost gospodarczy. Gospodarka północnokoreańska do późnych lat 70. była uznawana za silniejszą od południowokoreańskiej. Poważne kłopoty zaczęły się w latach 90., kiedy silnym ciosem okazał się rozpad ZSRR i związane z tym zerwanie strategicznych umów handlowych. Rozwiązanie ZSRR skłoniło KRLD do nieznacznej liberalizacji gospodarki. W 1991 roku z inicjatywy Kima powstała Specjalna Strefa Ekonomiczna Rajin-Sonbong znajdująca się przy granicy z Chinami i Rosją. Równocześnie Kim stale rozwijał armię która w 1992 roku liczyła już milion żołnierzy.

W lipcu 1994 Kim Ir Sen zmarł, a faktycznym przywódcą Korei Północnej stał się jego syn, Kim Dzong Il. Po objęciu przez niego funkcji przewodniczącego partii rozpoczął się kurs zmian ideologicznych a w maju 1998 roku po raz pierwszy poinformowano o doktrynie Songun, która później została oficjalnie przyjęta jako doktryna partyjna. W latach 90. rząd KRLD musiał zmierzyć się z klęską głodu, która ogarnęła kraj w latach 1995-1999. Kim, po coraz większych problemach żywnościowych, zwrócił się o pomoc do ONZ, która w 1998 roku przekazała Korei swoją pomoc, co w znacznej mierze przyczyniło się do zatrzymania klęski głodu. W 2009 roku rząd KRLD przyjął nową konstytucję, w której usunięto słowo „komunizm” (co stanowi część północnokoreańskiej polityki wycofania się z odwołań do tej ideologii). Kim Dzong Il rozwijał założoną przez jego ojca Specjalną Strefę Ekonomiczną Rajin-Sonbong, która według jego rządu miała od 1996 roku przyciągnąć inwestycje o wartości ponad 300 mln USD i stanowić dogodne miejsce lokacji kapitału a w 2002 roku rząd obu Korei utworzył wspólny Obszar Przemysłowy Kaesŏng. Po śmierci Kim Dzong Ila (17 grudnia 2011) nowym przywódcą partii i państwa ogłoszony został jego syn Kim Dzong Un. Jeszcze przed objęciem władzy przez Dzong Una doszło do kilku incydentów na linii Północ-Południe które spowodowały ponowne pogorszenie się relacji.

Władze obu krajów bardzo poważnie podchodzą do kwestii zjednoczenia. Szereg rozmów na temat zjednoczenia obu państw koreańskich miało już miejsce, żadna z nich nie przyniosła

rozwiązania, głównie ze względu na różnice ideologiczne i polityczne. W świadomości Koreańczyków jednakże nie ginie myśl o kulturowej i narodowej bliskości obu państw, a wiele rodzin podzielonych jest sztuczną granicą. Należy zauważyć, że od czasu formalnego zakończenia wojny koreańskiej w 1953 obie Koree nie podpisały traktatu pokojowego, a więc oficjalnie są jeszcze w stanie wojny. Przeszkodą w ponownym zjednoczeniu może być także strach samych Koreańczyków przed potencjalnymi problemami, jakie mogą z tego wyniknąć. Obie Koree rozwijają się niezależnie, toteż ich gospodarka znajduje się na różnym poziomie.

Rolnictwo, podstawowy dział gospodarki w latach 50. i 60., odgrywa coraz mniejszą rolę. Nastąpił odpływ ludności ze wsi do miast, komasacja gospodarstw rolnych i intensyfikacja produkcji rolnej. Użytki rolne zajmują 22% powierzchni kraju, ponad połowa ziem uprawnych jest sztucznie nawadniana. Uprawia się ryż (64% powierzchni zasiewów, zbiory 7,3 mln t, plony 61 q z ha – 1992) – do 2 zbiorów rocznie w prowincjach południowych, z innych zbóż jęczmień i kukurydzę, poza tym soję, bataty, ziemniaki, warzywa (kapusta, rzodkiewka, cebula, czosnek pospolity), żeń-szeń (dla przemysłu kosmetycznego i farmaceutycznego). Rozwinięte sadownictwo: jabłonie i brzoskwinie w prowincjach Gyeongsang Północny, owoce cytrusowe na wyspie Czedżu, niewielkie plantacje herbaty na południu kraju. Utrzymywany zakaz importu ryżu chroni krajową produkcję zbóż. Hodowla trzody chlewnej (pogłowie 4,5 mln sztuk), bydła, drobiu. Rozpowszechniona hodowla jedwabników. Ważną rolę w wyżywieniu ludności odgrywa rybołówstwo. Wzrost połowów ryb do 2,8 mln t. Z surowców mineralnych wydobywa się: węgiel kamienny (antracyt) w Górach Wschodniokoreańskich, rudy żelaza, wolframu, miedzi (koło Pusanu) oraz niewielkie ilości rud cynkowo-ołowianych, złota, srebra i grafitu. Zapotrzebowanie krajowe na pozostałe surowce, głównie ropę naftową, pokrywa import.

Do najlepiej rozwiniętych gałęzi przemysłu przetwórczego należą: przemysł elektroniczny i środków transportu. Produkcja półprzewodników, komputerów, odbiorników telewizyjnych (2 miejsce w świecie po ChRL), radiowych, sprzętu telekomunikacyjnego i gospodarstwa domowego (chłodziarki, zamrażarki, pralki) w znacznym stopniu jest oparta na licencjach japońskich i amerykańskich. Korea Południowa zajmuje 1 miejsce w świecie przed Japonią w produkcji statków (w roku 2006 – 50% wodowań świata miało miejsce w Korei Południowej), głównie tankowców (wielkie stocznie w Ulsan), od niedawna jest liczącym się producentem samochodów osobowych (Hyundai, Kia, Daewoo, SsangYong) i ciężarowych. Od lat 70. rozbudowa hutnictwa (huty żelaza w Pyeongchang nad Morzem Wschodnim (Morze Japońskie), Gwangju, Suncheon na wybrzeżu południowym), przemysłu rafineryjnego i petrochemicznego (rafinerie ropy naftowej w Ulsan, Incheon, Josu o łącznej mocy przerobowej około 40 mln t ropy rocznie), poza tym nawozów sztucznych, materiałów budowlanych (głównie cementu), spożywczego i obuwniczego. Najstarszą gałęzią przemysłu jest włókiennictwo, zwłaszcza przemysł bawełniany i jedwabniczy. Przy wykorzystaniu własnych zasobów leśnych i drewna importowanego rozwija się przemysł drzewny. Koncentracja przemysłu w okręgu Seul–Incheon i w nadmorskim pasie przemysłowym Ulsan–Busan–Masan.

## **19 lipca (wtorek)**

Pobudka o 7:30, nawet raźnie nam się wstaje. Schodzimy najpierw do kuchni, gdzie można sobie zrobić śniadanie - zakupę błyskawiczną - ramen, przyrządzić jajecznicę lub zjeść płatki.

Po śniadaniu czas ruszyć na ulice Seulu. Seul – od 1394 roku stolica Korei. Od końca II wojny światowej po podziale Półwyspu Koreańskiego na dwa państwa Seul został stolicą Republiki Koreańskiej (Korei Południowej), a Pjongjang stał się stolicą Koreańskiej Republiki Ludowo-

Demokratycznej (Korei Północnej). Podczas wojny koreańskiej przez krótki czas Seul był zajęty przez komunistycznych okupantów, a stolicę Korei Południowej przeniesiono do Pusan (Busan).

Seul znajduje się w centralno-zachodniej części Półwyspu Koreańskiego. Miasto położone jest niedaleko na południe od strefy zdemilitaryzowanej (DMZ) i leży nad rzeką Han. Seul jest politycznym, społecznym oraz ekonomicznym centrum Korei Południowej.

Seul z gęstością zaludnienia powyżej 15 tys/km<sup>2</sup> jest jednym z najbardziej zatłoczonych miast na świecie. Jednocześnie posiada największą na świecie liczbę szybkich łącz internetowych oraz punktów dostępowych Wi-Fi.

Bliskość Seulu do DMZ stanowi przedmiot wzmożonej uwagi strategów. Według ekspertów CIA armia komunistycznej północy w razie konfliktu jest w stanie w ciągu kilku godzin zniszczyć miasto przy pomocy rakiet ziemia-ziemia. Szacowane straty ludzkie po takim ataku są liczone w setkach tysięcy. Wojska południowokoreańskie i amerykańskie są gotowe do odpowiedzi na taki atak, choć oprócz drobnych incydentów sytuacja wydaje się opanowana. Rozejm trwa, ponieważ Korea Południowa i USA przekazują reżimowi pomoc ekonomiczną podtrzymującą zrujnowaną północnokoreańską gospodarkę. Działania armii komunistycznej są swoistym szantażem mającym na celu podtrzymanie istnienia jej władzy. Konflikt ten przypomina trochę zimną wojnę.

Pierwsze zapiski historyczne dotyczące Seulu pochodzą z roku 18 p.n.e. W tym roku władcy księstwa Baekje zbudowali na terenie dzisiejszego Seulu zespół obronny Wiryeseong. Kamienne mury miały wysokość ok. 6 metrów. Rozwój miasta spowodował zniszczenie fortyfikacji z wyjątkiem wzgórz na północnych przedmieściach Seulu. Jednak czas zachował szereg bram miejskich. Między innymi zachowała się Honginjimu (inaczej Dongdaemun). Brama południowa – Sungnyemun (inaczej Namdaemun) spłonęła 11 lutego 2008 roku, prawdopodobnie w wyniku podpalenia. Kiedy w Korei nastał okres Trzech Królestw ich spory były rozstrzygane właśnie w Wiryeseong. W wieku XIV miasto poddano przebudowie zgodnie z projektami urbanistycznymi ówczesnych władców. W stolicy powstał kompleks pałacowy dynastii Joseon. Największy z nich czyli Gyeongbokgung poddano na przełomie wieków XX i XXI pracom renowacyjnym.

Podczas walki o władzę na terenie Półwyspu Koreańskiego, ten kto objął panowanie nad rejonem Seulu mógł rządzić całym krajem. Wynikało to z przecinania się w stolicy kilku ważnych szlaków handlowych. W XI wieku władca z dynastii Goryeo zbudował w rejonie Seulu kompleks pałacowy nazywany Południową Stolicą.

W latach 57 p.n.e. – 935 (okres królestwa Silla) miasto nosiło nazwę Seul. W 1394 r., za panowania dynastii Joseon, zmieniono nazwę miasta z Hanyang na Hanseong. Podczas okupacji Korei przez Japonię nazywało się Gyeongseong (w języku japońskim Keijō). Do nazwy Seul powrócono w 1945 r. Nazwa ta wywodzi się od archaicznych słów seobeol lub seorabeol, co znaczyło stolica i pierwotnie odnosiło się do Gyeongju – dawnej stolicy królestwa Silla. Zmiany w języku doprowadziły przez wieki do ugruntowania nazwy Seul.

Seul został prawie doszczętnie zniszczony podczas wojny koreańskiej. Po wojnie został jednak szybko odbudowany przy pomocy państw zachodnich gł. USA.

Najpierw idziemy pod bramę Sungnyemun, która jest w otoczeniu wieżowców. Zabytkowa drewniana brama z XIV wieku. Dwupoziomowa brama zbudowana na kamiennym fundamencie była najstarszą drewnianą budowlą i dumą Seulu. Drewniana część doszczętnie spłonęła i zawaliła się 10 lutego 2008 roku. Dzień później policja zatrzymała 69-letniego mężczyznę, który przyznał się do podpalenia budowli. Jako powód podpalenia podał fakt, że nie otrzymał satysfakcjonującego go odszkodowania za wysiedlenie go z przebudowywanej dzielnicy

Potem idziemy do Pałacu Deoksugung, gdzie zwiedzamy budynki położone w parku. Deoksugung służył jako siedziba władzy podczas ostatniego tchnienia koreańskiego imperializmu The Great Han Empire, które trwało od 1897 -1910 roku. Naprzeciwko pałacu znajduje się seulska biblioteka w starym budynku z za którego wychodzi nowoczesny wieżowiec, który otacza bibliotekę nawet od góry.

Czas kończyć zwiedzanie, bo o 11 musimy być w amerykańskiej bazie Camp Uso, skąd pojedziemy do strefy DMZ. Koreańska Strefa Zdemilitaryzowana – strefa zdemilitaryzowana powstała w 1953 roku na mocy porozumienia z Panmunjom. Obecnie na wieś składa się wyłącznie łączona strefa bezpieczeństwa między krajami. Panmunjom jest w licznych publikacjach postrzegany jako symbol podziału świata na socjalistyczny i kapitalistyczny, a także jest jedynym miejscem spotkań delegacji obu krajów. Miejscowość jest tradycyjnym miejscem rokowań w sprawie zjednoczenia Korei. Strefa zdemilitaryzowana rozciąga się po obu stronach linii demarkacyjnej o szerokości 4 km i długości 238 km, przebiegającym w przybliżeniu wokół 38 równoleżnika.

Rola strefy polega na ograniczeniu fizycznego i wzrokowego kontaktu sił obu stron, co ogranicza incydenty i prowokacje, a więc zapobiega niekontrolowanemu wznowieniu konfliktu. Strefa nie może odegrać jednak żadnej roli, jeśli chodzi o uchronienie stron przed niespodziewaną agresją. Wynika to z faktu, że paradoksalnie po obu stronach wąskiej strefy mamy do czynienia z najbardziej zmilitaryzowaną przestrzenią we współczesnym świecie, w której zgromadzono milionowe armie wyposażone w najnowocześniejsze środki rażenia, w tym broń nuklearną, biologiczną i chemiczną oraz środki jej przenoszenia. W Strefie Zdemilitaryzowanej znajduje się największe na świecie pole minowe.

Incydent z siekierą – incydent zbrojny w Koreańskiej Strefie Zdemilitaryzowanej, do którego doszło w dniu 18 sierpnia 1976 roku. W incydencie zginęło dwóch amerykańskich żołnierzy. Przyczyną incydentu była topola rosnąca w pasie neutralnym, w pobliżu Mostu Bez Powrotu, drzewo utrudniające obserwowanie strefy zdemilitaryzowanej z punktów obsadzonych przez Amerykanów i Koreańczyków z Południa. W porozumieniu z Koreą Północną ustalono, że drzewo zostanie ścięte. 18 sierpnia do strefy wkroczyła grupa nieuzbrojonych żołnierzy Południa w towarzystwie 12 Amerykanów. Rozpoczęto ścinanie drzewa siekierami.

Po kilku minutach do Amerykanów dotarła grupa 15 żołnierzy Północy pod dowództwem por. Pak Chula, który zaczął stanowczo domagać się wstrzymania prac. Komuniści swoją interwencję argumentowali koniecznością ochrony drzewa, które zostało rzekomo własnoręcznie posadzone przez Kim Ir Sena. Po zignorowaniu polecenia przez pracujących żołnierzy koreański dowódca ściągnął posiłki ukryte w pobliżu i wydał swoim ludziom polecenie zaatakowania przeciwnika. Północnokoreańscy żołnierze odebrali Amerykanom siekiery i zaatakowali nimi kpt. Arthura Bonifasa i por. Marka Barretta; w efekcie pierwszy z nich zginął na miejscu, a drugi został ciężko ranny. Żołnierze amerykańscy w pośpiechu wycofali się na swoją stronę, nie zdając sobie przy tym sprawy, że pozostawiają na miejscu por. Barreta, którego później żołnierze Północy odnaleźli i dobili. Zaraz po incydencie Korea Północna oskarżyła Stany Zjednoczone o agresję, a Kim Dzong Il, przebywający na konferencji państw niezaangażowanych na Sri Lance, przeforsował rezolucję potępiającą USA za „imperialistyczny najazd”. W odpowiedzi na incydent 21 sierpnia Amerykanie zorganizowali operację Paul Bunyan, która była pokazem siły i miała na celu ostateczne ścięcie drzewa.

Operacja Paul Bunyan – operacja amerykańskich i południowokoreańskich wojsk 21 sierpnia 1976 roku w Koreańskiej Strefie Zdemilitaryzowanej, której celem był pokaz siły po wcześniejszym o trzy dni „incydencie z siekierą”, w którym z rąk północnokoreańskich żołnierzy

zginęło dwóch Amerykanów. Doprowadziła ona ostatecznie do ścięcia drzewa, które było powodem wcześniejszego zajścia.

Rano 21 sierpnia do strefy neutralnej wjechały, bez zapowiedzi, 23 pojazdy wojskowe Korei Południowej i Stanów Zjednoczonych z żołnierzami wyposażonymi w piły łańcuchowe oraz dwa plutony amerykańskiej piechoty do osłony działań. Jednostka południowokoreańskich wojsk specjalnych zajęła się natomiast wzniesieniem prowizorycznych umocnień z worków z piaskiem na przyczółku Mostu bez Powrotu, przygotowując się do ewentualnego wysadzenia przeprawy. Osłonę z powietrza zapewniało 27 helikopterów oraz bombowce Boeing B-52 Stratofortress i myśliwce F-4 Phantom. Do granicy pomiędzy dwoma państwami koreańskimi zbliżył się także lotniskowiec „USS Midway”.

W pobliżu strefy zdemilitaryzowanej rozlokowane zostały także kolejne oddziały piechoty i artylerii; do Korei Południowej ściągnięto też dodatkowe 12 tysięcy żołnierzy, a w całym kraju ogłoszono najwyższy alarm pogotowia bojowego. W odpowiedzi Korea Północna ściągnęła w pobliże miejsca akcji ok. 200 żołnierzy. W ciągu 42 minut Amerykanie ścięli sporne drzewo, a Koreańcy z Południa zniszczyli dwa północnokoreańskie punkty obserwacyjne.

Kiedy przyjeżdżamy metrem na miejsce, najpierw odnajdujemy się na liście i podpisujemy dokument, że w razie jakby nas żołnierz z Północy zastrzelił, to nie będziemy rościć żadnych odszkodowań i jedziemy tam na własną odpowiedzialność. Jest też cała masa zakazów i nakazów. Po potwierdzeniu możemy usiąść w lobby i poczekać na resztę osób. Pojawia się nawet dwóch Polaków. Punktualnie o 11:15 zostajemy zaprowadzeni do autokaru. Wszystkie miejsca są zajęte. Jako opiekunka jedzie z nami Koreanka o imieniu Annie. Wszyscy ubrani jesteśmy według wytycznych. Podczas pobytu w strefie, o czym turysta dowiaduje się już podczas rezerwacji wycieczki, zabronione jest noszenie wyblakłych bądź podartych jeansów, skórzanych spodni, krótkich spodenek, legginsów, koszulek na ramiączkach (te na krótki rękaw wyłącznie z kołnierzykiem), krótkich sukienek i spódnic (muszą być co najmniej do kolan), odzieży w stylu militarnym, a także sandałów i kłapek. Niedozwolone są również "potargane lub rozczochrane" włosy.

Wyjeżdżamy spod bazy amerykańskiej i przed nami około godziny jazdy. Najpierw jedziemy przez Seul, głównie wzdłuż rzeki Hangang. Po obu jej stronach ciągną się wieżowce. Kilkanaście kilometrów za Seulem zaczynają się zasieki z drutu kolczastego, co kilkadziesiąt metrów stoją budki wartownicze oraz liczne kamery. DMZ to linia dzieląca obie Koree, ale od niej zarówno na północ jak i południe znajduje się 2 kilometrowy pas bezpieczeństwa odgradzony zasiekami. Podobno w strefie tej przez to, że jest niedostępna dla ludzi - rozwija się środowisko przyrodnicze – m.in. liczne ptactwo.

Jedziemy wzdłuż zasieków wygląda to dość upiornie. Właściwie jeden naród a tak podzielony na dwa różne kraje. Co jakieś czas pojawiać się zaczynają zasieki na drodze, gdyż znajdujemy się już blisko strefy granicznej. Tutaj na szerokich drogach faktycznie nic oprócz autokarów z turystami i wojskiem nie jeździ. Co ciekawe nawet Koreańcy nie mogą zwiedzać DMZ, a szczególnie nie mają wstępu do budynku dzielącego obie Koree.

Pierwszym miejscem, które mijamy to symboliczny Most Zjednoczenia. Bardzo przewrotna nazwa niestety. To miejsce pamięci o rozdzielonych przez wojnę rodzinach. Dalej jedziemy na stację Dorasan. Stacja widmo. Ogromny budynek z peronami, który jest niczym widmo. Działała od 2002 roku, ale po oskarżeniach Południa przez Północ o "konfrontacyjną politykę", od 2008 roku jest już atrakcją turystyczną. Niestety nic tu praktycznie nie jeździ, oprócz dwóch pociągów z wycieczkami. Kiedyś można było tędy jechać do Korei Północnej, zresztą można obejrzeć wystawę



poświęconą huczemu otwarciu połączenia. Są tu nawet zdjęcia Georga Busha, który był w tym miejscu. Niestety linia została zamknięta w 2005 roku kiedy doszło do incydentu i po stronie Północy żołnierz zastrzelił obywatelkę Południa. Na stację można wejść, kupić bilet za 1000 wonów, aby przejść się po peronie widmo, na którym stoi żołnierz, aby nikt nie szedł czasem w kierunku Północy. Na peronie znajduje się również wagon z wystawą o tej linii kolejowej, ale także fragment muru berlińskiego. Co ciekawe, nigdy wcześniej nie miałam okazji go zobaczyć. Dopiero tutaj w Korei Południowej.

Ze stacji Dorasan jedziemy na lunch do pobliskiej jadłodajni. Jest samoobsługa, tylko dwa dania dostępne, ale te najbardziej popularne w Korei czyli bibimbap (to ryż z warzywami, wołowiną i jajkiem, przyprawione pastą z papryczek chili) i bulgogi. Wybieramy bulgogi, a potem z taczką trzeba iść w kolejce i nabierać mięsa wołowego, ryżu, sałatki z kapusty, pomidorków, ciasteczek itp. Całość składa się na danie zwane bulgogi.

Po zjedzeniu obiadu jedziemy do obserwatorium Doran. To punkt widokowy, z którego bardzo dobrze widać Północ. Można tutaj popatrzeć sobie na pola oraz na przemysłowe miasto Keysong, a także na modelową wioskę Kijongdong (Wioska Pokoju -tak nazywana jest przez Koreę Północną). Keysong to specjalny region administracyjny Korei Północnej, założony w 2002 roku przez rząd północnokoreański. Region pełni rolę pola doświadczalnego dla wolnego handlu i reform. Na mocy czterech porozumień handlowo-podatkowych między obydwoma państwami koreańskimi z sierpnia 2003 roku, w grudniu 2004 utworzono w Keysong park technologiczny. Region posiada pełną autonomię wewnętrzną i jest powiązany gospodarczo z Koreą Południową (podłączony jest do południowokoreańskiej sieci energetycznej i telefonicznej). W marcu 2005 roku 15 południowokoreańskich przedsiębiorstw otworzyło tu swoje fabryki. Pod koniec 2007 działało już tu 250 przedsiębiorstw, zatrudniających łącznie 100 000 ludzi.

Na początku kwietnia 2013 roku z powodu wejścia Korei Północnej z Koreą Południową w "stan wojny", Pjongjang nie wpuścił do tej strefy południowokoreańskich pracowników, a 8 lub 9 kwietnia 2013 północnokoreańscy robotnicy nie przybyli do strefy. Do 29 kwietnia strefę opuścili pozostali południowokoreańscy pracownicy. 7 lipca delegacje państw koreańskich porozumiały się w sprawie ponownego otwarcia okręgu, które nastąpiło 16 września. Według danych południowokoreańskiego ministerstwa ds. zjednoczenia narodowego z Południa do okręgu miało przybyć 830 pracowników oraz biznesmenów.

Na wzgórzu z obserwatorium jest wytyczona linia, do której można było podejść i robić zdjęcia, tyle że murek ograniczał widoczność i zdjęć jeszcze do niedawna nie można było zrobić. Jak się okazuje teraz można spokojnie podejść do murka i robić tyle zdjęć ile się chce. Jeden z żołnierzy koreańskich opowiada nam o tym miejscu i co z niego widać. Wewnątrz stref DMZ po stronie Południa znajduje się wieś Daesongdong (wioska Wolności), której mieszkańcy mają przekichane. Dlaczego? Daesongdong, to tzw. Wioska Unifikacji, jedyna cywilna miejscowość w DMZ po stronie południowokoreańskiej. Stąd jest tylko kilkaset metrów do granicy z Koreą Północną. W Daesongdong toczy się w miarę normalne życie. Na specjalnych warunkach mieszka w niej ok. 200 osób. Są lokalne sklepy, szkoła podstawowa (co najwyżej po kilku uczniów w klasie). Domy nie należą jednak do ich mieszkańców, ale do państwa, choć są dziedziczone. Miejscowi muszą przestrzegać godziny policyjnej, nie mogą też opuszczać domu na więcej niż 130 dni w roku. Aby nie stracić prawa pobytu w wiosce wolności, trzeba przebywać w niej co najmniej 240 dni w roku. To utrudnia kontakty ze znajomymi czy krewnymi mieszkającymi w innych miejscach. Dlatego mieszkańcy Daeseong-dong są jak wielka rodzina – pomagają sobie, odwiedzają się, wszyscy wiedzą o wszystkich niemal wszystko. Nie dotyczy ich za to przymusowa służba wojskowa, nie płacą żadnych podatków, a od władz otrzymują dotacje, m.in. na uprawę roli.

W wiosce mogą mieszkać tylko osoby tu urodzone bądź ich potomkowie. Mężczyźni pochodzący z Daeseongdong mogą sobie sprowadzać żony z innych miejsc, ale kobiety nie mają prawa sprowadzania mężów. Niby są zwolnieni z podatków, nie muszą iść do wojska, ale za to przed zachodem słońca muszą być w swoich domach, a nocą pilnuje wsi wojsko, tak samo, wojsko dogląda pól podczas prac polowych. Koreańczycy z Daeseongdong przyzwyczaili się do niebezpieczeństw, cały czas są w zasięgu snajperów z Korei Północnej. W każdej chwili mogą zostać postrzeleni, zabici bądź porwani. W Daeseongdong ostatni taki poważny incydent miał miejsce w 1997 roku, kiedy 12-osobowy oddział Koreańskiej Armii Ludowej porwał dwóch rolników pracujących na polu ryżowym. W życiu nie chciałabym mieszkać w takim miejscu.

Między dwiema wioskami toczy się od prawie 30 lat najdziwniejsza wojna na świecie – na maszty flagowe. Zaczęło ją południe, wznosząc pod koniec lat 80. XX wieku prawie stumetrowy maszt, na którym zawisła ogromna, ważąca 130 kilogramów flaga Korei Południowej z Igrzysk Olimpijskich w Seulu w roku 1988 (bojkotowanych przez północ). Reżim w Pjongjangu nie dał za wygraną. W Kijongdong wyrósł szybko jeszcze wyższy – 160-metrowy maszt. Wisi na nim flaga ponad dwa razy cięższa niż ta po południowej stronie. Tak wielkie flagi szybko się strzępią na wietrze. Władze południa wymieniają więc swoją raz na dwa miesiące kosztem 1,4 mln wonów (ok. 1250 dol.). Północy nie stać na tak regularną wymianę.

Mówi się że wieś po stronie północnej Kijongdong to atrapa, że w niej nie mieszkają ludzie, że okna są namalowane na fasadach i w wysokich budynkach nie ma wind. Wioska Pokoju (albo jak według Południowców Wioska Propagandy) to jakby wielka filmowa dekoracja do nigdy nienakręconego filmu. Ilu dokładnie mieszkańców liczy dziś Kijongdong, wioska pokoju po drugiej stronie granicy – nie wiadomo. Propaganda północnokoreańska zapewnia, że mieszka w niej 200 rolników, ale nikt tego nie zweryfikował. Podobno codziennie do Kijongdong przyjeżdża 15-20 osób. To żołnierze albo ich rodziny, którzy zajmują się utrzymaniem miasta atrapy: zmiataniem pustych ulic, malowaniem fasad pustych domów, załączaniem światła w budynkach.

Za czasów Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila – dziadka i ojca dzisiejszego najwyższego przywódcy północnej Korei – dozorczy Kijongdong obsługiwali także propagandową rozgłośnię. Wielkie szczekaczki zatruwały życie mieszkańcom Daeseongdong, nadając niemal 20 godzin na dobę audycje na temat wyższości komunizmu nad zgniłym kapitalizmem. Po 2004 r. repertuar się zmienił – zamiast pochwały ludu pracującego miast i wsi oraz najwyższego przywódcy pojawiły się patriotyczne marsze i paszkwile na Koreę Południową oraz USA. Od strony Północy słychać „muzykę” z megafonów. Tak Północ na złość robi Korei Południowej.

Jaki paradoks... w obu wsiach mieszkają Koreańczycy, ale są jakby ulepieni z innej gliny. W pierwszej, zwanej wioską wolności, wolność jednostki jest mocno ograniczona, w drugiej, zwanej wioską pokoju, wszystko podporządkowane jest propagandzie wojny.

Czas ruszać dalej. Jedziemy do tzw. Trzeciego Tunelu. Tunele Agresji kopali Koreańczycy z Północy, aby dokonać inwazji. Kiedy na powierzchni trwały negocjacje, pod ziemią Korea Północna kopała tajne tunele pod strefą zdemilitaryzowaną. Przejścia te miały służyć do przetrzucenia wojsk za linię wroga. O ich istnieniu poinformował władze w Seulu jeden z uciekinierów z Północy. Podobno tuneli jest około dwudziestu, ale odkryto do tej pory tylko cztery. Pierwszy z tuneli znaleziono w 1974 roku, a kolejne w latach 1975, 1978 i 1990. Wszystkie cztery znalezione dotychczas tunele sięgają od kilometra do dwóch w głąb Korei Południowej. Rząd Korei Północnej twierdzi, że tunele są kopalniami węgla, jednakże nie stwierdzono jego obecności w skałach je otaczających.

Jeden z nich jest dostępny do zwiedzania, ale nie wolno robić zdjęć. Jeden z imponujących podkopów wykonanych przez wojska KRLD. Przebiega pod granicą i ma 1,7 km długości. Odkryty został w 1978 r. dzięki zeznaniom dezertera. Tunel znajduje się na głębokości 73 m, miał służyć do przeprowadzenia ataku z zaskoczenia. Najpierw idziemy do sali multimedialnej, w której wyświetlany jest krótki film o próbie inwazji Północy na głębokości 70 metrów. Dalej jest dość wąsko, a mówi się że miał na godzinę przepustowość 3 tysięcy żołnierzy. Tunel jest wydrążony w skale. Jak to zrobili ci z Północy to aż trudno uwierzyć, bo przecież musieli używać do tego materiałów wybuchowych. Zresztą w ścianach widać otwory do wkładania materiału wybuchowego. Idziemy korytarzem jakieś 300 metrów. Kończy się betonową ścianą z drzwiami i otworem do dalszej części tunelu. Sam tunel robi naprawdę duże wrażenie. Choć tunel to punkt turystyczny, jest wyjątkowo pilnie strzeżony. Na końcu można zobaczyć zewnętrzną zaporę z wmontowanymi, żelaznymi drzwiami. Obok drzwi znajduje się małe okienko, przez które widać środkową zaporę. Miejsce to jest monitorowane 24 godziny na dobę, a w drzwiach zamontowane są czujniki i alarmy.

I w końcu nadszedł moment kulminacyjny. Kolejny etap wycieczki prowadzi do ostatniego i najciekawszego punktu wizyty, do Strefy Wspólnego Bezpieczeństwa (Joint Security Area - JSA), jedyne miejsce, w którym żołnierze obu Korei stoją twarzą w twarz. Do ostatniej chwili turyści nie mają jednak pewności, czy uda się wjechać na teren JSA. Jedziemy do bazy Camp Bonifas, gdzie wszystkie wycieczki muszą zmienić autokar na ten z amerykańskiej bazy wojskowej, zostawić wszystkie torebki. O dziwo nie sprawdzają już z jaki zoom ma obiektyw aparatu, bo kiedyś były obostrzenia. Tutaj dwa autokary ludzi zostają zaprowadzone do sali wykładowej, gdzie najpierw po raz drugi musimy podpisać deklarację, w której akceptuje się to, że "wizyta we Wspólnym Obszarze Bezpieczeństwa pociągnie za sobą wkroczenie na wrogi teren oraz możliwość zostania rannym lub poniesienia śmierci jako bezpośredni skutek działania wroga". Turysta jest też informowany, że "Dowództwo Narodów Zjednoczonych, Stany Zjednoczone Ameryki oraz Republika Korei nie mogą zagwarantować bezpieczeństwa gości i nie mogą być pociągnięte do odpowiedzialności w razie nieprzyjaznego ataku wroga". Poznajemy kolejne zasady co można, a czego nie. Na miejscu najpierw przechodzi się krótki instruktaż o obowiązującym w strefie zachowaniu: nie można wykonywać gwałtownych ruchów, gestów w stronę Korei Północnej, machać do północnokoreańskich żołnierzy, pokazywać ich palcem, uśmiechać się do nich, wołać ich, ani w ogóle się do nich odzywać. Potem jeden z amerykańskich żołnierzy dokonuje prezentacji o DMZ.

Czuję się jakbym była na najprawdziwszej odprawie wojskowej. Jakbym za chwilę z amerykańskimi żołnierzami szła na jakąś wojenną akcję. Żołnierz w taki charakterystyczny sposób mówi, że ma się naprawdę wrażenie, że tu ściemy nie ma. Tylko styl mówienia jest dokładnie taki sam jak w amerykańskich filmach wojennych, że ilość słów wypowiedziana przez niego na minutę sprawia, że muszę się bardzo starać, aby go zrozumieć. Po wykładzie zostajemy zapakowani do 2 autokarów. Z nami jadą dwaj amerykańscy żołnierze Arnold i Medina, którzy są tu na rocznej służbie. Przypominają nam zasady robienia zdjęć, które można robić jak oni dadzą znak.

Przejeżdżamy przez punkty kontroli i zasieki. Jesteśmy w strefie DMZ. Dookoła pola rolników z pobliskiej wsi. Docieramy pod specjalny budynek, w którym zostajemy podzieleni na dwie grupy które muszą ustawić się parami i wykonywać tak jak w wojsku wszystkie czynności na komendę.

JSA to 320 m2 i 24 budynki, a przez jej środek przebiega Wojskowa Linia Demarkacyjna oddzielająca Koree, wzdłuż której stoją są trzy niebieskie baraki Dowództwa Narodów Zjednoczonych. Jeden z nich jest miejscem spotkań Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych

(Neutral Nations Supervisory Commission), w której skład wchodzi Szwajcaria, Szwecja oraz Polska. Inny to budynek Wspólnego Oficera Łączności (Joint Duty Officer), który zapewnia kontakt pomiędzy skonfliktowanymi stronami. Barak w środku to podlegające pod Wojskową Komisję Rozejmową (Military Armistice Commission), miejsce spotkania między przedstawicielami Seulu i Pjongjangu. Ten niewielki budynek podzielony jest na dwie części. Każda wygląda identycznie - ma ten sam rozkład, tę samą ilość stolików i krzesełek - ale jedna jest na Południu, druga na Północy. Granica pomiędzy państwami przebiega dokładnie przez środek stołu negocjacyjnego, nad którym czuwa południowokoreański żołnierz. Można obok niego przejść i na kilka minut stać się nieproszonym gościem Kim Dzong Una.

Nasza grupa jako pierwsza przechodzi na drugą stronę budynku. Dwójkami maszerujemy do środka. Jest tak jak czytałam. Na środku tego niebieskiego budynku znajduje się stół, przy którym rozmawiają przedstawiciele obu państwa. W środku stoi dwóch koreańskich żołnierzy z charakterystycznymi zaciśniętymi pięściami. Wyglądają groźnie. Na stole leżą mikrofony, które non stop 24 godziny na dobę podsłuchują co dzieje się w budynku. Na chwilę można stanąć w budynku po stronie Korei Północnej. Są tam drugie drzwi, które prowadzą prosto do tego kraju. Brzr aż ciarki człowiekowi przechodzą po plecach. Znowu zdjęcia na komendę i przypomnienie żołnierza amerykańskiego, aby nie stawać zbyt blisko żołnierza koreańskiego, ale można sobie z nim zrobić zdjęcie. Przez okienko robię zdjęcie granicznego krawężnika pomiędzy oboma krajami. Tylko stąd go dobrze widać. Szeroki na kilkanaście centymetrów betonowy rozgranicznik dzieli dwa światy —kapitalistyczny i komunistyczny. Żołnierze każdej ze stron mają absolutny zakaz przekraczania lub nadeptywania na ten maleńki fragment terenu. Jeden nieuważny krok może stać się powodem wściekłej napaści drugiej strony. Zdarza się, że oficerowie KRLD podchodzą bezpośrednio do rozgranicznika i stoją tam twarzą w twarz z policjantami z południa.

Po niespełna 10 minutach otrzymujemy informacje aby wyjść z budynku i ustawić się na podejście powyżej schodów. Wychodzę jako ostatnia więc mogę jeszcze zrobić ostatnie zdjęcie tego pomieszczenia bez turystów. Po nas wchodzi druga grupa. My stoimy twarzą w stronę Korei Północnej. Po chwili też możemy robić zdjęcia, ale tylko budynkom Korei Północnej. Nie wolno nam nigdzie chodzić, ani machać, aby nie prowokować. Zdjęcia musimy robić z tego miejsca w którym jesteśmy. Widać jak przy budynku stoją żołnierze obu krajów. Żołnierze Południa stoją w połowie za budynkiem, a w połowie obserwują stronę Północy. To chyba zabezpieczenie, że szybciej mogą się schować za budynek w razie ataku. Wszyscy są w czarnych okularach, aby bez przeszkód mierzyć wzrokiem wroga. Mamy na to dosłownie kilka minut. Kiedy dostajemy komendę na wycofanie się zauważamy że po stronie Północy pojawiła się podobna wycieczka do naszej. W sumie do niebieskiego budynku wchodzi grupy po obu stronach granicy.

Po szybkim zobaczeniu tego miejsca, wracamy do autokaru pełni wrażeń. Jak inaczej ma się ta granica do zeszłorocznej granicy indyjsko-pakistańskiej. Mimo że tamte kraje też się nie lubią to jednak na granicy była impreza. Natomiast tutaj to co innego. W sumie to aż mi oddechu brakło. Czułam się jak rekrut w amerykańskiej armii.

Wsiadamy do autokarów i w sumie dość prowokująco przejeżdżamy przed niebieskim budynkiem do wojskowego punktu, z którego widać Koreę Północną. Jedziemy oczywiście w eskorcie żołnierzy koreańskich. Z punktu obserwacyjnego widać wioskę – atrapę, tzw. Most bez Powrotu, a także dawną bazę polsko-czeską.

Misja Polska do Komisji Nadzorczej Państw Neutralnych w Korei— misja wojskowa Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej (do 1989 Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej) działająca w ramach KNPN, nadzorującej od 1953 zawieszenie broni między Koreą Północną a Koreą Południową. Formowanie polskiej delegacji rozpoczęto już w 1952. Aby lepiej ją przygotować do

zadań utworzono Jednostkę Wojskową 2000 (JW 2000). Jednak z powodu przedłużających się rokowań proces formowania przerwano, by rozpocząć go na nowo w kwietniu 1953 w Jabłonie k. Warszawy. Dwa miesiące później grupa rozpoznawcza udała się do Chin, za nią drogą kolejową reszta polskiej misji, formalnie utworzonej uchwałą Rady Państwa z 12 września 1953. Polacy wraz z Czechami i Słowakami zostali zakwaterowani w północnej części obozu, kontrolowanej przez KRLD.

Do zadań komisji należało: badanie przypadków złamania zawieszenia broni, kontrola przez rozsiadane po Korei Grupy Inspekcyjne stanów liczebnych i wyposażenia obu stron, nadzorowanie repatriacji jeńców

Początkowemu okresowi działalności komisji towarzyszyły wzajemne oskarżenia o sprzyjanie zwaśnionym stronom (komunistom przez Polaków i Czechów oraz demokratom przez Szwedów i Szwajcarów), co także powodowało protesty ludności cywilnej, którym towarzyszyły zamachy. W ich wyniku KNPN musiała w 1955 ewakuować Grupy Inspekcyjne, reszta grup rok później została bezterminowo zawieszona. Wówczas Misja Polska liczyła już tylko ok. 85 członków, inni przedstawiciele także zmniejszyli stany osobowe misji (Szwajcaria i Szwecja chciały nawet całkiem je wycofać z powodu zbyt długiego się procesu pokojowego).

W 1957 działalność KNPN ograniczyła się już w zasadzie tylko do przyjmowania i zatwierdzania raportów, przez co polska delegacja (jak i inne) była stopniowo zmniejszana - od 1963 liczyła już tylko ok. 10 członków. Zasadniczą zmianę przyniosła Jesień Ludów w 1989, kiedy to rozpoczął się upadek komunizmu. W jego wyniku państwa wschodniej Europy przyjęły ustrój demokratyczny, przez co z punktu widzenia KRLD delegacje z Czechosłowacji (od 1993 tylko Czech) i Polski stały się ze względów ideologicznych niewygodne. W wyniku działań północnych Koreańczyków czeska delegacja opuściła Koreę na stałe a polska obóz w północnym Panmundżonie. Kryzys w stosunkach Polska-Korea Północna został zażegnany w 2001, wcześniej, w 1996 Misja Polska rozpoczęła nowy etap działalności - delegacja złożona z 2 żołnierzy (z reguły generała brygady i pułkownika) doraźnie, 3 lub 4 razy do roku przyłącza się do pracujących w zmarginalizowanej komisji Szwedów i Szwajcarów, wizytujących linię demarkacyjną.

Po punkcie obserwacyjnym zjeżdżamy do Mostu bez Powrotu, ale tu już wsiąść nie można. Zdjęcia możemy robić tylko z autokaru. Most Bez Powrotu - most, który do 1968r. używany był do wymiany jeńców wojennych, którzy chcieli zmienić kraj zamieszkania. Nazwano go mostem bez powrotu, gdyż, jeżeli już ktoś raz przekroczył granice, to nie mógł wrócić do poprzedniego kraju. Po tym ostatnim punkcie wracamy do bazy Bonifas i przesiadamy się do naszego autokaru, aby wrócić do Seulu. Do bazy Camp USO wracamy po półtoragodzinnej jeździe około godziny 19.

Wracamy z Pawłem do centrum metrem, aby wsiąść w shuttle bus 5, aby dojechać na wzgórze, na którym znajduje się wieża widokowa N Seul Tower. Wieża, znajdująca się na górze Namsan w centrum Seulu. Jest to najwyższy punkt miasta. Została wybudowana w 1969. Jest to pierwsza wieża radiowa w Korei. Odkąd wieża została otwarta dla odwiedzających w 1980, stała się miejscem odpoczynku mieszkańców Seulu jak również turystyczną atrakcją.

Na górze jest spory kompleks rozrywkowy od restauracji, na skwerze z kłódkami skończywszy. Tutaj też jest mania że zakochani wieszają swoje kłódki. Są ich tu tysiące. Nie tylko na barierkach, ale również tworzą coś w rodzaju choinki. Wygląda to kosmicznie.

Kupujemy bilety na wieżę i chwilę stoimy w kolejce, w której jak zazwyczaj w takich wieżach jest miejsce gdzie robią nasze zdjęcie, a potem je wklejają w panoramę. Można to kupić po zwiedzaniu. Nigdy jeszcze nie kupiliśmy bo kosztuje to zawsze sporo pieniędzy. W tempie błyskawicznym winda wiezie nas na poziom widokowy, z którego roztacza się nocna panorama na

stolicę. Jaki ten Seul jest ogromny, a ile w nim wieżowców! Wszystko rozświetlone całą masą świateł. Pomiędzy budynkami ciągną się rzeki pojazdów. Potem znowu stoimy w kolejce, aby zjechać na dół. Wsiadamy w autobus i jedziemy do centrum. Potem jeszcze przechodzimy przez martwy już o tej porze market. Jednak jesteśmy głodni i niedaleko naszego hoteliku wstępujemy na zupę, która okazuje się być daniem z makaronu niczym gumy do żucia oraz warzyw, ale potem jeszcze dorzucamy przekąskę w postaci czegoś co przypomina rolkę sushi. Okazuje się to być tzw. Kimbap czyli ryż z warzywami zawinięty w rulon z wodorostów. Bardzo smakowite danie!

Do naszego hoteliku docieramy o... 23, więc nie pozostaje nam nic innego jak się umyć, wymyślić co robimy jutro w Seulu i padamy spać jak muchy ze zmęczenia.

Ciekawostką mieszkań koreańskich jest to, że wchodzi się do pomieszczenia i od razu ściąga buty. Przedśionek mieszkania, ma obniżoną podłogę, w rozmiarach brodziku. Tutaj zmienia się obuwie na kapcie. Osobliwością jest to, że w łazience znajdują się kolejne kapcie, służące tylko w tym pomieszczeniu. Wchodząc więc do łazienki należy kapcie „mieszkaniowe zostawić przed progiem i ubrać te „łazienkowe”. Podobnie jest w Japonii.

## **20 lipca 2016 (środa)**

Budzik dzwoni, ale jakoś go tak przesuwamy, aby jeszcze trochę pospać. Wczorajszy dzień nieźle dał nam się we znaki, ale był tego warty. Ostatecznie wstajemy koło 9 i idziemy na takie samo śniadanie co wczoraj, chociaż Paweł jest niepokieszony bo dzisiaj nie ma zupiek chińskich. Wychodzimy po 10. Ufff dzisiaj jest jakoś cieplej i duszniej niż wczoraj. Idziemy tak jak wczoraj pod Pałac Deoksugung, gdyż o 11 ma być królewska zmiana warty. Po drodze dostrzegamy namalowane na chodnikach, zwłaszcza przy przejściach dla pieszych, znaki aby ludzie nie korzystali z komórek gdy przechodzą przez ulice. Ciekawe jak duży odsetek wypadków jest z tego powodu, że wszyscy Koreańczycy niezależnie od wieku są stale przyłączeni do komórek? Nie ważne gdzie - na ulicy, przystanku, w metrze, czy idąc, cały czas z nich korzystają. W sumie w środkach lokomocji jest cicho, bo każdy zajęty jest swoim monitorem. Osobliwa sprawa. A ja sądziłam że u nas w Polsce to zaczyna być przesada, ale tu to przeszło gigantyczne rozmiary. No ale skoro wszędzie prawie można trafić na darmowe wifi, to chyba nie ma czemu się dziwić.

Pałac Deoksugung pierwotnie był siedzibą księcia Wolsana, starszego brata króla Sejong. Kiedy po inwazji Japonii (1592-1593) większość pałaców w stolicy została zniszczona, król Sejong przeniósł się tutaj. Był pierwszym królem dynastii Joseon który rezydował w tym miejscu. Kolejny, król Gwanghaegun, został koronowany właśnie na terenie Deoksugung i przemianował go na Gyeongun-gung. Królem, który ponownie przeniósł się do Deoksugung był król Gojong, który pozostał w pałacu aż do śmierci w 1919 roku. W 1907 roku gdy abdykował na rzecz swojego syna, Sunjong, ten zmienił nazwę pałacu na Deoksugung.

Po przekroczeniu bramy trafia się pod Junghwajeon, główny budynek pałacu, wybudowany w 1623 roku. To tutaj odbywały się koronacje królów, mianowania nowych urzędników i spotkania z zagranicznymi wysłannikami. Wejścia do niego strzegą dwa kamienne smoki wyryte na płycie zdobiącej schody. Kolejne smoki widnieją na suficie nad królewskim tronem. To unikatowa cecha tego pomieszczenia, w żadnym innym pałacu w Korei nie ma takich dekoracji. To właśnie w tym miejscu w 1897 roku, król Gojong (stając się cesarzem) ogłosił utworzenie Cesarstwa Koreańskiego. Niedaleko znajduje się brama Gwangmyeongmun, która teraz służy jako schronienie dla buddyjskiego dzwonu ze świątyni Heungsheonsa i zegara wodnego Jagyeongnu (swoją drogą dość ciekawego urządzenia).

Jeonggwanheon - wybudowany w 1900 roku, był pierwszym budynkiem w stylu zachodnim. Jego nazwę można przetłumaczyć jako "miejsce, z którego w ciszy można podziwiać ogród". Zaprojektował go rosyjski architekt Sabatin łącząc zachodnią i koreańską architekturę. Kamienne filary, są otoczone przez drewnianą werandę zdobioną kolorowymi nietoperzami, jeleniami i sosnami. Na tyłach budynku wybudowano tajne przejście do pobliskiej Ambasady Rosyjskiej, najprawdopodobniej dlatego, że gdy w 1895 roku na zlecenie Japończyków zamordowano Cesarzową Myeongseong (znaną też jako Królowa Min), król Gojong uciekł z pałacu właśnie do Ambasady Rosyjskiej.

Cesarz lubił tu wypoczywać, słuchać muzyki i pić kawę (podobno swój ulubiony napój) z zaproszonymi gośćmi. Pawilon jest powszechnie uważany za pierwszą kawiarnię w Korei. Zamiłowanie władcy do kawy było też powodem próby dokonania tu zamachu stanu. Cesarzowi i jego synowi Sunjongowi zaserwowano kawę z dużą dawką opium. Gojong nie wypił napoju, za to jego syn owszem. Przeżył, jednak nigdy nie powrócił do pełni zdrowia.

Seokjojeon Hall, czyli "kamienny dom" w stylu neoklasycystycznym. Zbudowany na początku XX wieku miał być symbolem nowoczesnej Korei. Zaprojektowany przez brytyjskiego architekta GR Hardinga był bardzo krótko używany jako miejsce spotkań politycznych, Japończycy przekształcili go na galerię sztuki. Po odzyskaniu niepodległości przez Koreę w 1945 roku, budynek był wykorzystywany do rozmów między Ameryką, a Związkiem Radzieckim. Po wojnie koreańskiej stał się siedzibą Narodowego Muzeum Sztuki i jest nią do dziś. Wschodnie skrzydło służy jako wystawa zachowanych Skarbów Pałacowych, zachodnie to placówka Narodowego Centrum Sztuki Współczesnej. Przed budynkiem znajduje się niewielki ogród z fontanną w centralnym punkcie, stanowiąc swoiste zaprzeczenie koreańskiego systemu planowania ogrodów, które były umieszczane za budynkami. To pierwsza fontanna wybudowana w Korei.

Na terenie pałacu znajduje się jeszcze kilka innych budynków, służących kiedyś jako biura, prywatne apartamenty, czy przedszkole dla cesarskich dzieci. Ostatnim, który odwiedziłam był Hamnyeongjeon, w którym zmarł cesarz Gojong.

Kiedy docieramy przed pałac, to dosłownie po paru minutach rozpoczyna się zmiana warty. Wartownicy w barwnych strojach odtwarzają dawny rytuał. W połowie całego ok. 10 minutowego show jest przerwa i wszyscy wartownicy zamierają przed wrotami i można sobie z nimi zrobić zdjęcie. Wartownicy coś tam przenoszą w skrzyni, demonstrują cesarską pieczęć.

Po zakończeniu ceremonii idziemy dalej i wchodzimy do interesującego budynku. W środku jest jeszcze bardziej ciekawy, bo po ścianach schodzą całe draperie zielonych kwiatów. Dookoła są instalacje z rur. To budynek administracyjny, ale można wjechać na jedno z najwyższych pięter do kawiarni, co też czynimy i pijemy sobie kawę. Ten budynek kojarzy mi się z budynkiem organicznym, przez te roślinki. Taki żyjący budynek.

Idziemy dalej główną aleją. Na naszej trasie najpierw pojawia się pomnik admirała Yi Sun-Shina (XVI wieczny admirał wojsk morskich), a potem króla Sejgonga (żył w XV w., a za jego rządów kultura i nauka koreańska przeżywała swój „złoty wiek”. Najśłynniejszym osiągnięciem Sejonga dla koreańskiej kultury jest jego inicjatywa stworzenia koreańskiego alfabetu, znanego jako hangul. Wcześniej wszystkie dzieła i książki powstawały w klasycznym chińskim). Zaraz obok można trafić do darmowego centrum historycznego, w którym są wystawy interaktywne o obu tych Koreańczykach, a także niesamowity sferyczny zegar, którego działanie jest bardzo skomplikowane. Tutaj też są warsztaty z kaligrafii, z których korzystamy pisząc nasze imiona i kraj, ale po znaczkach moja Polska od Pawła Polski znacząco się różni, ale Koreańczycy biją nam brawo.

Przed nami kolejny wielki pałac Gyeongbokgung. Historia Gyeongbokgung sięga czasów Korei dynastii Joseon, pierwsze zabudowania powstały na tym terenie już w 1395 roku. Niestety ze względu na ciężką historię Korei, również Gyeongbokgung dużo się nacierpiał. W 1592 roku został spalony podczas inwazji Japonii i aż przez 273 lata jego szczątki niszczały w zapomnieniu. Dopiero w 1867 roku przeprowadzono renowację podczas której odbudowano 330 budynków, które stanęły na powierzchni 432,703 m<sup>2</sup>.

Dziedziniec Zewnętrzny i Dziedziniec Wewnętrzny tworzyły podział życia władcy na dwie strefy. W Zewnętrznym znajdowały się oficjalne pomieszczenia dla władcy oraz podległych mu urzędników, a w Wewnętrznym kwatery prywatne dla rodziny królewskiej oraz ogrody. 330 budynków to aż 7 792 pomieszczeń, a do tego jeszcze bramy, pawilony, mosty i ogrody. Wszystko utrzymane w konfiguracji labiryntowej. Niestety znów dali o sobie znać Japończycy. Od 1911 roku kompleks był systematycznie niszczone, w 1915 roku, gdy zostało już tylko 10% zabudowań, Japończycy postawili na tym terenie kwatery kolonialistów. Cały kompleks jest otoczony murami wysokimi na 5 metrów a ich długość to 2404 m. Pałac cesarki ma 4 bramy, na wschodzie Geonchunmun, na południu Gwanghwamun, na zachodzie Yeongchumun a na północy Sinmumun. Nazwy bram oznaczają w kolejności wiosnę i drzewo, lato i ogień, jesień i metal, zimę i wodę.

Tutaj też trafiamy na zmianę warty, ale jest ona już dla nas mniej interesująca. Za to naszą uwagę zwracają Koreańczycy licznie ubrani w stroje narodowe – hanboki. Hanbok – określenie tradycyjnych koreańskich ubrań. Szaty hanbok znane są już od bardzo dawna, prawdopodobnie od czasów Trzech Królestw Korei. Początkowo szaty męskie i kobiece były takie same, z czasem zaczynały się różnić. W okresie Joseon wygląd szat uległ niewielkim zmianom.

Górna część zwana jest jeogori i jest podobna do bluzy z długimi rękawami, w wersji męskiej dłuższymi niż w kobiecej, sięgającymi do pasa. Żeński hanbok zawiera spódnicę (chima), męski natomiast workowate, luźne spodnie. Ubranie to nie zawiera kieszeni. Jedną z form hanboka jest chima jeogori. Tradycyjny kapelusz zwany jest gwanmo.

Wygląd szaty odzwierciedlał status społeczny noszącej ją osoby. Władcy i klasa rządząca posiadali wspiane i kosztowne, choć często niewygodne ubrania. Używali także biżuterii, w odróżnieniu od pospólstwa. Zwyczajni ludzie używali na co dzień prostych szat, zwykle w kolorze białym, które upiększano na święta i ceremonie. Podczas zimy używano ubrań podbitych bawełną albo futrem.

Hanboki dzieli się w zależności od ich celu na ubrania: codzienne, ceremonialne i specjalne. Ceremonialne używano na oficjalnych okazjach, włączając w to pierwsze urodziny dziecka, śluby czy pogrzeby. Specjalne szaty zakładane zaś były przez szamanów czy urzędników. Dziś hanbok zakładany jest głównie podczas oficjalnych okazji. Zanikł już zwyczaj ubierania się w codzienne hanboki.

Korea wprowadziła darmowe wejścia dla osób ubranych w narodowe hanboki. To dopiero sposób na zachowanie tradycji, stroje oczywiście są bardzo fotogeniczne zwłaszcza na tle takich budynków, choć są one niestety odrestaurowane, a często wręcz wybudowane na nowo.

Przechodzimy przez cały pałacowy park, na końcu którego znajduje się muzeum regionalne a przy nim zrekonstruowane budynki koreańskiej wsi czy miasteczka z ubiegłego wieku. Stąd przechodzimy do Muzeum Sztuki Współczesnej, gdzie oglądamy ciekawą wystawę, a właściwie instalację - są to spadające z rusztowań literki z wody, które układają się w całe słowa w różnych językach i nawet alfabetach.



Kolejnym miejscem jest Bukchon Hanok Village, czyli taka wieś w mieście, gdzie w starej, niskiej zabudowie mieszkają teraz zamożni Koreańczycy. Bukchon Hanok Village to tradycyjna koreańska wioska z długą historią. „Miasteczko” usytuowane jest między Pałacem Gyeongbok, Pałacem Changdeok i świątynią Jongmyo. Wioska składa się z wielu uliczek, tradycyjnych domków hanok i stanowi przykład 600-letniej organizacji miejskiej. Bukchon składa się z kilku dzielnic: Wonseo-dong, Jae-dong, Gye-dong, Gahoe-dong and Insa-dong. Ta ostatnia to tradycyjna dzielnica mieszkaniowa wysokich urzędników państwowych i szlachty w okresie dynastii Joseon. Współcześnie jest to obszar z wieloma centrami tradycyjnej kultury koreańskiej i restauracjami hanok, pozwalający turystom poczuć atmosferę z dynastii Joseon. Wszędzie drzwi są obklejone plakatami, aby zachowywać się cicho. Faktycznie turystów tu cała masa. Co ciekawe pierwszy raz w Azji gdy jesteśmy mamy problem z rozpoznaniem skąd pochodzi dany turysta. Po raz pierwszy turystów z Europy czy Ameryki Północnej nie jest dużo, natomiast są turyści lokalny – czyli Koreańczycy, Chińczycy, Japończycy i... weź tu rozpoznaj skąd dana osoba jest??? Wyglądają tak samo, mówią równie podobnie...

Po owej wsi robimy krótka przerwę na kimbapa w przydrożnej restauracyjce. Do kimbapa dostajemy sałatkę z marynowanej rzodkwi. Jest na słodko-kwaśno. Chwilę zajmuje nam stwierdzenie co my właściwie jemy za warzywo.

Dzisiejszych punktów do zobaczenia mamy wiele. Idziemy dalej na uliczkę Insa-Dong, która jest uliczką trochę turystyczną, trochę rozrywkową. Kupujemy tutaj nasze pierwsze pamiątki w postaci obrazków górskich w 4 porach roku. Tutaj również natykamy się na stoisko ze słodyczami, ale takimi, że przez chwilę oglądamy jak je się robi. Sprzedawca bierze kawałek twardego miodu i obtacza je w mące ryżowej, po czym na środku robi dziurę. Miód staje się w dłoniach miękki i sprzedawca zaczyna robić pętle. Po każdym przełożeniu pętla rosną wykładniczo do 64 tysięcy cienkich włókien. Wyglądają niczym włosy anielskie, aż trudno uwierzyć że to miód i mąka. Potem w kawałki takich włókien zawija się bakalie i ciasteczko gotowe. Niesamowite.

Na ulicy Insa-Dong jemy pierożki nadziewane kimchi (tradycyjne danie kuchni koreańskiej składające się z fermentowanych lub kiszonych warzyw. Zazwyczaj jest to kapusta pekińska, rzepa albo ogórek, ale można też przygotować kimchi z innych warzyw. Większość kimchi ma ostry smak z powodu użycia proszku z papryczek chili). Jedne są gotowane, drugie z kolei smażone na głębokim oleju. Jemy w małej restauracyjce, gdzie wszyscy siedzą przy ścianie, przy której jest lada. Z wyższej półeczki trzeba samemu brać do woli sałatkę – znowu rzodkiew, a także różne sosy. A ciekawostką jest to, że używa się tu metalowych a nie drewnianych pałeczek do jedzenia. Metalowymi trudniej się je.

Po zjedzeniu idziemy do ukrytej świątyni buddyjskiej Jogyesa Temple. Dookoła same wieżowce, a między nimi kolorowa świątynia, z której akurat dochodzą modły mnicha.

Jogyesa Temple nazywana jest twarzą koreańskiego buddyzmu Zen. Położona w centrum miasta, w obrębie czterech bram Seulu, odegrała znaczącą rolę podczas okupacji japońskiej. Mnisi ze świątyni uratowali wtedy wiele buddyjskich artefaktów przed zniszczeniem.

Główną świątynię zakonu Jongye wybudowano w 1910 roku i początkowo nosiła nazwę Gakhwangsa Temple. W 1937 roku klasztor został przeniesiony w obecne miejsce i po zmodernizowaniu przemianowany na Hwanggaksa. Po zajęciu Korei przez Japończyków zmienili oni nazwę świątyni na Taegosa. W 1954 roku zmieniono nazwę na obecną, żeby ostatecznie zatrzeć pozostałości japońskiego kolonializmu.

Pierwszym co rzuca się w oczy po przekroczeniu bramy są piękne drzewa: Baeksong i Chinese Scholar Tree. Baeksong ma ponad 500 lat. Chinese Scholar Tree (perłowiec japoński) jest

równie wiekowy, ma ponad 450 lat. Jest szczególnie oblegany przez wiernych, którzy wierzą, że drzewo kumuluje negatywną energię i zamienia ją w szczęście.

Zza drzew wyłania się Main Buddha Hall – główny budynek kompleksu, w którym znajdują się trzy złote posągi Buddy. Na przeciwko budynku stoi 10-piętrowa pagoda z relikwią Shakyamuni Buddha, którą w 1913 roku przywiózł do Korei mnich Dharmavara. To jedyna taka relikwia w Korei, więc pielgrzymują do niej buddyści z całego kraju.

Ostatnim miejscem w tej części Seulu jest Dzwon Bosingak Belfry, ale możemy go zobaczyć tylko z zewnątrz, bo jest zamknięty. Na szczęście pawilon nie ma ścian, więc widać go całkiem dobrze. Raz do roku, właśnie w Sylwestra, burmistrz miasta razem z innymi zasłużonymi wybija na nim ostatnie sekundy tego, co było. Obok znajduje się dość hałaśliwa uliczka z licznymi sklepikami i migającymi neonami. Natomiast w jednej z bocznych uliczek starsi Koreańczycy piją lokalny alkohol zwany soju i zajadają się jajkami na twardo...

Robi się coraz później i postanawiamy pojechać metrem do dzielnicy Gangnam, gdzie znajduje się most Banpo, na którym zlokalizowana jest największa fontanna na świecie, na dodatek wpisana do Księgi Rekordów Guinnessa. Niestety sika imponująco, ale podświetlenie jest słabe, muzyka też dochodzi gdzieś z daleka. Doczłapaliśmy się tu ostatkiem sił, a fontanna na moście nie powala. Jeszcze niestety musimy ponad kilometr wrócić do metra, przesiąść się w drugą linię, a potem jeszcze doczłapać do hotelu. Kolejny dzień lądujemy w pokoju późno. Robimy jeszcze chińską zupkę w pokoju i idziemy spać.

## **21 lipca (środa)**

Dzisiaj ze wstawianiem mamy znowu problem. Po tak intensywnych dwóch dniach, kolejne poranne wstawanie nam nie wychodzi. Przystawiamy budzik kilka razy. W końcu schodzimy na śniadanie, aby o 11 w końcu wyjść do miasta. To nasz ostatni dzień w Seulu, więc zostawiamy bagaże przy recepcji i idziemy na ostatnie zwiedzanie.

Kolejny raz wsiadamy do seulskiego metra, które oszołamia ilością linii, chociaż przesiadki zżerają sporo czasu, gdy trzeba zmienić poziom linii. Budowa metra w Seulu ruszyła w 1971 r. Trzy lata później gotowa była pierwsza, ośmiokilometrowa linia, składająca się z 9 stacji. Dziś 19 linii o łącznej długości 532 km (o 6 km dłuższe jest tylko metro w Szanghaju) obsługuje ponad 400 stacji. Sieć jest wciąż rozbudowywana. Na większości stacji zamontowano plastikowe drzwi oddzielające peron od pociągu, które otwierają się, gdy ten stanie na stacji. To poprawia bezpieczeństwo, a Korea Południowa jest krajem o jednym z najwyższych współczynników samobójstw na świecie.

Sieć jest tak skonstruowana, by jak najwięcej mieszkańców miasta miała do niej dostęp. Dziś 62 proc. z nich mieszka w odległości 10 minut spacerem od stacji. Plan w najbliższych latach zakłada zwiększenie tej dostępności o 10 proc. W dodatku sieć autobusowa jest tak skonstruowana, by każdy mógł dojechać autobusem do miejsca, z którego do metra będzie miał dwa kroki. Na każdej stacji są sklepiki, punkty z maskami przeciwgazowymi, znaki jak się zachowywać w metrze. Nawet wsiadanie i wysiadanie z wagonu ma swój rytuał. Wsiada się po dwóch skrajach drzwi, a wysiada środkiem drzwi, więc nie ma chaosu.

Metrem jedziemy do lejnego pałacu Chandeokung, który został wybudowany w 1405 roku, jako drugi pałac dynastii Joseon. Następnie przechodzimy do Changgyeonggung. Pałac został wzniesiony na początku XV wieku. Budowę rozpoczęto w 1405 roku, ukończono w 1412. Postawiła go dynastia Joseon. Wszedł w skład Pięciu Wielkich Pałaców w Seulu. To jedna z najpiękniejszych koreańskich siedzib królewskich. Pałac Changdeokgung zapiera dech w piersiach.

Dekoracje misternie wycięte w drewnie, kunsztowne kolorowe zdobienia, precyzyjnie malowane ornamenty, rzeźbione smoki - nic dziwnego, że ten cenny kompleks znajduje się na liście dziedzictwa UNESCO. Paweł ma już dość pałaców, a ja go jeszcze ciągnę do kolejnego – Jongmyo Srine, tutaj okazuje się że zwiedzanie jest tylko z przewodnikiem, no trudno oby tylko zdążyć w miarę stąd wyjść. Świątynia Jongmyo została dodana do listy światowego dziedzictwa UNESCO w roku 1995. Jest poświęcona duchom przodków rodziny królewskiej dynastii Joseon. Widać w niej duży wpływ tradycji konfucjanizmu.

W roku 1394, kiedy świątynia powstała, była jednym z najdłuższych, o ile nie najdłuższym budynkiem w Azji. Jest tutaj 19 tablic upamiętniających królów i 30 ich królowych umieszczonych w 19 komorach. Podczas inwazji japońskiej w 1592 roku świątynia została zniszczona, a następnie w 1608 roku odbudowana.

Na szczęście zwiedzanie trwa około 45 minut. Obok Jongmyo znajduje się skwer, na którym starsi mężczyźni grają w gry planszowe. Jest ich kilkudziesięciu. Są tak zaabsorbowani grą, że nie zwracają na nas uwagi. Tak w ogóle to pierwszy raz nikt na nas z tzw. tubylców nie zwraca uwagi. Nie musimy się od nikogo opędząć. To jest fajne.

Zaraz obok placu znajduje się jeden z najbardziej znanych targów miejskich Seulu Gwangjang Market. Oprócz przysłowiowego mydła i powidła, gdzie kupujemy metalowe pałeczki, znajduje się sektor jedzeniowy. Na straganach kobiety pichcą szybkie jedzonka. Decydujemy się na placki, które okazują się być robione z maki sojowej i kielków sojowych. Ogólnie większość jedzenia przedstawia dla nas zagadkę. Mimo tylu pobytów w Azji, kuchnia koreańska to całkiem co innego. Zjadamy ze smakiem owe placki z warzywami obtoczonymi w mące (pewnie też sojowej) i idziemy jeszcze nad tzw. potok Cheonggyecheon, który widzieliśmy już wczoraj, ale był cały obetonowany, a ta część jest dzika i zielona. Wygląda trochę wśród tych wieżowców jak kwiatek do kozucha. W 1968 roku w tym miejscu, w centrum Seulu, do użytku oddana została budowana przez 10 lat autostrada. Koryto potoku przykryto betonem. Projekt był wówczas oceniany jako przykład udanej urbanizacji. W 2003 roku óczesny burmistrz Seulu, Lee Myung-bak, postanowił usunąć autostradę i przywrócić potok. Mówiąc łagodnie – to nie było takie proste przedsięwzięcie, z bardzo wielu powodów. Zaczniemy od tego, że przez ignorancję i zaniedbania podbetonowy strumień prawie zupełnie wysechł, operacja wymagała pompowania i czyszczenia wody z rzeki. Trzeba było zaprojektować potężną zmianę w ruchu drogowym w tej okolicy.

Czas wracać do hotelu, bo już późno, a musimy zbierać się na lotnisko. Zabieramy z recepcji nasze bagaże i jedziemy kolejny raz na metro. Na lotnisko Gimpo docieramy po ponad godzinie i do wylotu mamy jeszcze dwie godziny. Ustawiamy się w kolejce do nadania bagażu, ale po wystaniu się w kolejce okazuje się że odprawia się na razie wcześniejszy lot i mamy przyjść za 40 minut. Siadamy więc na siedziskach i czekamy. Koło nas straszny gwar. Okazuje się, że to na wyspę Jeju lecą całe hordy Chińczyków. A wrzeszczą przy tym niemożliwie. Ciekawe czy Koreańczycy mają takie samo zdanie o chińskich turystach, jak Polacy o angielskich... Po tych 40 minutach szybko uciekamy od tego gwarne go tłumu, nadajemy bagaże i idziemy do kolejki, gdzie sprawdzane są nasze bilety. Ludzie jaka kolejka, Chińczycy się oczywiście pchają. Potem skanowanie bagażu podręcznego, czyli kontrola bezpieczeństwa. Na szczęście stanowisk dużo, więc idzie to sprawnie. Idziemy do naszego gate'u. Ciekawe, bo większość lotów i to nawet co parę minut, to loty na Jeju. Ile ta wyspa może pomieścić turystów??? Dla takiego Chińczyka to wakacje na Jeju, jak jeszcze kilkanaście lat temu dla Polaka były Kanary, czyli szczyt luksusu, na który mogło pozwolić sobie niewielu.

Wsiadamy do samolotu i o 20 lecimy około godzinki na lotnisko na Jeju. Na lotnisku mam problem z mapkami, bo wszystkie są albo po koreańsku, albo po chińsku. Stąd autobusem w 20

minut docieramy prawie pod drzwi naszego guesthousu You&I. Jest już 22, ale idziemy do polecanej przez pana w recepcji taniej knajpki, gdzie za 5zł jemy kimbapa z sałatką i rosółkiem oraz za 17zł bibimbapa. Trzeba dobrze się rozglądać aby zobaczyć że w stoliku jest szufladka, a w niej pałeczki i łyżki. Przed szybą restauracji w najlepsze pani produkująca masę kimbapów, zarówno do zjedzenia na miejscu, jak i na wynos.

Nasz pokój w hosteliku jest zdecydowanie większy niż poprzedni, więc nie trzeba się mijać zygzakami. Znowu jest dobrze wyposażony ręczniki, klima, wifi, lodówka z wodą mineralną, kaptcie po pokoju, kaptcie po łazience, jest i mydło, i szampon i żel pod prysznic. Jak nigdy do tej pory w Azji. Widać że inna liga, no ale skoro tu nocleg kosztuje 5 razy więcej niż nocleg w Ladakhu rok temu...

Wyspa Jeju (Czedżu)- – największa wyspa Korei Południowej, jednocześnie najmniejsza z jej prowincji. Wyspa położona jest w Cieśninie Koreańskiej, na południowy wschód od wybrzeża Korei. Największym miastem i stolicą prowincji jest Jeju City. Zamieszkiwana jest przez ponad 0,5 mln mieszkańców. Na wyspie są tylko dwa miasta Jeju City i Seigwipo. To wyspa pochodzenia wulkanicznego. Centralny wulkan Halla-san, 1950 m n.p.m., jest też najwyższym szczytem całej Korei Południowej.

Wyspa uformowała się miliony lat temu przez erupcje wulkanów. Klimat na wyspie jest subtropikalny, cieplejszy od pozostałej części Korei. Połowa lata jest deszczowa, zimy są przeważnie suche.

Ze względu na izolację wyspy przez wieki, ludność Jeju rozwinęła swoją odrębną od koreańskiej kulturę. Wyspa posiada również ogromne kamienne rzeźby, które przedstawiają ciekawą historię. Przed uzyskaniem form ludzkich były one jedynie bazaltowymi tworami, które zastygły po wylaniu się lawy i stanowiły naturalną ochronę pól przed burzami i silnym wiatrem. Dopiero ok. 1750 roku miejscowa ludność zaczęła rzeźbić skały a powstałe „kamienne dziady” (dolharubang) miały odstraszać intruzów. Do dzisiejszego dnia przetrwało 45 monolitów i są one symbolem starożytnej kultury bogatej w legendy i bogów.

Tutaj można spotkać kobiety Haenyo. W ich zajęciu nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że zanurzają się one na bezdechu i polują przy wykorzystaniu tradycyjnych metod oraz narzędzi. Groty, noże, harpuny to przyrządy posiadające wartość historyczną, są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Niestety tradycja kobiet morza zaczyna wymierać. Jednym z powodów są większe możliwości pracy kobiet w turystyce i dużych miastach. W latach 60. na wyspie Jeju (Czedżu) żyło około 26 tysięcy poławiaczek a zaledwie dekadę później było ich już tylko 15 tysięcy. Obecnie czynnych zawodowo Haenyeo jest około 2,5 tysiąca, z czego większość ma ponad 60 lat. Najstarsza sfotografowana kobieta morza ma 90 lat! Szacuje się, że przy obecnym tempie spadku liczby freediverek tradycja Haenyo wymrze całkowicie w ciągu najbliższych 20 lat. Haenyeo potrafią bez problemu zanurzyć się na głębokość około 20 metrów na 2-3 minuty. Czynność tę powtarzają nawet 100 razy w ciągu dnia! Kobiety morza spędzają w wodzie mniej więcej sześć godzin. Po wyjściu na brzeg ciągną za sobą kilkudziesięciokilogramowe sieci z połowem.

Dodatkowo kobiety są narażone na ataki rekinów, meduz oraz utonięcia. Wymienione czynniki powodują każdego roku śmierć kilku Haenyeo. Jednak to nie jedyne ryzyko, wieloletnie nurkowanie w pianie, która stanowi jedyną izolację przed zimną wodą prowadzi do reumatycznych zmian i bólu stawów. Mimo realnych niebezpieczeństw Haenyeo kultywują tradycję stając się chlubą i dużą atrakcją turystyczną wyspy.

Czas spać....

## 22 lipca (czwartek)

Wstajemy dość niespiesznie i schodzimy do jadalni, która jest olbrzymich rozmiarów. Na śniadanie można sobie zrobić jajka, których w szafie mają kilka palet, dżem, sok, kawa. Jest też herbat, ale ryżowa i ma dziwny smak. Niestety w sklepie jeszcze nie znaleźliśmy zwykłej czarnej.

Po śniadaniu wsiadamy w autobus 701 i jedziemy około 40 minut do jaskini Manjangul. Mijamy najpierw nieduże miejscowości, gdzie ludzie mieszkają w niskich domkach, a płyty zrobione są z brył tufu wulkanicznego. Po dotarciu do przystanku docelowego, mamy do przejścia około 2,5 km. Po drodze widzę atrakcję w postaci labiryntu z żywopłotu, gdzie mieszka 50 kotów, które siedzą nawet w recepcji na drukarce. Przyjdziemy tu w drodze z jaskini.

Docieramy do jaskini Manjangu, a tam nawet w toalecie, po wejściu zaczyna grać melodia. Co to za kraj? W toalecie są znaki że na muszli się siada a nie staje... to chyba znaki dla Chińczyków. Kupujemy bilet za 2000 wonów czyli jakieś 6,5 zł, cena w porównaniu do tej jaskini lawowej na Teneryfie, normalnie bajka. Ale dzięki przewodnikowi na Teneryfie teraz wszystko wiemy o jaskini lawowej. Wchodzimy. Jaskinia jest imponująca. Jakie tu musiały płynąć potoki lawy. Jakie tu są zaznaczone miejsca różnych poziomów lawy. Normalnie чудо.

Jaskinie lawowe to szczególny rodzaj jaskiń, powstały one podczas erupcji wulkanów, kiedy to lava płynąc zaczęła stygnąć od góry zasklepiając swoje koryta. Po całkowitym zamknięciu koryta, stygnięcie lawy zostało zatrzymane i płynęła ona sobie swobodnie aż do zakończenia erupcji. Po wypłynięciu całej lawy mamy piękne koryta - jaskinie, które dziś możemy podziwiać jako jaskinie lawowe (ang. lava tubes). Niewiele jest takich jaskiń na świecie, my wiemy o tych na Wyspach Kanaryjskich, Azorach, naszej w Korei (tak naprawdę to jest ich tu na Jeju kilka) i podobno największe znane są na Hawajach.

Mimo że w jaskini jest chłodno ja tego nie czuję, a Paweł twierdzi że zachowuję się jak ratlerek w sklepie mięsny. Do zwiedzania jest dostępny cały 1 kilometr z 13, które ma jaskinia, to ja się już nie dziwię że przepustowość ma nawet 7000 turystów dziennie. Jest ogromna. A hitem jest na końcu trasy zwiedzania - komin lawy, który spłynął z poziomu wyżej przez dziurę w stropie. Wygląda niesamowicie i podobno to jedyny znany taki twór przyrody. Jestem totalnie zafascynowana. Można zobaczyć że lava zakręcała, bo korytarze się wiją, są fragmenty gładkiej lawy tzw. pahoehoe, są twory przypominające żółwia, są gruzowiska skalne. Rewelacyjne miejsce. Teraz to już tylko na Hawaje muszę polecieć aby zobaczyć tamtejsze jaskinie lawowe. Czas szybko leci w jaskini jesteśmy prawie półtorej godziny.

Potem zjadamy szybką przekąskę w postaci kimbapa, robię zdjęcia kamiennym dziadkom i wracamy pod labirynt. Kupujemy bilet i wchodzimy do środka. Labirynt z żywopłotu jest pokaznych rozmiarów zarówno w poziomie jak w pionie. Sporo osób biega po tym labiryncie. Też najpierw chcemy pobawić się i znaleźć wyjście, ale okazuje się że łazimy i łazimy i nic z tego. Więc wyciągamy labirynt z mapką na bilecie, bierzemy długopis i chwile mocujemy się jak narysować drogę do wyjścia. Po czym chodzimy jeszcze kilka minut aby w końcu dotrzeć do wyjścia i zadzwonić w dzwonek. Śmieszna zabawa.

Wracamy na przystanek autobusowy. Mamy szczęście bo za 13 minut jedzie autobus 701, którym pojedziemy dalej aby zobaczyć wulkan Seongsan. Na wyspie Jeju oprócz jaskini można zobaczyć jeszcze inny cud natury, a mianowicie wulkan Seongsan Ilchulbong. Wzgórze ma 200 metrów wysokości. Jeju to wyspa wulkaniczna, dlatego pełna jest stożków, zwanych w dialekcie Jeju - oreum. Seongsan jest dość nietypowym wulkanem, powstałym poprzez kontakt morskiej wody z gorącą magmą. Jest to chyba jedyny tak świetnie zachowany stożek wulkanu takiego typu, bodajże na całym świecie. Dlatego został on wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO,

jak i całej Wyspy Jeju jako jednego z „Nowych siedmiu cudów natury”. Jest nazywany wulkanem wschodzącego słońca, bo podobno najładniej wygląda właśnie o wschodzie, tyle, że trzeba wstrześć się w sprzyjającą pogodę. Wulkan przypomina potężną fortecę z pionowo opadającymi ścianami do morza. Wnętrze krateru ma prawie idealny kształt koła, który można zobaczyć po wdrapaniu się na jego "obwód" pokonując kilkaset schodów. Krater wulkanu jest porośnięty dość bujną roślinnością. Autobus wiezie nas jeszcze godzinę do tego miejsca. Wulkan okazuje się dość sporych rozmiarów, a myślałam że to będzie małe. Kupujemy bilety i wspinamy się w dużej wilgotności powietrza do góry. Docieramy do krateru jak całe rzesze lokalnych turystów, którzy zazwyczaj przyjeżdżają do punktów turystycznych na wyspie autokarami, lub wynajętymi samochodami. Widok jest imponujący. Dużych rozmiarów krater porośnięty jest bujną roślinnością. Kiedy schodzimy widać jak jedno ze zboczy stromo schodzi do morza tworząc gigantycznych rozmiarów klif. Po zejściu kupuję małego kamiennego dziadka z tufu wulkanicznego, który stanie na naszej półeczce z pamiątkami. W każdym ze sklepików wyroby z pomarańczy od soku, po słodczyce. Wyspa Jeju słynie z drzew pomarańczowych, ale jest to jakaś mała odmiana przypominająca mandarynki.

Robi się późno więc zaczynamy zbierać się na przystanek, a tam sporo czekających ludzi, ale wszyscy zajęci swoimi komórkami.

Po półtorej godziny jazdy, gdzie część schodzi nam na przeglądaniu Internetu, bo ktoś w autobusie miał otwartą sieć internetowa. Jakoś nie mają tu problemu z zabezpieczeniem dostępu, ale to chyba dlatego że Internet jest tu tak popularny i dostępny.

Po powrocie do Jeju City idziemy coś zjeść. Nasz wybór pada na jedzonko Samgyeopsal – jedna z najlepszych rzeczy, jaką wymyślili Koreańczycy! Boczek smażony bez tłuszczu, jedzony po kawałeczku, co jest jednym z ulubionych dań do alkoholu (szczególnie soju). Często na tych płytach kelner kładzie także kimchi i kielki fasoli mung do usmażenia, ale skoro klient sam później obsługuje grillem, można wrzucić dowolny dodatek np. czosnek. Usmażone mięso opcjonalnie zawija się w liście sałaty. Siadamy przy stoliku, na którym jest płyta grzewcza z wokiem. Zamawiamy danie, a gość przynosi warzywa i mięso i pakuje to do naszego woka i po 10 minutach pyszne jedzonko jest gotowe. W międzyczasie przynosi różne marynowane warzywa, kimchi i sałatkę z makaronu, kukurydzy i majonezu. Co ciekawe nie trzeba kupować napoju bo wszędzie dostaje się bez ograniczeń zimna wodę do picia.

No i znowu robi się późno, czas iść spać, bo jutrzejszy dzień znowu spędzimy na chodzeniu i jeżdżeniu po okolicy.

## **23 lipca (piątek)**

Wstajemy i tradycyjnie udajemy się na śniadanie. Dzisiaj dość już mamy jajecznicę, więc jemy... jajka na twardo ?.

Po śniadaniu idziemy na autobus 781 aby nim pojechać do miejscowości Seogwipo i przejść się po tzw. Olle (ścieżki spacerowe) nr 7. Z nami wysiada pewien starszy Koreańczyk, który jest na emeryturze i postanawia z nami pochodzić, bo jest na Jeju na wypoczynku w swoim mieszkaniu. Żonę zostawił w Seulu, bo chce mieć święty spokój, bo go cały czas upomina żeby tyle nie gadał. Zresztą jak mówi, mężczyźni w Korei na imprezy nie zabierają żon. Są albo imprezy męskie, albo damskie. Kim, bo tak nazywa się Koreańczyk jest na emeryturze, a był inżynierem. Odchodząc na nią dostał pakiet, za który kupił sobie mały budynek, gdzie teraz od niego inni

wynajmują mieszkania. To dopiero fajne odejście na emeryturę... jak się okazuje inżynier zarabia tu co najmniej 3-4 razy więcej niż w Polsce.

Okazuje się że nasze olle nr 7 jest oddalone kilka kilometrów stąd, a autobus odjechał 10 minut temu, następny jest za kupę czasu, więc postanawiamy przejść się olle nr 6 i dotrzeć na olle nr 7. Żar z nieba się leje jak nie wiem co. Pan Kim zaprasza nas na obejrzenie wodospadu Cheonjeyeon.

Robi oczywiście zdjęcia z nami komórką i po chwili już rozsyła swoim znajomym. Idziemy sobie trochę ścieżkami olle i w końcu docieramy do olle nr 7. Idziemy zobaczyć tamtejsze plaże, która przedstawia trochę obraz rozpacz. Jest to nadmorski teren wśród skał. Pomiędzy skałami tworzą się naturalne małe zbiorniki i ludzie się tam w nich taplają. Wszyscy pobieraniu w pełne stroje z długimi rękawami i nawet każdy ma kapok. Wody w większości z tych naturalnych zbiorników jest po pas i to maks. A my w plecaczkach mamy nasze stroje kąpielowe. Wyglądalibyśmy tu bardzo dziwnie. Pozostaje nam tylko pomoczyć nogi i pójść dalej. Oglądamy skały sterczące z morza i wybrzeże klifowe. Mimo alejki drzew jest nam masakrycznie gorąco. Po ponad 9 kilometrach stwierdzamy że mamy dość i postanawiamy wrócić do drogi głównej. Wychodzimy na parking, a tam właśnie przyjechała jakaś mała wycieczka. Pan Kim zagaduje kierowcę i okazuje się że podwiezie nas do centrum, bo to jest mu po drodze, właśnie zostawił grupę i musi odebrać ją po drugiej stronie ścieżki. Szybko więc udaje nam się wrócić do centrum. Pan Kim pokazuje nam jeszcze lokalny targ w Segwoipo, gdzie można kupić dużo różnych dziwnych morskich stworzeń, których wcześniej nigdy nie widziałam, no i są jadalne. Niektóre wyglądają tak dziwnie, że żadna siła nie zmusiłaby mnie do ich zjedzenia.

Po obejrzeniu targu idziemy na przystanek autobusowy i wraz z panem Kimem wracamy do Jeju City. Pan Kim wysiada przystanek wcześniej. My postanawiamy iść coś zjeść. Wybór pada na tę samą restauracyjkę co wczoraj, bo w porze obiadowej mają danie w specjalnej cenie. Tyle że okazuje się, iż jest to dokładnie to samo danie w woku na stole, co jedliśmy tutaj wczoraj. Hmm dwa razy to samo jemy, ale przynajmniej jest smaczne.

Dzisiaj w końcu idziemy wcześniej spać, bo jutrzejszy dzień, to dzień na wejście na Hallasan...

## **24 lipca (niedziela)**

Wstajemy o 6:50. Szybko zbieramy się na śniadanie, gdzie dzisiaj jesteśmy pierwszymi wielkim pomieszczeniu kuchenne – jadalnianym. Nie trzeba kombinować jak zabrać Chińczykom patelnię, czy garnek.

Chwilę przed 8 już jedziemy autobusem pod wejście do parku z trasą na Hallasan. W tutejszej toalecie po wejściu zaczyna grać Vivaldi i jego cztery pory roku. Vivaldi chyba się w grobie przewraca.

Hallasan lub Halla – wulkan tarczowy na wyspie Jeju należącej. Leży na terenie Parku Narodowego Halla-san, który od 2007 r. znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Jest najwyższym szczytem wyspy oraz całej Korei Południowej. Ostatnia erupcja miała miejsce w 1007 r. Masyw Halla-sanu zajmuje całą powierzchnię wyspy i ma 1950 m npm.

Powstał w wyniku licznych erupcji w czasie pliocenu i plejstocenu. Zbudowany jest głównie z trachitu i bazaltu. Wierzchołek zakończony jest kraterem o średnicy ok. 400 m, w którym mieści się jezioro Pängnok-tam, co znaczy "miejsce, gdzie chodzi pić biały jeleń". Na zboczach masywy znajduje się ok. 360 stożków pasożytniczych, głównie zbudowanych z materiałów piroklastycznych, ale również kopuł wulkanicznych.

No to w drogę do góry. Przed nami w jedną stronę 9,6 kilometra. Co średnio 300-500 metrów pojawiają się informacje z trasą i odległością. Pierwsza część trasy jest łatwa ok 5km, potem ok. 2 km średniej i ostatnie 2 km to trasa trudna. Trasa biegnie ścieżka po kamienistym tufie, kiepsko się idzie po nim. Na dodatek przez cały czas jest pod górę, rzadko kiedy pojawiają się proste odcinki, a do pokonania mamy w pionie przewyższenie 1200 metrów. Te kamienie mnie martwią, bo potem będę musiała jakoś z tego zejść. Momentami zamiast ścieżki są schodkowe podesty. Po nich idzie się całkiem fajnie. Dobrze że cała trasa prowadzi w lesie, przynajmniej jest cień, ale dalej gorąco i parno. Pocę się jak mysz. Mamy sporo wody, ale wypijemy ją dość szybko. Zapas można uzupełnić dopiero na wysokości 1500m npm, gdzie znajduje się budynek, w którym można kupić zupkę, czy wodę. Po drodze widzimy jelonka i jakieś rude ni to kuny ni to wiewiórki.

Dłuższą przerwę robimy na wysokości 1500m npm, gdzie dokupujemy wody, napój izotoniczny i zajadamy się ciastkami. Większość Koreańczyków robi sobie przerwę na jedzenie i wyciąga nawet kocyki, rozkłada pudełka z pomidorkami, a zamiast kanapek królują tu wszędobylskie kimbapy. O tym nie pomyśleliśmy że można kupić kimbapa na wynos i wziąć ze sobą zamiast kanapek. Przed nami ostatni najtrudniejszy odcinek 2,3 km. No to się wspinamy. Łatwo nie jest bo cały czas ostro po kamieniach pod górę. Ostatni fragment około kilometra to już drewniane schodki na otwartej przestrzeni, mimo wysokości dalej jest ciepło. Wlokę się już do góry, bo nie mam siły. W końcu po prawie 4 godzinach i 45 minutach jestem przy kraterze. Wszyscy robią zdjęcia kraterowi i znajdującemu się w środku jeziorku. Odpoczywamy około pół godziny i czas schodzić na dół. Po pokonaniu ponownie tego najtrudniejszego odcinka 2,3 km nogi mi się trzęsą od schodzenia po tych schodkach albo drewnianych albo kamiennych, a gdzie tu jeszcze ponad 7 km. Środkowy odcinek jest całkiem przyzwoity, bo głównie po podestach, ale ostatnie 4km, to już umieram. Nogi mam jak z waty. A przecież mam wypożyczone w naszym hosteliku kijki trekkingowe. Bez nich to już całkiem bym tu umarła. Schodzę w sumie 4,5 godziny. Dobrze, że po 5 minutach jest autobus powrotny do Jeju City. Pół godziny jazdy i docieramy do centrum. Czas doczłapać się do guesthousa i koniecznie się wykąpać. Co za ulga po tym dniu. Ja mam już tylko jedno marzenie walnąć się na łóżko i się przez jakiś czas nie ruszać. Paweł zbiera pranie i znosi do ogólnodostępnej pralki. Pranie w guesthousie jest darmowe. Płatna jest tylko suszarka, z czego postanawiamy skorzystać, bo to w sumie tylko 10 zł, a ma jeszcze funkcję prasowania. Chociaż ciekawi mnie jak z suszarki można wyciągnąć wyprasowane pranie. No to będzie okazja aby o tym się przekonać. W między czasie postanawiamy trochę zmienić plany podróży i jutro zamiast płynąć promem na półwysep, postanawiamy polecieć tam bezpośrednio samolotem. Domawiamy więc jeszcze dwie wcześniejsze noce w hotelu, który zamówiliśmy już wcześniej w Busan. Jutro nie trzeba będzie się nigdzie zrywać o świcie.

W tym czasie kiedy suszarka już suszy nasze pranie idziemy coś zjeść. Najpierw idziemy uliczkami pełnymi knajpek, ale w końcu postanawiamy wrócić do tej pierwszej, którą polecił nam gość w guesthousie pierwszego wieczoru.

Na początek zamawiamy naszego ulubionego kimbap, a do tego zupę z pierożkami wonton oraz jedną ze specjalności Korei czyli zimna zupa - Mul Naengmyeon. Najpierw dostajemy kimbapa więc zjadamy go ze smakiem z 3 różnymi dodatkami – kimchi, grzybami i jeszcze jakaś kiszonka marynowana. Do tego mini rosółek. Po zjedzeniu tego okazuje się nasze dwie zupy są w wielkich michach. Chyba tego nie zjemy. Najlepsza jest ta lodowa, bo w zupie pływa masa



kruszonego lodu. To popularna zimna potrawa koreańska. Sama nazwa dania oznacza „zimny makaron”. W skład potrawy wchodzi długi oraz twardy makaron z mąki gryczanej, podawany razem z kawałkami wołowiny lub drobiu oraz obranym jajkiem.

Naengmyeon przyrządzano od czasów koreańskiej dynastii Yi (1392-1910), ale stał się popularny w całej Korei dopiero po zakończeniu Wojny Koreańskiej (1950-1953). Najbardziej reprezentatywny jest pochodzący z Pjongjangu tzw. mul-naengmyeon, w którym podaje się makaron wraz z dodatkami w misce z zimną zupą o smaku słodko-kwaśnym. Potrawa ta jest najczęściej jadana podczas upałów w okresie letnim jako posiłek orzeźwiający. Heh takiej zupy nie zamówiłabym za żadne skarby w Indiach, bo choroba byłaby murowana. Cienki makaron jest przyjemnie zimny. A pani z obsługi jeszcze donosi nam dodatków, bo okazuje się, że na nie, nie ma ograniczeń. Trzeba sobie dobierać jak się skończy. O jak mi się ta knajpka podoba. Najadamy się jak bąki. Nogami wlokę jak nie wiem co. Jutro będę mieć mega zakwasy...

Po powrocie do guesthousu nasze pranie kończy się suszyć i prasować w suszarce. Paweł przynosi je jeszcze gorące i faktycznie jest całkiem nieźle wyprasowane. Nieźle to urządzenie.

## **25 lipca (poniedziałek)**

Po wczorajszym ciężkim dniu możemy się wyspać. Na śniadanie schodzimy dobrze po 9:30. Trzeba się gimnastykować, bo Chińczycy pozajmowali wszystko co możliwe. Błee robią sobie tosty z dżemem i na to jajecznica. Dżem i jajecznica na jednej kanapce. Kto to widział.

Po śniadaniu pakujemy rzeczy i na dwie godziny zostawiamy je na recepcji. Po czym udajemy się na pocztę aby wysłać kilka pocztówek i przejść się po najbliższym marketcie, ale jest dość ospały i niewielki. Większość stoisk jest pozamykana. Zaglądamy też do jednego większego supermarketu. Dużo towarów jest przetworzonych, gotowych do użycia. Zupki, dania, mąka w paczkach gotowa do robienia ciasteczek. Są wszelkiej maści sproszkowane przyprawy od pyłu z rybek po pył z cynamonu. Można tu kupić cienki papier z glonów do kimbapów, a workami 20 kg ryżu to tu nie ma co się dziwić. Jest też stoisko suszonych pakowanych ryb. Tylko nigdzie nie widać czarnej herbaty – zielona, ryżowa, smakowa, icetea i owszem, ale czarnej brak.

Zabieramy nasze bagaże i jedziemy na lotnisko. Od razu jest możliwość nadania bagaży, więc się ich pozbywamy. Obok stoją plansze z informacją, że po incydencie we Francji bagaże są dokładniej sprawdzane. Co chwilę ktoś nas pyta czy nie mamy żadnych baterii, zapalniczek, czy nawet e-papierosów. Obserwujemy ludzi. Małe dzieci podczas podróży są noszone przez babcie. Matka dzieci zajmuje się bagażami, a dziecko jest przytroczone chustami do babci. Wózków jakoś zbyt często nie używają.

Dużo osób posiada wiatraczki na baterie, które pomagają przetrwać gorąco. Natomiast hitem są wiatraczki podłączane do komórek na kabelku i z nich czerpią energię.

Punktualnie o 15:35 nasz samolot linii Jeju Air wzbija się w powietrze. Z okien samolotu można jeszcze w oddali zobaczyć wulkan Seongsan. Na pokładzie obsługa podaje sok pomarańczowy. Jakże mogłoby być inaczej na tej pomarańczowej wyspie. Raptem po 40 minutach lotu docieramy do wielkiego Busan, położonego wśród zalesionych pagórów. Stop to nie pagóry, to spore góry, a miasto rozrosło się w dolinach. Z samolotu wygląda to dość osobliwie. Dość ciemno nad miastem. Po wylądowaniu widzimy że pada, a jeszcze przed chwilą narzekaliśmy na słońce na Jeju. Tam było go za dużo, tu go nie ma wcale. Ten deszcz mi się nie podoba...

Busan - największe miasto portowe Korei Południowej; zespół miejski ok. 4,1 mln mieszkańców. Jest miastem na prawach metropolii. Drugie co do wielkości miasto kraju. Od początku XV wieku Pusan był portem handlowym mającym połączenia z Japonią.

W czasie wojny koreańskiej rejon w promieniu 20 km od Pusan nazwano workiem pusańskim, do którego po błyskawicznej ofensywie KRL-D zostały zepchnięte niedobitki sił wiernych Li Syng Manowi i wojsk amerykańskich. Od 4 sierpnia do 15 września 1950 trwała obrona worka pusańskiego, z którego po powodzeniu desantu pod Incheon 15 września 1950 r. ruszyła ofensywa 80-tysięcznego zgrupowania wojsk USA, działających pod auspicjami ONZ, w kierunku na Daejeon i Seul.

Szybciutko odbieramy nasze bagaże i wsiadamy do szybkiego pociągu po czym po trzech stacjach przesiadamy się do metra. Kiedy metro jedzie nie pod ziemią, to widać miasto, które jest wielkie, wieżowce i szare blokowiska ściśnięte są blisko siebie, dlaczego oni tych szarych kilkunastopiętrowych bloków nie pomalują na ładne kolory? To wygląda strasznie smutno i okropnie.

Wysiadamy na stacji Yeosan. Wychodzimy według wskazówek podanych przez hotel i po kilku minutach szukania znajdujemy miejsce naszego noclegu. Hotel mieści się od 3 do 6 piętra. Mamy pokój standard, ale po opłaceniu 3 nocy gość w recepcji stwierdza, że da nam deluxe. Woow... tego jeszcze nie było. Na wyposażeniu pokoju są dwa komputery z wielkimi monitorami, na ścianie gigantyczny telewizor, lodówka z kilkoma napojami, czajnik, suszarka, lokówka, a w łazience szlafroki, a nawet cały zestaw kosmetyków ze szczoteczkami, gąbką itp.

Po ulokowaniu się w hotelu idziemy rozejrzeć się po okolicy i coś zjeść. Cała okolica to kolorowa dzielnica z wieloma neonami. Dookoła większość to restauracje z owocami morza. Przed knajpkami stoją akwaria, z których obsługa wyławia produkty na dania zamówione przez klientów. Chociaż w okolicy wszystko jest dość drogie. Kręcimy się chwilę aby znaleźć coś ciekawego dla nas. W końcu dopatrujemy się restauracji z dobrymi cenami i tłumem ludzi w środku. Jest tylko jeden problem, nie ma menu po angielsku, ani nawet żadnych obrazków potraw które ułatwiłyby sprawę. Na szczęście jeden z kelnerów coś tam mówi po angielsku i udaje nam się zamówić za jakieś 45zł furę boczku wieprzowego i wołowego do smażenia na płycie wraz z dodatkami. Sałatek jest kilka poczynając od kimchi przez inne kiszonki, aż o świeżą zielenię i sosy. Kiedy przynoszą nam owa furę cienko krojonego, mrożonego boczku panie siedzące obok przy stoliku pokazują nam jak smażyć. Zabawa jest przednia co chwilę dorzucamy nowe kawałki, a wszystko skwierczy aż miło. Po najedzeniu się zaglądam do zamrażarki. Mają tam całą wielką skrzynię wypełnioną plasterkami boczku.

Wracamy do naszego hoteliku, który obok ma posterunek policji. W sumie nie wiem czy to przypadek czy nie, ale część klubów podchodzi mi na nocne kluby z kobietami. Ciekawa ta okolica.

Idziemy spać bo jutro kolejny dzień, a ja mam takie zakwasy w nogach po wejściu na Hallasan, że ledwie jestem w stanie chodzić. Przyda mi się odpoczynek...

## **26 lipca (wtorek)**

Pierwszy poranek w Busan. Wstajemy i idziemy na śniadanie. W naszym hotelu niestety nie ma takiej możliwości, więc udajemy się do najbliższego sklepu, gdzie zawsze znajdzie się jakieś stoisko z jedzeniem na zimno, czy do odgrzania. Mogą w takim sklepie znajdować się mikrofalówki. Najpierw kupuje się jedzenie w sklepie, a potem odgrzewa i siada się przy stolikach. Tak się akurat składa, że w sklepie na rogu jest całe stoisko z kimbapami, które na miejscu robią

dwie panie. Do tego dostajemy dwa rosółki i sosik. Tak najedzeni możemy udać się na zwiedzanie. A co dzisiaj? Na dzisiejszy dzień zaplanowaliśmy wypad do Gyeongju położonego ok. 90 km za Busan. Wsiadamy więc do metra i jedziemy na ostatnią stację linii nr 1 aż do Nopo, gdzie obok znajduje się duży terminal autobusowy. Kupujemy bilety i okazuje się iż autobus odjeżdża za 6 minut. Oczywiście kupowanie biletu chwile trwa, bo jest problem z miejscowością do której jedziemy. Pani w okienku intonuje na dwa różne sposoby, bo są dwa różne miasta bardzo podobnie brzmiące. Już na samym początku pobytu w Korei przekonaliśmy się że gdy wymawiamy tutejsze nazwy miast, ulic, nazwy przystanków metra, to chwilę to trwa zanim Koreańczyk załapie o co nam chodzi.

Autobus rusza punktualnie o 10:45 i śmiga autostradą. Dookoła cały czas ciągną się zalesione pasma górskie. Docieramy do Gyeongju. Ze względu na zachowane tu zabytki miasto jest ważnym ośrodkiem turystycznym w skali kraju. Gyeongju ma bogatą historię, między VII a X wiekiem było stolicą państwa Silla. Z tamtego okresu zachowały się tu m. in. fundamenty pałacu, dawne obserwatorium astronomiczne i kamienna pagoda Punhwangsa z VII wieku. W rejonie miasta odkryto też wiele starożytnych grobów z kamiennymi nasypami nad drewnianą komorą grobową. Historyczne dzielnice miasta wpisano w 2000 roku na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Rety, ale jest gorąco. Mam wrażenie że zaraz umrzemy tu od tego słońca. Dzisiaj w cieniu ma być ponad 35 stopni. Jest masakra. Żar z nieba taki się leje, że po trzech sekundach człowiek jest cały mokry. Nic nie robię, a po plecach leci mi pot, z twarzy skapują kolejne krople potu. Ileż muszę dzisiaj wypić płynów, aby to zrównoważyć. Co ciekawe w Korei można nie wydawać nic na napoje, bo wszędzie woda jest za darmo. Można uzupełnić butelkę w restauracji, można w publicznym wodopoju.

Najpierw idziemy do pobliskiej informacji turystycznej, aby zobaczyć co polecają i jakie mają mapki. Zakreślają na planie miasta kilka najważniejszych obiektów i postanawiamy zacząć od najdalej położonej świątyni Bulguksa, gdzie jedziemy autobusem. Jednej rzeczy nie rozumiem, kiedy w Azji zaczęły robić porządne mapy i stosować a nich coś takiego co nazywa się skala. Na dodatek posługiwanie się tym planem z informacji turystycznej to jak ruletka. Wszystkie odległości są z kosmosu. Na mapie autor po prostu porozmieszczał obiekty jak mu wyszło. Jedziemy autobusem dłuższy czas, dookoła same obszary zabytkowe, albo rozrywkowe. Mam wyraźnie jakby to miasto było wielkim parkiem. Po pół godzinie jazdy docieramy do świątyni Bulguksa. Klasztor buddyjski z VIII wieku, położony w okolicach miasta Gyeongju w Korei Południowej. W 1995 roku wpisano go wraz z pobliską skalną świątynią Seokguram na listę światowego dziedzictwa UNESCO jako jeden z pierwszych obiektów w kraju. Klasztor wybudowany został jako dość mała świątynia ok. 528 r. przez króla Beopheunga dla jego matki Pani Yongjie, na zachodnim stoku góry Toham w pobliżu miasta Gyeongju, które było przez jakiś czas stolicą państwa Silla. Pierwotnie nazywał się Pomnyu. W tym też roku król wydał edykt o zakazie zabijania zwierząt w Silli. W roku 574 Pomnyu został rozbudowany przez Panią Chiso, matkę króla Jinheunga (pan. 540–576). W 751 r. za panowania króla Gyeongdeoka (pan. 742–765) premier Kim Taesong rozpoczął rekonstrukcję klasztoru. W 17 lat później całkowicie ukończony wielki klasztor otrzymał nową nazwę – Pulguk. Składał się wtedy z 200 drewnianych budynków rozłożonych wokół dziedzińców, z których każdy reprezentował inny aspekt nauk Sutry Awatamsaki.

Przy świątyni jest źródło przy którym znajdują się chochelki i każdy może napić się wody, albo uzupełnić zapas do butelek na później. Po świątyni płacze się sporo turystów, ale głównie azjatyckich. Po obejrzeniu świątyni, jedziemy z powrotem do centrum. Wsiadamy przed miejskim dworcem. Niestety gdybyśmy lepiej się przyjrżeli, to zauważylibyśmy, że trzeba było wsiąść

wcześniej, a tak musimy się wracać dwa kilometry, aby zobaczyć Donggung Palace i Wolji Pond, czyli jeziorko. Zanim tam docieramy mijamy ogromne ogrody najpierw hektary lotosów, potem hibiskusów i innych. Grzeje niemiłosiernie, więc po dotarciu do owego pałacu najpierw musimy chwilę odsapnąć pod drzewami. Gdzieś tam w oddali słychać polskie glosy. W końcu ruszamy aby obejść trzy budynki ala wiaty i owe jeziorko. Jakoś nie jest to super oszałamiające, ale podobno tyle odrestaurowano z całości dawnego kompleksu pałacowego.

Z kompleksu idziemy dalej ścieżka do Cheomseongdae – czyli dawne obserwatorium astronomiczne, stworzone w VIIw. Jest jednym z najstarszych obserwatoriów w Azji. Służyło do obserwowania gwiazd w celu prognozowania pogody. Cheomseongdae został zbudowany w kształcie cylindra z kamieniami o średnicy 30cm. 362 kamienie zostały spiętrzone do 27 poziomów. Zostawiono również przestrzeń aby zawiesić drabinę pod nią. Ma 9 metrów wysokości. Dzięki instrumentowi można można wyznaczyć dni równonocy i przesilen. Uważa się, że instrument służył również do wyznaczania kierunków świata, a 362 kamienie reprezentują 362 dni w roku księżycowym.

Znowu mijamy ogrody kwiatów i pracowników ze śmiesznymi krzeselkami w stylu małej pufy, które są do nich przywiązane i nie trzeba klękać, ani kucać, bo po prostu od razu siada się na siedzisku. Ciekawy pomysł.

Mijamy kilka zielonych kurhanów, które są widoczne wszędzie w panoramie miasta. Te akurat to groby króla Naemula. Co ciekawe wszędzie gdzie się popatrzy widzi się jakieś wykopaliska archeologiczne. Docieramy pod most Woljeonggyo, który jest w trakcie rekonstrukcji. Widać jego główną część, ale mają powstać jeszcze bramy. Następnie przechodzimy przez wieś Gyochohan Hanok i dalej snujemy się już w kierunku dworca. Na szczęście mapa centrum nie jest tak zwichrowana jak jej obrzeża, więc nie jest najgorzej z dotarciem do poszczególnych miejsc, bo już baliśmy się że dzieli je kilkukilometrowa odległość.

Na jednym ze skrzyżowań wstępujemy na coś do jedzenia. Jemy zupę z makaronem i... bingsu, czyli górę śniegu. Jak się okazuje na górze jest pagórek kruszonego lodu, a pod nim słodka czerwona fasola, z żelkami. Całość smakuje naprawdę zaskakująco, choć po wyglądzie nie można się tego spodziewać.

Na koniec przechodzimy kolejnymi małymi uliczkami miasta z niskimi domkami, aby dotrzeć do lokalnego McDonalda, gdzie zjemy lody, które chyba na całym świecie są w każdym Macu takie same. Przeglądamy menu, bo zawsze co kraj to pojawia się jakaś lokalna odmiana hamburgera. Tutaj jest hamburger buldogi, czyli wołowy.

Po godzinie jazdy jesteśmy z powrotem w Busan na stacji Nopo, gdzie wsiadamy do metra i suniemy do Yeonsan, czyli tam gdzie mieszkamy. W metrze można poobserwować lokalnych mieszkańców. Najlepsze co zobaczyłam to to, że dziewczęta noszą w torebkach po jednym wałku, który np. jadąc w metrze nakładają na grzywkę na kilka minut, aby im się pokręciła. Nie wyobrażam sobie tego u nas w Polsce! Poza tym mają ze sobą dużo kosmetyków, pudrów i szminek. Producenci czerwonej i różowej szminki mają tutaj niezłe zyski. Nie ważne czy ma się lat 20 czy 70 Koreanki lubują się w szmince. Poza tym starsze babcie koreańskie kończenie muszą mieć trwałą ondulację na głowie, czego absolutnie nie mają młode osoby. No i stroje babć są też niezłe. Duża ich liczba chodzi w sukienkach czy bluzkach w kwiaty. Więc są super kolorowe. We włosach też potrafią mieć kolorowe spinki. No i w metrze na równi z młodymi używają komórek, nie tylko do rozmów. Tak w ogóle to mało kto rozmawia przez telefon w trakcie jazdy! Szkoda, że u nas w Polsce niektórzy tak głośno rozmawiają, że aż słychać na pół tramwaju czy autobusu. Starsi panowie noszą się bez ekstrawagancji, że właściwie trudno mi tu coś ciekawego o nich napisać.

Natomiast młodzież kocha adidas, t-shirty, spodenki, niezależnie od płci. Panowie bardzo często mają do tego okulary ala Harry Potter, lub dość kanciaste większe od twarzy. Tych okularników jest jakoś tak dość dużo, że zaczęłam podejrzewać, że takie okulary to część mody i może szkła są zwykłe, a niektórzy jak się okazało noszą tylko oprawki.

W końcu docieramy do hotelu. Ufff czas się wykapać po całym dniu, zjeść zupkę z kubelka i obejrzeć jakiś film na tym wielkim telewizorze.

## **27 lipca (środa)**

Pobudka o 9, za oknem znowu słońce mocno świeci. Pogodowo ma być powtórka z rozrywki. Dzisiaj dzień spędzamy na oglądaniu samego Busan.

Zaczynamy od śniadania na rogu w sklepiku, czyli tak jak wczoraj kimbap z rosołkami. Potem wsiadamy w metro i jedziemy na stację Toseong linia nr 1. Na początek chcemy odwiedzić wieś Gamcheon położoną na zboczach jednego ze wznesień. Według informacji mamy tam dojechać jeszcze autobusem, ale kiedy wysiadamy z metra widzimy na zboczu niskie kolorowe domki, więc stwierdzamy że możemy tam iść nie potrzeba nam żadnego autobusu. Idziemy i dzięki pod górkę. Już wiem po co miał być autobus, aby się tak nie zmasakrować w tym słońcu. Tym bardziej, że moje mięśnie łydek po wejściu na Hallasna dają o sobie znać cały czas. W końcu kiedy docieramy do owej wsi, okazuje się że ta właściwa część jest po drugiej stronie góry. Widok z punktu widokowego na steki małych kolorowych domków jest niesamowity.

Środkiem przebiega jedna droga turystyczna, gdzie zlokalizowane są sklepiki, restauracje, są lokalni artyści. Na początku tej uliczki kupujemy mapę wsi, na której zaznaczone są co ciekawsze budynków, a także miejsca gdzie można zbierać pieczętki. Tak w ogóle to Koreańczycy wiecznie w różnych miejscach turystycznych zbierają pieczętki ozdobne. W dwóch miejscach na trasie wsi można za to otrzymać pocztówki.

Wstępujemy do kawiarni na lody z zielonej herbaty. Są ładnie zielone i właściwie to jest ich najważniejsza cecha charakterystyczna. Co do smaku to raczej dość mdławy. Tutaj również na uliczce spotykamy sprzedawcę chrupek, które są mrożone w ciekłym azocie. Pyszne, ale odmrażamy sobie trochę języki. Widoki na okoliczne domki są świetne. Trochę dziwnie musi się tu mieszkać lokalnym ludziom, bo wszędzie płaczą się turyści.

Po obejrzeniu wsi postanawiamy zejść tą samą drogą i udać się na tzw. BIFF Square, na którym znajdują się odbite dłonie znanych osób. Są nawet dwa polskie: Agnieszki Holland i Krzysztofa Zanussiego. Cała uliczka jest gwarna od ludzi. Znajdują się tu sklepy, ale i stoiska z jedzeniem ustawione na chodniku.

Po BIFFie idziemy na Gukje market, ale jest to market na kilkunastu uliczkach, gdzie jest sprzedawane mydło i powidło. Na jednej z uliczek babcie koreańskie mają rozstawione pudła, garnki i sprzedają gotowe małe obiady. Na deskach stoją w miskach makarony z warzywami gotowe już do zalania.

Po Gukje Market czas przyszedł na Jagalchi Market – największy targ rybny w Korei. Wielka hala, w której są dziesiątki stoisk z małymi zbiornikami w których pływają żywe ryby, ale i kraby. W miskach wystawione są na zachętę dziwne żyjątka w postaci małż, jakichś ślimaków, i innych cudów, których nawet nie wiem jak opisać, bo w życiu ich nie widziałam. Jedno żyjątko jest niczym sikawka, jak się je naciśnie sika. Świetne byłoby na śmigusa dyngusa.

Obok Jagalchi Market jest kolejny targ (Dried Seafood Market) gdzie sprzedawane są głównie suszone owoce morza. Całe kartony małych rybek, ale dosłownie małych po 1-2cm. Oczywiście zapach roznosi się osobiłwy.

W końcu idziemy na wieżę widokową. Wyjeżdżamy na górę i tu jest prawdziwe woow. Dzisiejsza upalna i słoneczna pogoda powoduje że widoki z wieży są oszalamiające. Jak na dłoni widać miasto z detalami. Teraz widać jego ogrom i że w mieście są dziesiątki wieżowców. Widać też ogromny wijący się nad zatoką most Gwangan. Drugi najdłuższy most w kraju, ma 7,420 metrów. Jeden z symboli miasta. Budowę rozpoczęto w 1994 roku, a zakończono w grudniu 2002 roku. Aż nie chce się schodzić na dół. Ale nam się udało. I wcale nie było tu kolejki jak na wieżę w Seulu. Po prostu kupiliśmy bilet i wsiedliśmy do windy.

Czas w końcu wracać. Wsiadamy do metra i wracamy na naszą stację Yeonsan. Postanawiamy jeszcze raz pójść na obiad do restauracji, w której jedliśmy przedwczoraj. Dzisiaj udaje nam się zamówić te same cienkie plastry boczku oraz grubsze kawałki wieprzowiny. Słyszymy że w karcie dań jest też pies.... A wydawało mi się że przedwczoraj słyszałam duck (kaczka) a nie dog – pies. Ale jednak...

Obiad jest wyśmienity. Okazuje się że kawałki wieprzowiny są wielkie plus jeszcze kilkadziesiąt kawałków boczku plus do tego wszelkie kiszonki i ryż sprawia że objadamy się jak bączki. Po obiedzie w markeciku kupujemy jeszcze zimne piwo i możemy wracać do hotelu na wieczorny odpoczynek. Koło północy Paweł dostaje smsa z bookingu że ściągną nam kasę bo nie pojawiliśmy się w hotelu. Hmm a gdzie my właśnie jesteśmy??? Paweł schodzi na recepcję i okazuje się że to im na dole się pomyliło bo nie zwrócili uwagi że mieliśmy dwie osobne rezerwacje. Raz zamówiliśmy dwie noce i raz jeszcze jedną noc. I sobie tego nie odznaczyli. Ale już mają to naprawić.

Koło 1 w nocy dzwoni mój telefon. Mimo odrzucenia rozmowy, ktoś 4 razy próbuje się do mnie dodzwonić z nieznanego mi numeru. Wychodzi, że jest to stacjonarny gdzieś z Białej Podlaskiej. Chyba jakaś pomyłka, bo nikogo tam nie znam. Idziemy spać, ale dziesięć minut po drugiej telefon budzi mnie. Po raz kolejny dzwoni ten sam numer. Wyłączam telefon, bo jak zadzwoni za kolejną godzinę raz jeszcze to mnie trafi...

## **28 lipca (czwartek)**

Dzisiaj rano się nie spieszymy. Śpimy sobie spokojnie do 9. Potem trzeba spakować wszystkie nasze graty, bo czas wyjeżdżać. Wczoraj z panem na recepcji ustaliliśmy, że bagaże zostawimy na recepcji i na kilka godzin wyjdziemy, aby potem wrócić, zabrać bagaże i pojechać na przystań promową.

Kiedy rano schodzimy do recepcji okazuje się, że nie musimy się wykwaterowywać teraz tylko o powrocie koło 16. No rewelacja. Jeszcze przed promem weźmiemy prysznic. To chyba efekt nocnego zamieszania z naszą rezerwacją. Więc wracamy z bagażami do pokoju, zabieramy tylko niezbędne rzeczy i idziemy na śniadanie. To samo które jemy od dwóch dni. Panie w sklepiku już się śmieją i od razu podają nam kimbapa.

Po śniadaniu jedziemy na stację Beomeosa, gdzie mamy wsiąść w autobus nr 90 aby dojechać do świątyni. Dzisiaj już z tej opcji korzystamy. Skoro każą jechać autobusem to jedziemy, a nie idziemy. Nauczeni wczorajszym doświadczeniem zdecydowanie warto było jechać, bo to niby tylko 3 kilometry, ale 3 pod górę. Zespół świątynny Beomeosa jest naprawdę ładny. Nie ma tu zbyt dużo zwiedzających. Budynków świątynnych jest sporo. Wchodzimy nawet do małego, ale już

nowoczesnego muzeum, w którym są stare księgi zapisane jeszcze alfabetem chińskim, zanim pojawił się hangul – czyli alfabet koreański.

Język koreański był jednym z kluczowych czynników dzięki którym ukształtowała się ich tak silna tożsamość narodowa. Podstawę języka urzędowego stanowi dialekt mieszkańców Seulu i centralnych rejonów kraju. Poza nim istnieje wiele odrębnych dialektów, jednak podobieństwo między nimi jest tak duże, że ludzie nie mają problemów ze wzajemnym zrozumieniem. Język koreański, obok tureckiego, fińskiego, węgierskiego, tybetańskiego, japońskiego i mongolskiego, należy do grupy języków uralско-алтаjskich. Dostrzec w nim można silny wpływ chińskiego, co wynika z silnego związku pomiędzy tymi krajami na przestrzeni wieków. Tak jak w języku japońskim, w koreańskim występuje bardzo wiele zapożyczeń z chińskiego (głównie słownictwo i frazeologia). Struktura gramatyczna koreańskiego jest bardzo bliska strukturze japońskiego, co sprawia, że Koreańczycy tak chętnie podejmują naukę języka sąsiedniego kraju. W XV wieku, na polecenie króla Saejonga, grupa uczonych stworzyła koreańskie pismo nazwane hangulem. Alfabet koreański jest uważany za jeden z najbardziej naukowych systemów pisma na świecie. Składa się on z 10 samogłosek i 14 spółgłosek, które w połączeniu tworzą różne sylaby. System ten jest prosty i łatwy do opanowania. Niektórzy twierdzą, iż właśnie te cechy sprawiły, że w Korei jest tak niski poziom analfabetyzmu.

Dlaczego alfabet koreański jest tak prosty? Przede wszystkim dlatego, że kształt znaków został określony według pewnej zasady, którą omówię dalej. Dodatkową zaletą tego alfabetu jest to, że nie wyewoluował z hieroglifów, czy ideogramów tylko powstał sztucznie na polecenie króla Sejonga. Król ten dostrzegł sporą przepaść pomiędzy wyedukowaną elitą społeczną, a pogrążoną w analfabetyzmie biedotą. Działo się tak głównie za sprawą obowiązującego w tamtym czasie zapisu znakami chińskimi. Opanowanie pisma chińskiego było dostępne tylko dla bogatszej części społeczeństwa. Jednak za sprawą króla Sejonga powstał prostszy zapis dzięki, któremu dość szybko zmniejszono odsetek analfabetyzmu. Elity do XX wieku nie chciały uznać zapisu Hangulem i nadal stosowały tradycyjny zapis hancha (czyt. chancza). Hangul, po prostu był nieodpowiedni dla ludzi wykształconych.

Wracając mijamy potok, w którym jest cała masa głazów i małe wodne oczka, przy których piknikują dziesiątki Koreańczyków, a wodne oczka, gdzie woda po kostki służy dzieciom do wodnych zabaw z użyciem dmuchanego koła...

Wracamy autobusem pod metro Beomeosa, ale tutaj w jednej z knajpek postanawiamy zjeść obiad. Wybieramy zupę wonton z pierożkami i trafiamy na coś czego jeszcze nie jedliśmy. Potrawa nazywa się tonkatsu – pochodzi z Japonii i jest to kotlet obtoczony serem i słodkimi ziemniakami, a całość w panierce. Do tego bardzo pyszny ciemny sos. Jakby tego było mało świeża kapusta w sosie majonezowo-ananasowym. Nie mogło też zabraknąć kiszonek w postaci kimchi, soi i bakłazana.

Wracamy do hotelu, gdzie bierzemy prysznic i o 16 opuszczamy pokój. Przynajmniej człowiek nie jedzie na prom spocony jak nie wiem co. Najpierw jedziemy metrem, a potem przesiadamy się do shuttle buss, który zawozi nas pod same drzwi wielkiego terminala pasażerskiego. Ludzi sporo, odchodzą dwa nocne promy do Japonii. Najpierw zamieniamy nasz wydruk rezerwacji na karty pokładowe, potem do 19 czekamy, aż będzie można przejść dalej. O 19 podróźni ustawiają się i zostają wpuszczeni do hali prześwietlania bagażu, potem odprawy paszportowej. Po otrzymaniu pieczęci wyjazdowej z Korei idziemy prosto na statek linii New Camellia.

Znajdujemy naszą kajutę 434. Już w niej wszyscy są oprócz nas, więc mamy miejsca przy drzwiach. W kajucie jest 11 miejsc. Śpi się na materacach na podłodze. Nad głową są szafki gdzie wkłada się bagaże. Przy wejściu piętrowa szafka na buty. W kajucie jak się okazuje są zarówno

Koreańczycy jak i Japończycy. Na całym statku nie spotykamy ani jednej osoby z Europy. Są sami Azjaci.

Zostawiamy rzeczy i idziemy rozejrzeć się po statku. Na 3 poziomie jest restauracja, sklepik, ale i są automaty gdzie można kupić napoje z piwem japońskim, słodczyce, zupki ramen oraz dania, które maszyna sama odgrzeje. Kupujemy zupki i piwo. Japońskie zupki ramen, są o wiele lepsze niż chińskie. Chyba lepiej im to wychodzi. Są spore kawałki warzyw, a u Pawła nawet całe krewetki, które po zalaniu wrzątkiem naprawdę dobrze smakują.

Potem łazimy dalej po pokładach. Można tu znaleźć cztery pokoje do karaoke, gdzie dobywają się wycia, wydającym się że umieją śpiewać. Jest tu pomieszczenie do gry na automatach. Można też obejrzeć film. Wszyscy podróżni latają po statku jak kot po gorącej blasze. Wszystkie atrakcje są czynne do 23. Co ciekawe zaokrętowani jesteśmy o 19, ale statek odpływa dopiero o 22:30 więc wszyscy mają czas na to, aby do 23 nalatać się po statku a potem iść spać. Sami też latamy z Pawłem zobaczyć co jeszcze jest tu ciekawego. Słońce zaszło i miasto zaczyna być pięknie oświetlone. Zwłaszcza wielki most nad zatoką mieni się kolorami. Z osobami z kajuty wiele nie pogadamy, bo ich angielski ogranicza się do kilku słów. Nawet dzieciaki nie kumają angielskiego. Jeden gość na zewnątrz nas zaczepia. Jest z Seulu i dobrze zna angielski. Mówi że będziemy zadowoleni z kuchni japońskiej. Że jest niby tańsza i ma większy wybór. Ten Koreańczyk mieszkał tam 10 lat, a potem nie mógł przyzwycząić się do ograniczonego zestawu dan koreańskich.

Jedną z ciekawostek statku jest łaźnia. Osobno dla mężczyzn i kobiet. Wchodzi się do pierwszego pomieszczenia, gdzie w koszyczkach zostawia się wszystkie rzeczy i idzie do drugiego się myć. Wszyscy szorują się w nich ile wlezie. Są tu nawet ogólnodostępne mydło i szampon. Oprócz tego że siada się na krzeselku przy prysznicu i szoruje się aby być totalnie czystym, to potem można wejść jeszcze basenu. Widok jest dość dziwaczny, bo wszyscy latają tu nago i się tym wcale nie krępują. Po umyciu wraca się do pierwszego pomieszczenia, gdzie się suszy suszarkami włosy i ubiera w stroje do spania. Komedia... kiedy wracam do kajuty, okazuje się że Paweł ma nowych kolegów. Dzieci z kajuty odkryły jego grę na tablecie z robaczkami i teraz mu pomagają grać.

Punktualnie o 22:30 statek odbija z portu. Ludzie wylegają z kajut na zewnątrz aby zobaczyć jak przepływamy pod kolorowo oświetlonym mostem.

Po przepłynięciu pod mostem wracamy do kajuty. Ja jeszcze robię notatki z ostatnich dni. Część osób już śpi, a część się gdzieś płacze po statku. Ogólnie zapadła cisza na statku wszyscy od tej 19 naszaleli się w bardzo szybkim tempie. O 23 gaśnie światło, to tym bardziej znak do spania. Tym bardziej, że statek zawija jutro do portu w japońskiej Fukuoce o 7:30.

No to dobranoc... o ludzie, ale tu twardo na tej podłodze. Niby rozkładany materacyk jest, ale wcale ni jest lepiej. Co ciekawe mała poduszeczka w kształcie cegły, jak z filmów o Japonii dawnych czasów, tyle że nie drewniana.

## **29 lipca (piątek)**

Od 5 rano świeci już się w kabinie światło. Ale masakra. Jesteśmy już w porcie japońskim – w Fukuoce. Jeszcze wszyscy śpią, bo i tak wyjście ze statku jest dopiero o 7:30. Koło 6 zaczyna się ruch, bo od tej godziny czynna jest już restauracja i część osób udaje się w tamtą stronę. Nam się nie spieszy i wstajemy jak większość osób w naszej kajucie koło 7 rano. Byleby tylko skorzystać z łazienki.



O 7:30 wszyscy zbierają się przy wyjściu i zostajemy wpuszczeni do portu. Idziemy do hali, w której sprawdzają nam paszporty, bo to jest przejście graniczne i wjazd do Japonii. Tutaj pierwszy raz dokładnie nas wypytyją po co przyjechaliśmy do Japonii. Każą wpisać dokładny adres mieszkania. Do tej pory jak wpisaliśmy nazwę miasta to wystarczało, natomiast w Japonii, musi być dokładnie, z telefonem włącznie. Potem przejście przez część celną. Zostajemy wypytni czy nie wwozimy zakazanych rzeczy. Sporo osób ma przeglądany bagaż, ale to głównie Koreańczycy.

Japonia – państwo wyspiarskie usytuowane na wąskim łańcuchu wysp na zachodnim Pacyfiku, u wschodnich wybrzeży Azji, o długości 3,3 tys. km. Archipelag rozciąga się niemal południkowo (Japończycy utrzymują, że ich kraj ma kształt „trzydniowego Księżyca”), od Morza Ochockiego na północy do Morza Wschodniochińskiego i Tajwanu na południu. Stolica Tokio jest usytuowana prawie dokładnie na tej samej szerokości geograficznej co Ateny, Pekin, Teheran i Waszyngton.

Archipelag składa się z czterech głównych wysp: Hokkaido, Honsiu, Sikoku i Kiusiu (97% obszaru lądowego) oraz 6848 mniejszych wysp. Według danych z 2006 r. łączna powierzchnia kraju wynosi 377 921 km<sup>2</sup>. Większość powierzchni jest pokryta górami, a najwyższym szczytem jest czynny wulkan Fudzi (3776 m). Z tego powodu prawie połowa ludności zamieszkuje nadmorski pas nizin rozciągający się pomiędzy Tokio a Osaką i Nagoją. Tam też rozwijało się rolnictwo i przemysł. Obszar ten stanowi 13% terytorium kraju.

Japonia jest położona na styku płyt tektonicznych, w obrębie „ognistego pierścienia Pacyfiku”. Stałym więc zagrożeniem są trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów i fale tsunami. Stąd wynikają różnice danych podających liczbę wysp i odmienną wielkość powierzchni kraju. W sierpniu i wrześniu nad archipelag nadchodzą tajfuny powstające na zachodnim Pacyfiku.

Z liczbą ludności 126,5 mln osób Japonia zajmuje 10. miejsce na świecie. Według danych ONZ i WHO, przeciętna długość życia jest najwyższa w świecie. Japonia należy do grupy krajów wysoko rozwiniętych, jest jedną z czołowych potęg gospodarczych świata.

Zgodnie z przyjętą w 1947 r. demokratyczną konstytucją, Japonia jest monarchią parlamentarną z cesarzem jako symbolem jedności państwa i wybieranym w wyborach powszechnych dwuizbowym parlamentem.

Linia brzegowa Japonii jest bardzo dobrze rozwinięta; cechuje ją różnorodność typów wybrzeży. Na wschodzie i południu Honsiu przeważa wybrzeże klifowe, natomiast wokół Wewnętrznego Morza Japońskiego, czyli pomiędzy Honsiu, Kiusiu i Sikoku, wybrzeże jest riasowe. Taki sam typ wybrzeża występuje na zachodnim wybrzeżu Kiusiu. Na północy Honsiu i na Hokkaido brzeg morski ma charakter aluwialny, występuje wybrzeże limanowe i lagunowe. W wielu miejscach w północnym i południowo-wschodnim Honsiu oraz na Hokkaido występują wały wydymowe. Wyspy Riukiu są w wielu miejscach otoczone przez rafy koralowe. Wyspy Japońskie od wschodu opadają w rów oceaniczny o głębokości do 9810 m. Zachodnie brzegi kraju są oblewane przez płytsze wody Morza Japońskiego o maksymalnej głębokości 4226 m.

Budowa geologiczna Japonii jest skomplikowana. Występują zarówno stare fragmenty skorupy kontynentalnej, pochodzące z prekambru, jak i obszary zbudowane ze skał paleozoicznych, mezozoicznych i kenozoicznych. Występuje także duża ilość skał wulkanicznych, które powstały od miocenu po dzień dzisiejszy. Najstarszymi skałami są pochodzące z prekambru gnejsy występujące na wyspie Oki. W osadach jurajskich w środkowej części Honsiu występują otoczaki granitowe o wieku około 1,6 mld lat. Liczne, zwłaszcza na Sikoku i Kiusiu oraz w południowej części Honsiu, są skały metamorficzne i kompleksy ofiolitowe, które są fragmentami dawnego dna oceanicznego. Skały te pochodzą z okresu paleozoicznego. Wśród osadów permskich i mezozoicznych występują

różnorodne wapienie, dolomit oraz skały okruchowe (flisz), a poza nimi skały krzemionkowe, które powstały w głębokowodnych częściach oceanu.

Wyspy Japońskie zostały ukształtowane w wyniku licznych orogenez. Główna oś gór i ich układ jest wynikiem fałdowań jakie miały miejsce w mezozoiku. Odmłodzenie górskiej rzeźby nastąpiło w czasie orogenezy alpejskiej. W czasie tejże orogenezy powstały liczne spękania oraz zaszły duże przemieszczenia pionowe i poziome. W tym czasie rozwinęła się także działalność wulkaniczna. Skutkiem powstałych procesów wulkanicznych oraz plutonicznych, jakie występują po dzień dzisiejszy, było wytworzenie się intruzji granitowych i pokryw lawowych oraz tufowych. Wykształcenie się obecnych rysów rzeźby było wynikiem fałdowań i działalności rzeźbotwórczej wód płynących i morza w okresie kenozoiku. Ponadto wpływ na obecną rzeźbę Japonii ma aktywny wulkanizm oraz trzęsienia ziemi. Należy podkreślić, że chociaż budowa geologiczna Wysp Japońskich nawiązuje do Azji, to są one od kontynentu azjatyckiego oddzielone skorupą ziemską typu oceanicznego, podobnie jak od Ameryki. Wyspy Japońskie tworzą rodzaj mikrokontynentu.

Wyspy Japońskie leżą nie tylko w obrębie aktywnej sejsmicznie strefy górotwórczej, biegnącej wokół Oceanu Spokojnego, ale także na styku czterech płyt tektonicznych: wielkiej eurazjatyckiej – przemieszczającej się w kierunku wschodnim, północnoamerykańskiej, płyty pacyficznej – przemieszczającej się w kierunku zachodnim (około 10 cm rocznie) oraz mniejszej płyty filipińskiej.

W Japonii znajduje się 160 wulkanów, z czego czynnych jest około 80 (Lista wulkanów w Japonii). Najaktywniejszymi z nich są: Asama-yama i Bandai-san na Honsiu, Tokachi-dake na Hokkaido, Sakurajima, Kirishima-yama i Aso-san na Kiusiu. Na obszarach wulkanicznych występują liczne źródła mineralne (około 15 tys.), w większości termalne, gdzie dominują gejzery. Występujące powszechnie wokół innych wulkanów gorące źródła, gejzery, stawy gorącego błota oraz wyziewy gazów i par świadczą o tym, iż nie są one całkowicie uśpione, a ich działalność wciąż stanowi poważne zagrożenie erupcją. Wody termalne są tradycyjnie wykorzystywane w łaźniach i uzdrowiskach do celów leczniczych.

Japonia jest bardzo aktywnym sejsmicznie obszarem. Rocznie występuje około od 1000 do 3000 trzęsień ziemi o różnej skali i sile. Zdecydowana większość z nich jest na tyle słaba, że rejestrują je tylko czułe sejsmografy. Co kilka lat trzęsienia ziemi mają charakter katastrofalny. Trzęsienie ziemi w 1923 r. pochłonęło 140 tys. ofiar (głównie w Tokio i Jokohamie). Do katastrofalnego trzęsienia ziemi doszło w Kobe w 1995 r., gdzie zginęło ponad 6000 osób. Spowodowało ono przy tym ogromne zniszczenia, mimo stosowania nowoczesnych technologii i materiałów w budownictwie. Ostatnie, tragiczne w skutkach, trzęsienie ziemi u wybrzeży Honsiu miało miejsce 11 marca 2011 r.

Podmorskie trzęsienia ziemi są przyczyną powstawania fal morskich zwanych tsunami o wysokości nawet do 30 m, powodujących katastrofalne powodzie. Główne epicentra trzęsień dna znajdują się pomiędzy północno-wschodnim wybrzeżem Honsiu i głębią Rowu Japońskiego.

Wielkie trzęsienia ziemi na nizinie Kantō zdarzają się mniej więcej co 70 lat. Do katastrofalnych fal tsunami doszło w 1495 r., kiedy zniszczyły większą część Kamakury, a w 1993 r. – wyspę Okushiri u wybrzeży Hokkaido. Wstrząsom tektonicznym często towarzyszy tworzenie się uskoków. Niektóre obszary podnoszone są nawet do 250 m, gdzie indziej powstają zapadliska o podobnej głębokości. Z tego powodu liczba małych wysepek wokół głównych wysp Archipelagu Japońskiego często się zmienia.

Wyspy Japońskie stanowią nadwodną część potężnego łańcucha górskiego, wznoszącego się z dna oceanu. Japonia niemal w 90% jest zdominowana przez obszary wyżynne, górskie i

śródogórskie. Spośród tychże obszarów 10% stanowią góry wysokie. Cechą charakterystyczną kraju jest brak równin, a obszary nizinne są na tyle niewielkie, że w każdym miejscu kraju można ujrzeć górskie i przedgórskie elementy rzeźby terenu. Obszary nadbrzeżne, także są w większości urozmaicone. W wielu miejscach stoki gór opadają wprost do morza.

Obszary nizinne są niewielkie i mają aluwialną postać. W południowo-wschodniej części Honsiu rozciąga się równina Kantō (13 tys. km<sup>2</sup>) – największy japoński obszar nizinny, w którego południowej części, nad Zatoką Tokijską, leży stolica państwa – Tokio. Obszary nizinne skupiają się w strefie wybrzeża, a do pozostałych obszarów nizinnych należą trzeciorzędowe tarasy. Poza nimi występują także dna śródogórskich kotlin i dolin, często tektonicznego pochodzenia. Tereny górzyste, które stanowią zdecydowaną większość, wznoszą się średnio na 2000 m n.p.m. Na terytorium Japonii znajduje się około 600 szczytów o wysokości przekraczającej 2000 m n.p.m., wśród nich znaczna jest liczba stożków wulkanicznych. Około 50% powierzchni leży powyżej 500 m n.p.m. Pasma górskie, przeważnie o przebiegu południkowym, są rozdzielone kotlinami tektonicznymi.

W rzeźbie Japonii można wyróżnić cztery główne regiony:

Region Hokkaido: Najbardziej wysunięta na północ, rozległa wyspa Hokkaido poprzecinana jest pasmami górskimi: Kitami na północy, Hidaka na południowym wschodzie i Teshio na zachodzie. Główne łańcuchy górskie tej wyspy mają przebieg południkowy. Najwyższy szczyt – Asahi wznosi się na 2291 m n.p.m. Szczyt ten wznosi się w masywie wulkanicznym Ishikari, leżącym w centrum wyspy. Grzbiet Hidaka, leżący na południe od Ishikari oddziela dwa obszary nizinne Hokkaido: Ishikari na zachodzie i Tokachi na wschodzie. Obie niziny należą do największych nizin, poza wyżej wymienioną równiną Kantō.

Większe obszary nizinne zajmują ponadto zachodnią część Hokkaido, a na północnym wschodzie w głąb Morza Ochockiego wcina się górzisty półwysep Shiretoko. Natomiast południowo-zachodnią część dawnego Ezo stanowią półwyspy Shakotan i Ōshima. Niewielkie góry Teshio od pozostałych gór leżących na wschodzie oddziela ciągnąca się na północ, wzdłuż rzeki Ishikari, wyżej wymieniona aluwialna nizina o tej samej nazwie. Góry Kitami są długim na ponad 150 km pasmem, której maksymalne wzniesienie wynosi 1558 m n.p.m. jest to szczyt Teshio-dake. Góry Hidaka są wyższe niż Kitami; ich najwyższy szczyt Horoshiri-dake wznosi się na 2052 m n.p.m. W południowo-wschodniej części Hokkaido leży wydłużony półwysep Oshima, którego od wyspy Honsiu oddziela wąska na 19,5 km cieśnina Tsugaru.

Region Północno-Wschodni: Region ten obejmuje północną część wyspy Honsiu, która nazywa się Tōhoku. Jego północny kraniec wyznaczają półwyspy Shimokita i Tsugaru. Od tego miejsca biorą swój początek i przebiegają południkowo wzdłuż poszarpanego, klifowego wybrzeża wschodniego góry Kitakami. Przez środek owego regionu biegną góry Ōu. Oba pasma będące kontynuacją gór na Hokkaido rozdzielone są niziną doliną, uchodzącej do Pacyfiku rzeki Kitakami, w której południowej części znajduje się główne miasto Tōhoku – Sendai.

Pośród nadbrzeżnych nizin północno-zachodniego wybrzeża Honsiu, nieopodal półwyspu Oga znajduje się najniższy położony punkt Japonii – kryptodepresja jeziora Hachirō-gata (4 m p.p.m.). Dalej na południe dolina rzeki Mogami oddziela Ōu od biegnącego równoległe do zachodniego wybrzeża pasma górskiego – Echigo, które z kolei płynnie przechodzi w zajmujące wnętrze wyspy rozległe góry Mikuni. Mikuni leżą na południowym skraju Regionu Północno-Wschodniego, a ich najwyższym szczytem jest Hiuchi-dake, o wysokości 2346 m n.p.m. Na wschód od Mikuni, wzdłuż wybrzeża Pacyfiku, biegnie zdecydowanie niższe pasmo Abukuma. Góry Kitakami i Abukuma zbudowane są ze starych skał tworzących gdzieniegdzie płaskowyże.

Pośród wyżej wymienionych pasm leżą doliny i kotliny jak Kikatami czy Koriyama. Uchodząca do Morza Japońskiego na wysokości wyspy Sado rzeka Shinano, oddziela Mikuni od położonych na zachód od nich Alp Japońskich. Od tego miejsca zaczyna się leżący na południe od Tohoku – Region Centralny.

Region Centralny: Region Centralny zwany Chūbu jest najwyżej wzniesionym obszarem Japonii. Znajduje się tam główny łańcuch górski tego obszaru, Alpy Japońskie, na które składają się trzy biegnące południkowo pasma: Hida na północy, Kiso w strefie środkowej i Akaishi na południu. Średnia wysokość Alp Japońskich wynosi 3000 m n.p.m. Na wschód od Akaishi wznosi się najwyższy szczyt Japonii – Fudzi, który jest wulkanem o wysokości 3776 m n.p.m. Mniej więcej w tym miejscu terytorium Japonii jest najszerze i mierzy blisko 270 km. Na północ od Fudzi, a na południe od gór Mikuni leżą mniejsze, tym niemniej równie wyniosłe pasma: Tanzawa, Okuchichibu i Yatsugatake. Przez region Chūbu biegnie z północy na południe rów tektoniczny zwany Fossa Magna. Z jego dna leżącego pomiędzy 200 a 700 m n.p.m. wyrastają liczne wulkany. Samo dno rowu składa się przeważnie z izolowanych kotlin. Góry Hida ku zachodowi przechodzą w rozległą wyżynę i dalej wąskie niziny nadbrzeżne. Niziny te obejmują półwysep Noto na północy i nizinę Nobi na południu. W centralnej części niziny Nobi nad zatoką Ise leży główne miasto Chūbu – Nagoja.

Region Południowo-Zachodni: Region ten obejmuje południową część wyspy Honsiu, a jego północną granicę stanowi zwężenie, którego południowy kraniec stanowi miasto Nagoja, a północny zatoka Wakasa. Poza południowym Honsiu, Region Południowo-Zachodni obejmuje wyspy Sikoku i Kiusiu. Osią regionu jest pas obniżen pokryty częściowo wodami Setonai-kai czyli Wewnętrznego Morza Japońskiego.

W stosunku do Regionu Centralnego rzeźba terenu Regionu Południowo-Zachodniego jest bardziej urozmaicona, a morze w wielu miejscach wcina się głęboko w ląd. Południowe Honsiu jest zdecydowanie mniej góryste, niż pozostała część wyspy. Przeważają wyżyny, a rejony nadbrzeżne są nizinne. Im dalej na zachód wyspy, tym góry stają się niższe. Zachodnią część Honsiu w przeważającej części stanowi biegnące równoleżnikowo rozległe, relatywnie niewysokie pasmo gór Chūgoku. Najwyższym szczytem tych gór jest Daisen, o wysokości 1729 m n.p.m.

Kanał Kii oraz usiane rozlicznymi wyspami Wewnętrzne Morze Japońskie oddzielają Honsiu od czwartej największej wyspy Japonii – Sikoku. Większą jej część zajmują góry Sikoku z najwyższym wzniesieniem Ishizuchi (1 982 m n.p.m.). W północno-wschodniej części wyspy dolina rzeki Yoshino oddziela je od niewielkiego pasma Sanuki. Nadbrzeżne niziny północnej części Sikoku stanowią obszar osadniczy z miastami Matsuyama i Takamatsu na czele.

Na południowym zachodzie kraju położona jest trzecia pod względem wielkości wyspa, Kiusiu, oddzielona od Honsiu wąską cieśniną Kanmon, a od Sikoku cieśniną Bungo.

Mające południkowy przebieg góry Kiusiu, których kulminacją jest położony w środkowo-północnej części wyspy szczyt Kujū (1 788 m n.p.m.) zajmują większość jej obszaru. Na północnym wybrzeżu znajduje się największe miasto Kiusiu – Fukuoka.

Silnie rozczłonkowane wybrzeża przybrały postać licznych półwyspów: Ōsumi i Satsuma na południu oraz Shimabara, Nishisonogi i Nagasaki na zachodzie. Ponadto, nieopodal występują liczne mniejsze wyspy i archipelagi takie, jak: Cuszima, Iki, Amakusa, czy też Gotō.

Południowe zwieńczenie Wysp Japońskich stanowi długa na 1000 km girlanda wysp Nansei, które dzielą się na położone bliżej Kiusiu Satsunan oraz dalsze Riukiu na czele z Okinawą. Do Japonii należą też inne grupy wysp, a więc leżące około 2000 km na południe od Tokio Ogasawara i

Kazan oraz położone bliżej Honsiu wyspy Izu. Razem wzięte określane są one mianem wysp Nanpō i wyznaczają granicę pomiędzy Pacyfikiem a Morzem Filipińskim, na którym znajdują się jeszcze położone na wschód od Okinawy wyspy Daitō. Wyspy Riukiu są pozbawione wysokich gór; najwyższy szczyt Okinawy sięga 503 m n.p.m.

Wyspy Japońskie leżą w trzech strefach klimatycznych: umiarkowanej cieplej na północ od 38°N (Hokkaido, północne Honsiu), podzwrotnikowej między 31–38°N (środkowe i południowe Honsiu, Sikoku, Kiusiu) i zwrotnikowej między 24–31°N (południowy skraj Kiusiu oraz archipelag Riukiu). Głównym czynnikiem kształtującym klimat Japonii jest monsunowa cyrkulacja mas powietrza, związana z panującymi układami barycznymi nad Azją i Oceanem Spokojnym. Na strefowość klimatyczną nakłada się klimat monsunowy, którego zasięg obejmuje wyspy i kształtuje morski charakter klimatu kraju. Poza wyspami Nansei oraz południową częścią Kiusiu w Japonii wyraźnie zaznaczają się cztery pory roku. Napływ chłodnych mas powietrza z kontynentu azjatyckiego w zimie oraz ciepłych mas znad Pacyfiku w lecie jest przyczyną znacznego zróżnicowania klimatu w poszczególnych częściach archipelagu. W górach niezależnie od pory roku, temperatura spada wraz z wysokością, średnio o 0,6 °C co 100 m.

Terytorium Japonii w całości należy do zlewiska Oceanu Spokojnego z czego 35% to zlewisko Morza Japońskiego. Zlewisko Pacyfiku tworzy gęsta sieć krótkich, górskich rzek z licznymi progami, a co za tym idzie wodospadami oraz bystrzami. W związku z czym tylko miejscami nadają się one do regularnej żeglugi, przede wszystkim spławu drewna. Niemniej jednak ze względu na znaczne spadki wód, owe ciekі posiadają znaczny potencjał hydroenergetyczny, a także znajdują zastosowanie w nawadnianiu pól uprawnych.

Energetyczny potencjał rzek Japonii jest szacowany na około 25 mln kW. Wiosną w czasie topnienia śniegów rzeki na Hokkaido i północnym Honsiu oraz pozostałe w czasie opadów letnich mają znaczne przybory wód, tym samym powodując często w ich dolnych biegach katastrofalne powodzie. Tylko 9 rzek ma więcej niż 200 km. Do najdłuższych rzek zaliczają się płynące przez Honsiu: Shinano (367 km) oraz Tone (322 km), a także najdłuższy ciek Hokkaido – Ishikari (268 km). Natomiast największe, bo liczące 16 840 km<sup>2</sup> dorzecze posiada Tone; następnie Ishikari 14 330 km<sup>2</sup> i Shinano 11 900 km<sup>2</sup>.

Najwyższym japońskim wodospadem, liczącym 497 m, jest Hannoki. Znajduje się on w prefekturze Toyama. Jego aktywność można obserwować jedynie w okresie od kwietnia do lipca. Drugim pod względem wielkości, a ponadto całorocznym jest Shōmyō, którego wody spadają z wysokości 349 m. Najsłynniejsze jednak wodospady tego kraju to: Nachi (133 m wysokości) w prefekturze Wakayama oraz Kegon (96 m) w Nikkō. Wody niektórych rzek, zwłaszcza na północno-wschodnich terenach Hokkaido mają odczyn silnie kwaśny, przez co nie nadają się do użytku gospodarczego i rolniczego.

W Japonii występuje ponad 600 jezior o różnej genezie i łącznej powierzchni około 3000 km<sup>2</sup>. Największym jeziorem jest Biwa, którego powierzchnia wynosi 670 km<sup>2</sup> i znajduje się ono w środkowej części Honsiu. Ponadto jeszcze trzy jeziora zajmują obszar większy niż 100 km<sup>2</sup>, a są to: położone na wschód od Tokio, w prefekturze Ibaraki, Kasumigaura (167,6 km<sup>2</sup>), Saroma (151,9 km<sup>2</sup>) na Hokkaido oraz leżące w regionie Tohoku Inawashiro (103,3 km<sup>2</sup>). Najgłębszymi jeziorami są: położone na północy Honsiu, w prefekturze Akita Tazawa (423,4 m), Shikotsu (360,1 m) na Hokkaido, znajdujące się w północnym Tohoku Towada (326,8 m) oraz Mashu (211,4 m), które podobnie jak Shikotsu leży na drugiej pod względem wielkości japońskiej wyspie. Kolejne cztery, w tym Biwa, mają głębokość przekraczającą 100 m. Znajdujące się na północ od Tokio, w prefekturze Tochigi, Chūzenji jest najwyższym położonym jeziorem w Japonii, tj. 1269 m n.p.m.

Następne są położone w środkowym Honsiu, w prefekturze Nagano jeziora Kizaki (764 m n.p.m.) oraz Suwa (759 m n.p.m.), a także wspomniane wyżej Inawashiro (514 m n.p.m.).

Za sprawą szczególnie dużej aktywności wulkanicznej Japonia obfituje w bogate zasoby podziemnych wód, przede wszystkim termalnych, dzięki którym licznie występują onseny, czyli japońskie cieplice. Większość jezior ma pochodzenie tektoniczne, kalderowe i kraterowe, reszta, to jeziora lagunowe lub sztuczne. Do jezior pochodzenia tektonicznego należą np.: Biwa i Inawashiro. Największym jeziorem leżącym w kalderze wulkanu jest Kussharo na wyspie Hokkaido, o powierzchni 79 km<sup>2</sup>. Wokół wulkanu Fudzi (Fuji) znajdują się naturalne jeziora zaporowe, które powstały w wyniku przegrodzenia rzek przez lawę.

Duże i rosnące zapotrzebowanie na wodę sprawia, że pomimo sporej ilości jezior i rzek, Japonia boryka się z niedoborem wody. Rzeźba terenu i aktywność sejsmiczna sprawia, że budowa zbiorników retencyjnych jest utrudniona. Największy zbiornik retencyjny mieści 458 mln m<sup>3</sup> wody, a dalsze 30 ma ponad 100 mln m<sup>3</sup> objętości każde. Zasoby wód gruntowych w ogromnej większości są związane z utworami czwartorzędowymi. Największe z nich, o charakterze basenów artezyjskich, zalegają na głębokości 200–300 m, pod nizinami Kanto i Nobi.

Świat roślinny Japonii jest dość urozmaicony, a szata roślinna dobrze zachowana. W Japonii lasy zajmują około 66% powierzchni kraju; występuje w nich ponad 150 gatunków drzew, liczne są endemity. W kilku miejscach jest to roślinność pierwotna. Japonia cechuje się bogatą florą gdzie występuje około 5000 gatunków roślin naczyniowych. W całej Japonii rosną lasy bambusowe dostarczające drewna oraz pożywienia (korzenie są jadalne). Podobnie w całym kraju rosną drzewa wiśni sakura oraz śliwy, których wiosenne kwitnienie przyciąga rzesze ludzi na tradycyjne hanami. Z uwagi na rozciągłość południkową na obszarze Japonii i na różnice długości okresu wegetacyjnego można wyróżnić strefy roślinne. Jednocześnie w górach zaznacza się piętrowy układ roślinności.

W lasach występuje ponad 150 gatunków drzew, wśród których dominują gatunki rosnące także we wschodnich Chinach i na Kamczatce. W północnym Hokkaido rosną lasy borealne, a w północnym Honsiu, lasy zrzucające liście na zimę (głównie buki zwane buna, biały dąb, kasztanowiec, klony). Na południu Honsiu, w Sikoku i Kiusiu rosną wiecznie zielone lasy podzwrotnikowe w których skład wchodzi dęby, czerwona i czarna sosna japońska, jodła zwana momi. Na Sikoku i Kiusiu rosną także 2 000-letnie cedry japońskie, dęby shii i kashi. Najdalej na południe, w pobliżu równika, na wyspach Nansei, Ogasawara, Kazan rosną wilgotne lasy równikowe z drzewiastymi paprociami, drzewem kamforowym, palmami i morwami.

Lasy mieszane, z przewagą liściastych, rosną na terenach, gdzie średnia roczna temperatura powietrza wynosi 6–13 °C, a więc na Kiusiu powyżej 1000 m, w środkowej części Honsiu między 1500 a 2700 m, a w części północnej na wysokości 1400 m, na Hokkaido lasy mieszane sięgają do 700 m. W lasach tych rosną buki, brzozy, dęby w tym białe, kasztany karłowate, magnolie oraz różne gatunki klonów i inne zrzucające liście na zimę. Charakterystyczne są zelkowy (*Zelkova serrata*), kryptomerie, tuje i cisy. Na obszarach ze średnią temperaturą powietrza poniżej 6 °C rosną subarktyczne lasy mieszane lub iglaste, ze świerkiem syberyjskim, świerkiem yesso, jodłą sakhalan, jodłą syberyjską oraz jodłą niebieską. Ponad pięciem lasów występują sosna karłowata, krzewy i roślinność alpejska. Azalie, hortensje i irysy kwitną wiosną, a chryzantemy jesienią, wtedy także czerwienieją klony.

W Japonii fauna jest urozmaicona. Obszar Japonii należy do Regionu Mandżurskiego Krainy Palearktycznej. Wiele zwierząt spotykanych na Honsiu, Sikoku i Kiusiu spotyka się w innych rejonach o umiarkowanym klimacie na półkuli północnej. Należą do nich niedźwiedzie

brunatne, łasice, dziki, zające, sarny, jelenie wschodnie i ptaki, takie jak bażanty, jastrzębie, kaczki i żurawie. Występuje tu też wiele gatunków płazów i gadów, a wśród nich żółwie, jaszczurki, węże – z gatunkami jadowitymi habu i mamushi. Do unikatowych należy salamandra olbrzymia żyjąca na Honsiu i Kiusiu, osiągająca 1,5 m długości. Innymi specyficznym przedstawicielem japońskiej fauny jest makak japoński. Żyjące w górnych partiach ośnieżonego Tōhoku, przystosowane do panujących tam warunków makaki są najdalej na północ żyjącym gatunkiem małp. Do endemitów należą również kot z Iriomote oraz zając amami. Liczebność wielu gatunków zwierząt zmniejszyła się wraz ze wzrostem populacji ludzi i rozwoju przemysłu.

Wśród zwierząt na Hokkaido spotyka się sobole i czerwone lisy oraz wspomniane niedźwiedzie brunatne. Tutejsze niedźwiedzie są prawie dwukrotnie większe od swoich znacznie łagodniejszych kuzynów z Honsiu. Na wyspach sezonowo pojawia się wiele owadów, takich jak: cykady, komary i robaczki świętojańskie. Ptaki są bardzo licznie reprezentowane przez gatunki śpiewające i wodne. W Japonii występuje 150 gatunków ptaków śpiewających. Na wybrzeżach panują albatrosy i kormorany. Za tak zwane zwierzę pomnikowe jest uznawany bardzo już nieliczny żuraw mandżurski.

Japonia, której liczba ludności na początku 2016 r. wynosiła 126,8 mln osób, należy do najgęściej zaludnionych państw świata. Gęstość zaludnienia wynosi 335 osób na km<sup>2</sup>. 90% ludności skupia się na wąskich nizinach nadbrzeżnych i w kotlinach śródgórskich, które stanowią zaledwie 1/4 powierzchni kraju, a gdzie zagęszczenie wzrasta do powyżej 1000 os./km<sup>2</sup>. Ponad połowa mieszkańców zajmuje południowe wybrzeże Honsiu, a dokładniej strefę ciągnącą się od Tokio, Kawasaki i Jokohamy poprzez Nagoję do Kioto, Kobe i Osaki. Do gęsto zaludnionych obszarów zaliczają się także północna częśći Sikoku i Kiusiu, a do najrzadziej Hokkaido, północne Honsiu oraz południowe Kiusiu. Rozmieszczenie ludności w zasadniczy sposób rzutuje na wysoki stopień urbanizacji, który wynosi 89%.

Spółeczeństwo tego wyspiarskiego kraju należy do najbardziej jednolitych pod względem narodowościowym. Około 98–98,5% mieszkańców to Japończycy, a do najliczniejszych mniejszości narodowych zaliczają się: Koreańczycy (0,6–0,8 mln), Chińczycy (0,6–0,7 mln), Brazylijczycy (0,2–0,3 mln) i Filipińczycy (0,2 mln). Ogółem, liczbę ludności zaliczaną do mniejszości narodowych w Japonii szacuje się na około 2–2,5 mln, co stanowi około między 1,5% a 2% populacji kraju. Do japońskich grup etnicznych, zalicza się Yamato (120 mln), Riukiu (1,2–1,4 mln), Ainu (25-200 tys.), a także Hafu (osoby pochodzące z małżeństw mieszanych z obcokrajowcami).

Imigracja ze względu na bardzo surowe przepisy imigracyjne na wyspy jest niewielka, jednak dość znaczna liczba cudzoziemców przebywa w Japonii czasowo. Po II wojnie światowej, w latach 1947-1949 nastąpił gwałtowny, bo sięgający nawet 22‰ roczny przyrost rzeczywisty. Spowodowany był on repatriacją 6,5 mln Japończyków z zagranicy, a także spadkiem umieralności na skutek poprawy jakości opieki medycznej i wzrostem liczby urodzeń.

Postępująca industrializacja i modernizacja, gwałtowna migracja ze wsi do miast oraz wdrożenie polityki antynatalistycznej i liberalnej ustawy aborcyjnej (1948) przyczyniły się do gwałtownego spadku urodzeń w latach 50. Doprowadziło to do zmiany modelu rodziny z wielopokoleniowej i wielodzietnej na nuklearną, z ograniczoną liczbą potomstwa. Wykształcił się wówczas model rodziny składający się z rodziców i dwójki dzieci (2+2). We współczesnej Japonii przyrost naturalny jest bardzo niski i w ostatnich latach przyjmuje wartości ujemne. Od przełomu lat 50. i 60., z wyjątkiem lat 1967-1973 współczynnik dzietności nie zapewnia naturalnej zastępowalności pokoleń (2,10), aby w 2005 r. spaść do najniższego w historii Japonii poziomu 1,26 dziecka na 1 kobietę w wieku reprodukcyjnym. Obecnie w strukturze społecznej dominują

osoby w wieku produkcyjnym (20–64 lata), a na 100 mężczyzn przypada 105 kobiet. Niemniej jednak, podobnie jak w innych wysoko rozwiniętych państwach świata japońskie społeczeństwo gwałtownie się starzeje. Do połowy lat 90. liczba Japończyków do 14 roku życia wciąż przewyższała liczbę osób w wieku 65 lat i więcej. W 1996 r. liczba dzieci i liczba osób starszych zostały wyrównane, osiągając wartości po około 15% ogólnej populacji Japonii. W następnych latach liczba osób starszych zaczęła przewyższać liczbę dzieci. Na początku 2016 r. osoby powyżej 64 roku życia stanowiły 27,0% populacji Japonii, podczas gdy osoby poniżej 15 roku życia 12,6%. Oznacza to, że liczba dzieci jest ponad dwukrotnie mniejsza, niż liczba seniorów. Tak wyraźnej nadwyżki osób w wieku starszym w stosunku do dzieci nie ma w populacji żadnego innego kraju.

Średnia długość życia w Japonii jest najwyższa na świecie i w 2015 r. wynosiła 83,9 lat, przy czym mężczyźni żyli 80,7 lat, a kobiety 87,0. Gwałtowne starzenie się społeczeństwa jest bardzo dużym problemem dla gospodarki i systemu społecznego kraju. Przybywa osób starszych pobierających wysokie świadczenia emerytalne, na które coraz mniej ludzi pracuje. Dodatkowym utrudnieniem dla opieki społecznej i wielu rodzin nuklearnych jest wzrastająca liczba rozwodów wśród Japończyków na emeryturze. Od dawna trwają dyskusje, w jaki sposób zaradzić katastrofie demograficznej w Japonii. Z jednej strony stosuje się różnego rodzaju zachęty dla potencjalnych rodziców, z drugiej rozważa się kwestię imigracji. Polityka prorodzinna w Japonii będzie musiała ulec bardzo dużym przeobrażeniom, gdyż przybywa kobiet buntujących się przeciwko tradycyjnemu modelowi rodziny i odrzucających instytucję małżeństwa lub zwlekających z zawarciem związku małżeńskiego. Współcześnie około 40% Japonek w wieku 25–39 lat to singielki, a średnia wieku kobiet rodzących pierwsze (i często jedyne) dziecko przekracza 30 lat. Niewykluczone, że najpierw złagodzone zostaną bardzo restrykcyjne zasady zatrudniania obcokrajowców.

Na narodowy charakter oraz mentalność Japończyków ogromny wpływ wywarły i wywierają wciąż bushidō oraz nauki Konfucjusza. To za ich sprawą takie cechy, jak dyscyplina, stoicyzm, powściągliwość, opanowanie, a także lojalność i szacunek wobec starszych czy zwierzchników są powszechnie respektowane i widoczne na każdym kroku – w szkole, pracy i rodzinie.

Harmonia w życiu społecznym stanowi dla Japończyków najwyższą wartość, w związku z czym w relacjach międzyludzkich panuje konformizm i dążenie do ugody niemal za wszelką cenę. Interes grupowy ma pierwszeństwo nad indywidualnym, stąd źle widziane jest wyróżnianie się oraz formułowanie osobistych opinii. Ludzie wypowiadają się najczęściej niejasno oraz wymijająco, a prywatne uczucia i troski maskują nienagannym uśmiechem oraz wysoką kulturą osobistą.

Honor oraz wszechobecne poczucie wdzięczności i obowiązku, a co za tym idzie obawa przed utratą twarzy skutkuje istnieniem we wzajemnych relacjach specyficznych, nieformalnych układów i powiązań, takich jak giri (zobowiązanie moralne), które dla skrytych i zamkniętych w sobie Japończyków stanowi wzór zachowania, a także sposób polubownego rozwiązywania sporów międzyludzkich. To właśnie konfucjańskie zasady, bushidō, czyli „droga wojownika”, a także buddyzm zen stanowiły podstawę specyficznego systemu myślenia i sposobu postrzegania świata przez Japończyków. Za ich sprawą ongiś samuraj, który okrył się hańbą i stawał się rōninem, zwracał jeden ze swych mieczy przeciw sobie i popełniał rytualne samobójstwo – seppuku. One też przed II wojną światową pomogły stworzyć kult boskiego cesarza oraz pozwoliły japońskim żołnierzom gardzić śmiercią w czasie samobójczych ataków kamikaze. Poczucie honoru nakazywało walczyć do końca, gdyż niewola czy kapitulacja nie wchodziły w rachubę.



Ponad 99% mieszkańców Japonii posługuje się językiem japońskim. Pochodzenie języka japońskiego jest nieznane. Prezentowane są różne hipotezy dot. jego korzeni, m.in. pokrewieństwo rodzinom języków uralskich i altajskich, do których należą: fiński, węgierski, mongolski, turecki. Pod względem gramatycznym japoński podobny jest do języka koreańskiego.

Do charakterystycznych cech języka japońskiego należą: duża liczba homofonów, obfitość zwrotów grzecznościowych, występowanie tylko sylab otwartych, a więc kończących się samogłoską, iloczyn czy duża ilość zapożyczeń frazeologicznych, głównie z języka angielskiego.

Z powodu braku możliwości jednoznacznego wyjaśnienia, język japoński jest klasyfikowany jako największy język izolowany, gdyż jego struktury gramatyczne, frazeologia czy fonetyka są niepodobne do struktur żadnego innego języka na świecie. Jest to język aglutynacyjny.

Mieszkańcy Wysp Riukiu, w tym Okinawy, posługują się językami riukiujańskimi, należącymi do japońskiej rodziny językowej. Są one nauczane w miejscowych szkołach. Język ajnoski jest używany przez niewielką grupę mieszkańców wyspy Hokkaido – Ajnów. Są oni zagrożeni wymarciem.

Japończycy posługują się jednocześnie trzema systemami pisma. Są to: wprowadzone w V w. znaki chińskie kanji oraz dwa sylabariusze fonetyczne, hiragana i katakana, pochodzące z VIII w. W wielkim uproszczeniu, znakami kanji zapisuje się rzeczowniki, za pomocą hiragany przekształca się je w przymiotniki i czasowniki, natomiast katakanę stosuje się do zapisu słów pochodzenia obcego. Ponadto przede wszystkim w reklamie oraz w kontaktach z cudzoziemcami zastosowanie znajdują rōmaji, a więc alfabet łaćniński, który jest w istocie czwartym systemem pisma. Co ciekawe słowa pisze się pionowo, ale np. na reklamach już poziomo, bo inaczej taka reklama zajmowałaby zbyt dużo miejsca. Łatwiej jest w poziomie. Czyli Japończyk nie dość, że ma kilak alfabetów, to raz czyta pionowo, a raz poziomo.

W dzisiejszych czasach coraz większa liczba Japończyków uznaje światopogląd materialistyczny, a większość określa się jako osoby niewierzące i niereligijne (w zależności od badań jest to 60 – 75%), jednak ponad 90% z nich praktykuje zarówno shintō (obrzęd narodzin i małżeństwa), jak i buddyzm, w ramach zasad którego odbywają się ceremonie pogrzebowe. Należy uwzględnić jednak, że praktyki religijne większości Japończyków nie wynikają z ich wiary i religijności, lecz ze względu na tożsamość narodową i silne przywiązanie do tradycji, bowiem dla zdecydowanej większości religia nie odgrywa ważnej roli w ich życiu.

Shintō jest rdzennie japońską religią politeistyczną, a nazwę shintō tłumaczy się jako drogę bóstw. Ów powstały w czasach prehistorycznych system animistycznych wierzeń ludowych oddaje cześć zamieszkującym wszędzie bóstwom kami i nie ma żadnej doktryny czy filozofii. Jak głosi japoński mit stworzenia świata, cesarz jest potomkiem bogów, a spośród różnych odmian shintō wiele głosi wiarę w pośmiertną boskość wszystkich ludzi, w związku z czym winni być czczeni przez potomnych. W okresie Meiji ideologia nacjonalistyczna uczyniła shintō religią państwową, a w szkołach dzieci uczono mitów shintō, które gloryfikowały boskie pochodzenie cesarza i narodu.

W dzisiejszych czasach znikomy procent Japończyków uznaje owe wierzenia, niemniej jednak z uwagi na liczne tradycyjne festiwale i uroczystości shintō trwa do tego stopnia, że w święto powitania Nowego Roku 70 milionów ludzi nawiedza sanktuaria i chramy, z których najświętszym jest Wielki Chram Ise.

Pochodzący z Indii buddyzm został sprowadzony do Japonii w połowie VI w. przez koreańskich misjonarzy, którzy podobnie jak chrześcijańscy mnisi w Europie, dzięki umiejętności

pisania i czytania, mieli niezbędną wiedzę pozwalającą budować świątynie, drogi, miasta oraz tworzyć podwaliny kultury, sztuki, władzy i prawa.

Za sprawą wielkiego reformatora, księcia Shōtoku, w 593 r. mahajana jeden z dwóch głównych odłamów buddyzmu stał się religią państwową, aczkolwiek wyznawaną jedynie przez wąską elitę. Z biegiem wieków wpływy nowej wiary wciąż rosły, wyodrębniły się także nowe jego odłamy, takie jak: tendai, założona przez mnicha Saichō (767-822), który dołączył do swej doktryny bóstwa kami; shingon, której twórcą był Kūkai (774-835), a jej podstawę stanowi skomplikowana w swej złożoności filozofia; jōdo, które wprowadził Hōnen (1133-1212), a także stworzone przez jego ucznia Shinrana (1173-1262) jōdo-shinshū opierające się na kulcie Buddy Amidy, inaczej Czystej Ziemi; nichiren-shū to sekta, której twórcą był kapłan Nichiren (1222-1282). Kontynuatorem jego idei jest m.in. świecka organizacja buddyjska o nazwie Sōka Gakkai. Zen to odłam buddyzmu (odpowiednik chińskiego chanu), który na przełomie XII i XIII w. sprowadzili z Chin japońscy mnisi Eisai (1141-1215) i Dōgen (1200-1253). Pierwszy z nich był twórcą sekty rinzai (odpowiednik chińskiej szkoły linji), a drugi sōtō (odpowiednik chińskiej szkoły caodong). Zen odrzuca doktryny oraz wiarę w moc świętych pism i głosi, że droga do oświecenia wiedzie poprzez osobiste wysiłki człowieka, szczególnie zaś wstrzeźliwość i technikę medytacji zazen. Wymagana od wiernych surowa dyscyplina duchowa i fizyczna, skromność oraz ciężka praca uczyniły zen popularnym wśród rządzącej Japonią przez wieki klasy samurajów, wywierając przy tym głęboki i trwały wpływ na jej kulturę i sztukę.

W Japonii będący bardziej systemem filozoficzno-etycznym niż religią konfucjanizm stworzony został w VI w. p.n.e. przez chińskiego mędrca Konfucjusza, według którego najistotniejszymi cnotami są: pokora, oszczędność, szczodrość, umiarkowanie, szacunek dla starszych i przestrzeganie tradycji. Około VII w. zasady te stały się fundamentem sprawowania władzy w Japonii, a kiedy wprowadzono siogunat w 1333 r. ich rola wzrosła jeszcze bardziej, gdyż konfucjanizm nakazywał wierność i lojalność wobec władzy, niezależnie od tego kto w danym czasie ją sprawował. Konfucjanizm przyczynił się także do utrwalenia konformizmu, hierarchii społecznej oraz ie, a więc patriarchy w rodzinie. Obecnie jego złagodzona forma jest nadal nauczana w szkołach.

Chrześcijaństwo zostało sprowadzone do Japonii w XVI w. przez portugalskich i hiszpańskich zakonników, z których najślynniejszym był jezuita Franciszek Ksawery. Nowa wiara w błyskawicznym tempie zyskała wielu wyznawców, niemniej jednak obawiający się europejskiego kolonializmu sioguni zdławili ją i od 1639 do 1868 r. chrześcijaństwo było wyznawane potajemnie. Dla zdecydowanej większości Japończyków religia ta jest wciąż obca i wyznawana jest przez niewielką, 1% mniejszość.

Podobnie jak w Korei i Chinach, w Japonii występuje wiele rozmaitych i powstałych niedawno sekt i nieoficjalnych odnóg większych religii określanymi mianem shin-shūkyō (nowe religie).

W obowiązującej od 1946 r. nowej konstytucji Japonii istnieje 20 artykuł gwarantujący całkowitą wolność wyznania oraz sumienia, a ustawa rozdzielająca religię od państwa sprawia, że Japonia jest krajem świeckim oraz neutralnym światopoglądowo. Artykuł ten zaznacza, że żadna organizacja o charakterze religijnym nie ma prawa pełnić władzy politycznej, ani nawet pośrednio wywierać na nią wpływu. W państwowych szkołach praktyki religijne są zakazane. Wszelka działalność religijna, osoby duchowne oraz wznoszenie obiektów sakralnych nie jest dotowane z budżetu państwa.

Połowa XIX w. stanowiła przełomowy okres w historii Japonii, kiedy to z kraju izolującego się od wszelkich kontaktów ze światem zewnętrznym wkroczyła na drogę przełomowych i zasadniczych zmian, w tym gospodarczych. Procesowi unowocześniania i uprzemysłowienia towarzyszyły wojny i próby stworzenia wielkiego imperium. Kulminacją tych dążeń była II wojna światowa, z której Japonia wyszła pokonana i zniszczona. Dzięki jednak sprawnej organizacji i wysiłkowi mieszkańców, kraj szybko odbudował swoją gospodarkę, jednocześnie rozpoczynając kolejny „podbój świata”, tym razem technologiczny i gospodarczy.

Tuż po wojnie rząd japoński prowadził bardzo aktywną politykę gospodarczą, Japonia wybrała gospodarkę rynkową połączoną z interwencjonizmem, czyli wsparciem ze strony państwa dla kapitałochłonnych projektów, jak budowa dróg, kolei czy badania naukowe. Japonia przeznaczala wtedy na badania 3% swojego PKB, co dawało jej jedno z pierwszych miejsc na świecie pod tym względem. Dzięki fenomenalnemu wzrostowi gospodarczemu już w 1967 stała się drugą ekonomiczną potęgą świata.

Dewaluacja jena, obniżka zarobków oraz podwojenie wydajności pracy pozwoliły Japonii przezwyciężyć kryzysy naftowe z 1973 i 1979, a rosnący eksport i nadwyżka w handlu zagranicznym spowodowały, że w pierwszej połowie lat 80. XX w. gospodarka osiągnęła przewagę nawet nad gospodarką Stanów Zjednoczonych. Japoński cud gospodarczy stał się przyczyną powszechnego dobrobytu i bogactwa Japończyków, a towarzyszyły temu niskie stopy procentowe oraz szalejące ceny nieruchomości.

Eksport płodów rolnych stanowi znikomy procent dochodów państwa, a zatrudnienie w rolnictwie stanowi niewielki odsetek ludności zawodowo czynnej, poniżej 4%. Ponadto warunki geograficzne sprawiają, że areał gruntów ornych stanowi około 12% powierzchni kraju. Uprawa roli skupia się w kotlinach śródgórskich oraz nizinach nadbrzeżnych. Aby rozszerzyć obszar ziem uprawnych, państwo przeprowadza meliorację zabagnionych dolin, tarasowanie zboczy oraz tworzenie polderów rolniczych na osuszonych terenach. Silnie rozdrobnione gospodarstwa rolne są niewielkie, a ich przeciętna wielkość wynosi około 1 ha, jedynie na Hokkaido są większe. Ponadto 60% powierzchni gruntów ornych jest nawadniane. Intensywne rolnictwo japońskie jest bardzo wydajne i pokrywa około 75% zapotrzebowania kraju na żywność, a około 33% powierzchni pól daje 2–3 zbiory rocznie. Wysoki poziom uzyskiwany jest m.in. dzięki rozwiniętej kulturze rolnej, organizacji i powszechnej mechanizacji. Zużycie nawozów mineralnych oraz środków ochrony roślin należy do najwyższych na świecie.

Główną uprawą jest ryż – podstawowa roślina żywieniowa, której zbiory pokrywają wewnętrzne potrzeby kraju, a wysokie ceny tego zboża są utrzymywane przez państwo poprzez dotacje. Inną popularną wśród Japończyków rośliną żywieniową jest soja, której import piętnaście razy przewyższa rodzimą produkcję. Poza tym uprawia się: pszenicę, jęczmień oraz rośliny paszowe, a także buraki w tym cukrowe, rzepak, trzcinę cukrową. Japonia jest jednym z ważniejszych producentów herbaty. Fasola, ziemniaki, bataty oraz większość warzyw pochodzi z kraju, ale połowa spożywanych owoców jest sprowadzana z zagranicy, niemniej jednak notuje się szybki rozwój sadownictwa, którego specjalnością jest uprawa mandarynek oraz truskawek. Ponadto wokół wielkich konurbacji rozwinęła się uprawa kwiatów.

Intensywna hodowla, głównie trzody chlewnej, bydła oraz drobiu dostarcza około 30% wartości produkcji rolniczej, ale połowa spożywanego mięsa, głównie wołowiny, pochodzi z importu. Jedynie produkcja drobiu oraz jaj zaspokaja krajową konsumpcję. Wciąż niewielkie jest spożycie produktów mlecznych, których zapotrzebowanie w 75% pokrywa krajowa produkcja. Od zakończenia II wojny światowej maleje pogłowie koni, owiec i kóz. Podobnie zmalało znaczenie hodowli jedwabników, tradycyjnej gałęzi japońskiego rolnictwa.

Na Japonię przypada ponad 10% światowych połowów ryb i skorupiaków, które stanowią prawie połowę diety Japończyków. Średnie roczne spożycie owoców morza wynosi 70 kg na osobę. Poławia się głównie makrele, tuńczyki, dorsze, a wśród skorupiaków dominują kraby i krewetki oraz ostrygi. Ponadto odławiane są głowonogi oraz jadalne wodorosty morskie. Podobnie jak w Skandynawii, rybołówstwo japońskie od zawsze specjalizowało się w połowach wielorybów, jednak protesty międzynarodowych organizacji ekologicznych spowodowały, że decyzją władz od 1982 maleje znaczenie wielorybnictwa.

W przybrzeżnych wodach Morza Japońskiego rozpowszechniona jest hodowla ryb, ostryg, krewetek i wodorostów kaiso. Hoduje się ponadto perłoplawy, co stawia Japonię wśród potentatów dostarczających perły dla przemysłu jubilerskiego.

Japonia jest czołową potęgą przemysłową świata. Jednakże od początku lat 70. XX wieku zatrudnienie w przemyśle systematycznie spada. Współcześnie ten dział gospodarki wytwarza 27% dochodu narodowego brutto (około 45% na początku lat 70.) i zatrudnia 25% ludności zawodowo czynnej (około 35% w latach 70.). Początki japońskiego przemysłu sięgają końca XIX stulecia, kiedy powstały zakłady przemysłu włókienniczego, wykorzystujące do produkcji miejscowy surowiec – jedwab. W latach dwudziestych XX w. rozpoczęły swą działalność pierwsze korporacje zwane zaibatsu, reprezentujące przemysł ciężki. Główne ośrodki przemysłowe przedwojennej Japonii zostały zniszczone w wyniku bombardowań pod koniec II wojny światowej.

Najważniejsza część produkcji przemysłowej koncentruje się w regionach: Kantō (aglomeracja Tokio), Kansai (Osaka-Kioto-Kōbe), południowej części Chūbu (prefektura Aichi i Nagoja) oraz północnej Kiusiu (Fukuoka-Kitakiusiu). Rozwój japońskiego przemysłu, podobnie jak rolnictwa czy budownictwa mieszkaniowego, utrudnia brak wolnej przestrzeni. W związku z tym, aby zwiększyć ilość nowych terenów pod inwestycje, niweluje się wzgórza, a uzyskanym materiałem skalnym zasypuje się płytkie zatoki morskie. Dzięki temu powstały nowe dzielnice portowo-przemysłowe w Kōbe oraz nad Zatoką Tokijską.

W Japonii występują różnorodne, aczkolwiek niewielkie, rozproszone i trudne w eksploatacji złoża surowców mineralnych, takich jak węgiel kamienny, miedź, cyna, mangan, cynk, ołów czy piryt. Równie skromne są japońskie zasoby ropy naftowej, występujące przede wszystkim w północno-zachodniej części Honsiu, a których eksploatacja pokrywa jedynie 0,3% potrzeb krajowych. W związku z tym wszystkie paliwa energetyczne oraz rudy metali (głównie żelaza i boksyty) Japonia musi sprowadzać do tego stopnia, że 90% produkcji przemysłowej oparte jest na surowcach importowanych.

Kraj Wschodzącego Słońca należy do głównych producentów energii elektrycznej, a jego udział w produkcji wynosi 7,4%, co daje trzecie miejsce na świecie. Niemniej wciąż notuje się deficyt energii. Ta wytwarzana z ropy naftowej jest podstawą bilansu energetycznego, w którym jej udział wynosi 52%; ze spalania węgla kamiennego pochodzi 20%, a z gazu ziemnego 10% wytwarzanej w Japonii energii. Udział energii jądrowej wynosi 10% i stale rośnie. Natomiast elektrownie wodne dostarczają zaledwie 8% wytwarzanej w kraju energii.

Podstawą japońskiego cudu gospodarczego z lat 60. i 70. XX w. był wymagający wysoko wykwalifikowanej kadry specjalistów, a także znacznego kapitału przemysł elektromaszynowy, wytwarzający obecnie prawie połowę wartości produkcji przemysłowej. Jego cechą charakterystyczną jest istnienie wielkich konglomeratów zwanych keiretsu, które wzorując się na przedwojennych zaibatsu, tworzą powiązane ze sobą finansowo i biznesowo przedsiębiorstwa różnych branż, także tych nie związanych z przemysłem przetwórczym. Wśród nich największe znaczenie mają Mitsubishi, Mitsui, Sumitomo Fuji, Dai-Ichi Kangyo oraz Sanwa. Ponadto rozwój

nowoczesnego przemysłu japońskiego wspierają tzw. technopolie – ośrodki skupiające placówki naukowo-badawcze i zakłady nowych technologii.

Japonia jest największym producentem i eksporterem samochodów osobowych, w produkcji których światowy sukces odniosły takie firmy jak Toyota, Nissan, Mitsubishi, Honda, Mazda, Suzuki czy Subaru. Równie silną pozycję mają motocykle wielkiej czwórki, w skład której wchodzi Kawasaki, Yamaha oraz Suzuki i Honda. Natomiast pozostały przemysł motoryzacyjny obejmujący produkcję autobusów i ciężarówek jest domeną firm Isuzu, Hino oraz Mitsubishi.

Zaawansowany i przeznaczony na rynek japoński tabor kolejowy, którego symbolem jest superszybki shinkansen, pochodzi głównie z zakładów Kawasaki, Mitsubishi, Nippon-Sharyo i Tokyu Car Corporation. Zdecydowanie słabszą pozycję zajmuje japoński przemysł lotniczy, którego liderami są FHI, Mitsubishi, Kawasaki oraz NAMC. Natomiast od lat Kraj Wschodzącego Słońca dominuje w produkcji statków, skupiając prawie 40% wodowanych rokrocznie jednostek. Przemysł okrętowy na czele z największą stocznia świata w Nagasaki jest reprezentowany przez IHI, Kawasaki, Mitsui oraz Mitsubishi. Z kolei do potentatów przemysłu maszynowego wytwarzającego m.in. maszyny budowlane, rolnicze należą firmy Komatsu, Kubota, Takeuchi czy wszechstronne Mitsubishi.

W latach 70. rozpoczął się dynamiczny rozwój przemysłu wysokiej technologii (elektronicznego i precyzyjnego) wytwarzającego urządzenia optyczne, sprzęt audiowizualny, komputery osobiste, maszyny biurowe oraz roboty. Kraj Kwitnącej Wiśni jest dzisiaj światowym potentatem w produkcji mikroprocesorów oraz innych układów scalonych, kalkulatorów, urządzeń cyfrowych, laserowych i telekomunikacyjnych, elektroniki użytkowej, sprzętu medycznego oraz instrumentów muzycznych. Najlepszym potwierdzeniem wysokiej pozycji Japonii w tej branży jest liczba powszechnie znanych marek, takich firm jak: Sony, Hitachi, Sharp, Nikon, Konica, Toshiba, Sanyo, Matsushita (Panasonic, JVC), Ricoh, Funai, Fujitsu, Minolta, NEC, Olympus, Casio, Citizen, Canon, Epson, Onkyo, Yamaha, Nintendo, Pentax, Kyocera, Seiko, TDK, Kenwood a ostatnio także Honda (robotyka).

Podobnie jak inne wysoko rozwinięte państwa, Japonia ma wszechstronnie rozwinięty przemysł chemiczny, przede wszystkim zaawansowaną technicznie chemię związków organicznych. Kraj Wschodzącego Słońca należy do czołowych producentów kwasu siarkowego, sody kaustycznej, tworzyw sztucznych, barwników syntetycznych, włókien sztucznych oraz kauczuku syntetycznego. Do największych koncernów tych branż należą: MCC, Sumitomo Chemical, Asahi Kasei, Mitsui Chemicals, Toray Industries, Shin-Etsu Chemical oraz Chisso.

Japonia, aby funkcjonować jako kraj uprzemysłowiony, potrzebuje ogromnych ilości ropopochodnego paliwa. W związku z tym w głównych portach zlokalizowane są zakłady rafineryjne, przetwarzające importowane „czarne złoto”. Japoński przemysł petrochemiczny jest domeną takich firm, jak: Nippon Oil, Inpex, JEC czy San-Ai Oil. Wraz z przodującym przemysłem samochodowym, Kraj Kwitnącej Wiśni należy do głównych producentów opon, takich firm jak Bridgestone, SRI, Toyo czy Yokohama. Dobrze rozwinięty jest także przemysł środków czystości oraz farmaceutyczny reprezentowany przez: Takeda, Astellas Pharma, Eisai czy Sankyo.

No to jesteśmy w Fukoce (port i największe miast japońskiej wyspy Kiusiu), a dokładniej w części zwanej Hakata. Kiusiu to trzecia wyspa Japonii. W dosłownym znaczeniu nazwa wyspy znaczy "dziewięć krain". W dawnych czasach na wyspie istniało dziewięć prowincji. Wyspa jest górzysta. Znajduje się tu wiele wulkanów, w tym najbardziej aktywny w Japonii wulkan Aso (1592 m n.p.m.). Rejon obfituje w gorące źródła.

Szukamy autobusu, który zawiezie nas pod dworzec kolejowy. W Japonii w autobusie jest inaczej. Wsiada się, pobiera się bilecik z numerkiem przystanku, a płaci dopiero przy wysiadaniu. Miejscowi mają karty, a my wrzucamy pieniądze do skrzyneczki przy kierowcy, który w białych rękawiczkach wydaje resztę. W ciągu kwadransa dojeżdżamy do dworca kolejowego, który jest ogromny i połączony z centrum handlowym. Najpierw wymieniamy nasze rezerwacje na kolej japońską, które kupiliśmy jeszcze w Polsce. Będziemy mogli na tych Japan Railway Pass podróżować przez najbliższe dwa tygodnie. Potem idziemy pozbyć się bagaży do schowków. Udaje nam się nawet wcisnąć oba plecaki do jednego schowka. No i w końcu w jednym ze sklepów kupujemy nasze pierwsze bento, czyli posiłek w pudełku, przygotowany na wiele sposobów. Wybieramy na razie najbezpieczniejszą wersję, czyli makaron, kurczak i sałatki. Postanawiamy zjeść to przed dworcem, bo wewnątrz nie ma nawet gdzie sięść. Natomiast przed dworcem na skwerku jest kilka ławeczek.

Jedząc śniadanie przyglądamy się ludziom. Wszyscy się spieszą do pracy. Panowie ubrani są na jedno kopyto – biała koszula, ciemne spodnie i dość damsko wyglądająca torba. Co ciekawe prawie nikt nie chodzi w maseczkach, które tak kojarzą się właśnie z tym krajem.

Po śniadaniu idziemy pozwiedzać, bo zakwaterować się możemy w prywatnym mieszkaniu dopiero po godzinie 18, więc mamy dużo czasu. Pierwsza rzecz która wpada nam w oczy to podjeżdżające na parking pod dworcem taksówki. Stoją dwie Japonki, które kłaniają się nadjeżdżającej taksówce w pas, zapraszają klienta do samochodu, ten podchodzi a drzwi same automatycznie się otwierają. Klient wsiada, drzwi zostają zamknięte, a gdy taksówka odjeżdża, pani stojąca na chodniku znowu kłania się w pas. Wygląda to dość komicznie.

Postanawiamy obejrzeć kilka lokalnych świątyń. Najpierw idziemy do Shofukuji Temple, gdzie w przyjemnym parku spędzamy dobrą godzinę. Znajdują się tutaj dwa budynki świątynne. Do jednego można zajrzeć. Po wystroju widać że to inny buddyzm niż w reszcie Azji. Wystrój jest dość ciemny, a wszystko ma połysk jak materiał z fortepianu. To w zasadzie kompleks kilku budynków, cmentarz oraz śliczny park, w którym można oddać się kontemplacji i na chwilę zapomnieć o wszystkim. To wspaniałe miejsce powstało już w XII wieku.

Drugą świątynię do której wchodzimy jest Tochoji Temple, tutaj znajduje się duża czerwona pagoda, a w jednym z budynków na piętrze jeden z największych drewnianych siedzących Buddów. Szkoda że nie można zrobić zdjęcia. Założona w 806 roku przez Kobodaishiego, po jego powrocie z Chin do Japonii. Znajduje się w niej 1000-ręki posąg bogini/boga Kannon oraz największy drewniany posąg Buddy.

Znowu żar z nieba się leje i zaglądamy do lokalnego sklepiku ze słodkościami, gdzie jemy smaczne lody z zielonej herbaty. Zdecydowanie lepsze niż w Korei. No i nieporównywalnie tańsze, bo nie 10zł, a niespełna 5zł.

Pozostała nam jeszcze jedna świątynia Kushida Temple, w której widzimy pierwszą bramę tori oraz wielki rydwan. Tori to brama o charakterystycznym kształcie, prowadząca do świątyni i miejsc świętych shintō (w shintō ptaki są uważane za posłańców bogów). Tori jest także powszechnie rozpoznawalnym elementem architektury japońskiej. Jest to konstrukcja, której podstawowy kształt tworzą dwa słupy złączone u góry dwiema poprzecznymi belkami.

Tori symbolizuje przejście od „świata skończonego” – fizycznego świata ziemskiego, którego końcem jest śmierć, do „świata nieskończonego” będącego światem kami (bogów). Torii jest stawiane tam, gdzie może mieszkać kami, a więc nie są rzadkością torii stojące w wodzie, na przybrzeżnych skałach lub w przydomowym ogrodzie – w miejscach szczególnych dla shintō

Wszędzie są zawieszane tabliczki z życzeniami, albo zawiązane karteczki. Można też sobie kupić wróżbę ze specjalnego pudełka. Jest nawet wersja angielska. Tutaj spotykamy pierwsze kolorowo ubrane dziewczyny z falbaniastymi sukienkami w kwiatki.

Obok świątyni znajduje się kolorowa uliczka, taki trochę bazar. Można tu kupić rzeczy codzienne, ale i pamiątki, albo coś zjeść.

Z racji gorąca idziemy do dużego centrum handlowego, aby się trochę ochłodzić. Japończycy są na zakupach. Wszędzie gwarno. Centrum handlowe składa się z kilku budynków. W środku, na placu trwa promocja jakiejś bajki – mangi. Jest niby statek piracki i dzieci są oblewane wodą. Jak widać zabawa jest przednia. Włóczymy się chwilę po tym centrum i trafimy na centrum gier. Są tu automaty, ale też i gry polegające na wyciągnięciu wyciągarką zabawki. Tych maszyn jest cała masa. Dużo osób próbuje swoich sił w wyciąganiu zabawek, ale jak widać jest to tak skonstruowane, aby się nie udawało. A zabawki są wielkich rozmiarów.

Po centrum handlowym idziemy na rozstaje kanałów. Nie ma tu nic ciekawego ot szare i beżowe budynki rozlokowane gęsto przy brzegach. Wracamy więc na kolorową uliczkę, aby coś zjeść. Trafiamy do knajpki, w której wszystko robione jest na oczach gości. Panowie dwoją się i troją, a każdego wchodzącego czy wychodzącego pozdrawiają gromkimi okrzykami. Kiedy już zjadamy nasz obiad wracamy na dworzec kolejowy, aby zrobić sobie rezerwację miejscówek na jutrzejszy pociąg do Kagoshimy – opcja taka w JR jest darmowa.

I już właściwie jest 18:30 więc zmierzamy do miejsca naszego zakwaterowania, które jest około 10 minut od dworca kolejowego. Idziemy kierując się zdjęciami od naszej pani u której będziemy mieszkać. Ma całą trasę sfotografowaną.

Docieramy pod blok i winda jedziemy na 12 piętro, po czym jeszcze wchodami wchodzimy napięto 13, bo winda tu zatrzymuje się tylko co trzy piętra, więc albo trzeba zejść jedno w górę, albo jedno piętro w dół. Nasza gospodyni mieszkania już na nas czekała i nawet zaczęła się martwić gdzie jesteśmy, bo dochodzi już 19.

Widok z 13 piętra jest niesamowity. Tysiące budynków dookoła, mosty z piętrami dróg samochodowych czy kolejowych, które wiją się tuż przy budynkach mieszkalnych. Można sobie na to popatrzeć, ale tak mieszkać bym nie chciała.

Jesteśmy zmęczeni i po przywitaniu i zjedzeniu powitalnego arbuza, pani a właściwie studentka opowiedziała nam o korzystaniu z mieszkania i dała klucze. Mieszkanie owej studentki jest skromne. Dwa pokoje wyłożone tatami, zamiast łóżek – materace futony. Świętujemy naszą dziesiątą rocznicę ślubu. Nasz rocznicowy tort to... dziesięć kulek rafaello. Długo nie siedzimy i idziemy spać. Ufff w toalecie nie ma dodatkowych kapci, ale sedes ma różowe ubranko.

Zasypiamy, mimo że jesteśmy na 13 piętrze cały czas słychać cykady na drzewach. Robią straszny rumor. Jak się idzie pod drzewem trzeba głośniejsze mówić, bo taki gwar robią.

Klima działa więc po gorącym dniu zaczynamy czuć się bardziej rześko, więc w takich warunkach można iść spać.

### **30 lipca (sobota)**

Wstajemy wyspani o 8. Naszej wynajmującej nam pokój już nie ma. Zostawiała nam liścik. Nawet nie słychać było jak krzątała się po mieszkaniu, mimo tego że ściany to przesuwne, cienkie drzwi.

Wychodzimy z bloku i śmigamy na dworzec kolejowy, gdzie wstępujemy do sklepu, aby kupić bento – pudełko z jedzeniem śniadaniowym. Po ulicach jeżdżą okropne kwadratowe samochody z niskim podwoziem. No są po prostu wstrętne brzydkie. Podobno za to mieszczą się w każdej dziurze, przez co są nagminnie kupowane przez Japończyków.

### Krótką historia Japonii...

Starożytność i średniowiecze: Początek japońskiego państwa wiąże się ze związkiem plemiennym, a następnie królestwem Yamato z centralnym ośrodkiem na wyspie Honsiu, którego legendarne początki sięgają VII w. p.n.e. Pierwszym legendarnym władcą był Jimmu. Około V w. p.n.e. królestwo Yamato obejmowało także północną część Kiusiu, jak również zajęło południowy skrawek Korei, dzięki czemu miało kontakt z wysoko rozwiniętą cywilizacją chińską. Wówczas to Japończycy przyjęli chińskie pismo i dalszego rozprzestrzeniania się wpływów kultury chińskiej nie powstrzymała nawet utrata prowincji koreańskiej w połowie VI w. Shintō jest rodzimą religią Japończyków, niemniej jednak już od końca VI w. coraz więcej wiernych miało buddyzm. W 794 stolicą cesarstwa zostało Heian-kyō (ob. Kioto). Nastąpił rozwój kultury dworskiej, ale w znacznym stopniu ograniczono stosunki z Chinami, a kolejni cesarze byli coraz bardziej uzależnieni od wielkich rodów. Jeden z nich – Fujiwara, sprawował faktyczną władzę w X i XI w. W tym czasie wyłoniła się klasa rycerzy feudalnych – samurajów, podległych panom feudalnym. W 1192 siogun, naczelny wódz, Yoritomo z rodu Minamoto stworzył system feudalnej administracji wojskowej, zwanej bakufu. Od tej pory kolejni cesarze byli odsuwani od władzy przez stojących na czele państwa siogunów. Ośrodkiem władzy Yoritomo była Kamakura. Odtąd wszystkie następne okresy bakufu w dziejach Japonii nosiły nazwę od stolicy siogunów lub nazwy ich rodu.

Pierwszy siogunat, Kamakura, upadł w czasie prób podbicia Japonii przez Mongołów. Wyruszająca z Korei flota mongolska próbowała dwukrotnie, w 1274 i 1281, dokonać inwazji Japonii, ale za każdym razem została rozproszona przez tajfun zwany Kamikaze (boski wiatr). Kraj Wschodzącego Słońca obronił się wprawdzie przed najeźdźcą, jednak przygotowania do wojny pochłonęły ogromne środki i zrujnowały finansowo siogunów. Zdobycie Kamakury w 1333 przez jeden z rywalizujących ze sobą rodów rozpoczęło okres wojen feudalnych, który zakończył się ustanowieniem przez nowego cesarza siogunami przedstawicieli rodu Ashikaga ze stolicą w Muromachi – dzielnicy Kioto.

Pierwsi Europejczycy przybyli do Japonii w 1542, a byli nimi kupcy portugalscy z Makau. Razem z nimi do Japonii dotarło chrześcijaństwo. Pierwszym misjonarzem chrześcijańskiej religii był hiszpański jezuita Franciszek Ksawery (1506–1552).

Brak silnego rządu i jedności sprzyjał szerzeniu się katolicyzmu na wyspie Kiusiu. Dodatkowo Japończycy (nawet bardziej niż katolicyzmem) byli zainteresowani innym europejskim wynalazkiem – bronią palną, której mogliby używać przeciwko wrogom. W tym okresie, nazywany niekiedy epoką chaosu lub stuleciem wojen, kraj był rozbity na księstwa feudalne zwalczające się nawzajem. Próby jego zjednoczenia podjął się tolerujący chrześcijaństwo Oda Nobunaga (1536–1582), który w 1573 objął władzę. Po jego śmierci władzę w Japonii przejął Toyotomi Hideyoshi (1536–1598). Swoją stolicą uczynił w 1587 Nagasaki – port na zachodnim wybrzeżu Kiusiu. Wkrótce do miasta zaczęły przybywać liczne statki kupców hiszpańskich i portugalskich, a z czasem także angielskich i holenderskich. Jednak zaniepokoił się szybką chrystianizacją południa kraju i podburzaniem przez misjonarzy katolickich chłopów i niektórych panów feudalnych przeciwko władcy japońskiemu i jego prawom. W 1597 ukrzyżowano 26 katolików, w tym 9 europejskich misjonarzy, oskarżonych o działania na szkodę państwa. Dało to początek zmiany myślenia o chrześcijaństwie i początek zwalczania tej religii.



Następcą Hideyoshiego został Tokugawa Ieyasu (1543–1616), który kontynuował zjednoczenie kraju i założył dynastię siogunów rodu Tokugawa sprawujących rządy w latach 1603–1867. Początkowo sprzyjał on kupcom zagranicznym i był otwarty na wpływy Zachodu. Dodatkowo uwidoczniły się zapędy kolonialne Hiszpanii i Portugalii, rywalizujące o wpływy z protestanckimi Anglią i Holandią. Aby nie dopuścić do podzielenia losu pozostałych krajów Azji, które stały się europejskimi koloniami, od 1639 roku wszystkie kontakty z kupcami europejskimi (z wyjątkiem Holendrów) i misjonarzami zostały zakazane (sakoku). Obcokrajowcy otrzymali nakaz opuszczenia Japonii, a najbardziej opornych (głównie misjonarzy) zamordowano. Chrześcijaństwo jako obca religia zostało zakazane, a chrześcijanie japońscy byli prześladowani. Jedynym miejscem kontaktów handlowych stała się faktoria na sztucznej wyspie Dejima usytuowanej w zatoce Nagasaki, do której wpływać mogły wyłącznie kompanie holenderskie. Rozpoczęła się trwająca ponad 200 lat samoizolacja Japonii od wpływów europejskich.

Coraz bardziej represyjny charakter rządów skorumpowanego siogunatu, naciski Zachodu wywołujące niepokoje wewnętrzne, kryzys ekonomiczny oraz społeczny, bunt chłopów i feudalów, wszystko to doprowadziło do przełamania izolacji Japonii. Drzwi do kraju zaczęły się otwierać. W lipcu 1853 komandor marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych Matthew Perry (1794–1858) zakotwiczył okręty nazwane przez Japończyków „czarnymi” w zatoce Yedo (ob. Zatoka Tokijska). Amerykanie przybyli ponownie w lutym 1854 i wymusili na Japonii pierwszy traktat łamiący jej izolację. Władze Kraju Kwitnącej Wiśni wyrazili zgodę na handel oraz nawiązali stosunki dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi. Niemniej jednak Japończycy nadal bronili się przed ingerencją z zewnątrz, co doprowadziło do interwencji połączonej floty brytyjsko-francuskiej i ostrzału japońskich portów. Kulminacją tego było skierowanie przez Brytyjczyków potężnej armady, która zakotwiczyła w okolicach Kōbe w 1866. W końcu młody japoński cesarz, Mutsuhito (1852–1912), otworzył granice Japonii. W 1867 zlikwidował siogunat Tokugawy, a w 1868 ogłosił restaurację władzy cesarskiej. Okres jego władzy określono później mianem okresu Meiji, to znaczy „światłe rządy”. Japoński monarcha zniósł feudalizm, rozwiązał klasę samurajów, zastępując ją poborowym wojskiem. Rozpoczął się okres uprzemysłowienia oraz modernizacji. W 1889 cesarz zatwierdził konstytucję opartą na europejskich wzorcach. Obowiązująca do 1945 ustawa zasadnicza zachowała jednak boski kult cesarza i dawała mu szerokie uprawnienia. W 1894 wybuchła I wojna chińsko-japońska o Wyspy Riukiu. Japończycy rozgromili chińską flotę, a zgodnie z traktatem pokojowym z 1895 pokonane Państwo Środka oddało Japonii Tajwan. Niespodziewane i druzgocące zwycięstwo w wojnie rosyjsko-japońskiej (1904–1905) uczyniło z Kraju Wschodzącego Słońca pierwsze mocarstwo na Dalekim Wschodzie. W 1910 po zmuszeniu do abdykacji cesarza Sunjonga (1874–1926) Japonia anektowała Koreę.

W czasie I wojny światowej Cesarstwo Japonii stanęło po stronie państw ententy, w wyniku czego otrzymało jako terytoria mandatowe Ligi Narodów posiadłości pacyficzne pokonanych Niemiec, a więc Mariany, Karoliny oraz Wyspy Marshalla. W Chinach na półwyspie Szantung Japończycy zajęli niemiecką kolonię, jednak wycofali się pod silnym naciskiem aliantów.

W 1931 Japonia przejęła kontrolę nad Mandzurią, tworząc z niej marionetkowe cesarstwo przemianowane na Mandzukuō. Wybuch II wojny chińsko-japońskiej w 1937 rozpoczął podbój Chin, w czasie którego Japończycy zajęli wszystkie duże chińskie miasta portowe, a także znaczną część obszaru wewnątrz tego państwa. Masakra nankińska stała się symbolem brutalnej okupacji japońskich wojsk. Wybuch II wojny światowej w Europie przyspieszył tok wydarzeń w samej Japonii, gdzie coraz silniejsze poparcie i władzę zdobywały ugrupowania nacjonalistyczne i militarystyczne dążące do poszerzenia japońskiej strefy wpływów. W 1940 Kraj Kwitnącej Wiśni podpisał pakt z niemiecką III Rzeszą i Włochami, tworząc oś Berlin – Rzym – Tokio.

Niespodziewany atak Cesarskiej Marynarki Wojennej na amerykańską bazę marynarki wojennej Pearl Harbor na Hawajach w grudniu 1941 stanowił włączenie się Japonii do II wojny światowej. Niedługo potem wojska japońskie opanowały całą Azję Południowo-Wschodnią i znaczną część Oceanii, zagrażając przy tym Indiom i Australii. Czerwiec 1942 stanowił przełom w wojnie na Pacyfiku, kiedy to w bitwie o Midway Japonia poniosła druzgocącą porażkę i odtąd cesarstwo zaczęło tracić zdobyte terytoria. Z początkiem 1945 miasta japońskie poddawane były intensywnym i dotkliwym bombardowaniom, ale mimo że wojna w Europie dobiegła końca, Japonia nie chciała się poddać. 6 sierpnia 1945 lotnictwo amerykańskie zrzuciło bombę atomową na Hiroszimę, a trzy dni później na Nagasaki. Tego samego dnia Armia Czerwona wkroczyła do Mandżurii. Japonia skapitulowała, a Amerykanie rozpoczęli okupację kraju.

W 1946 cesarz Hirohito (1901–1989) zrzekł się swojego boskiego statusu, a parlament japoński uchwalił nową, w pełni demokratyczną konstytucję. We wrześniu 1951 Japonia podpisała w San Francisco traktat pokojowy z mocarstwami zachodnimi oraz układ o bezpieczeństwie ze Stanami Zjednoczonymi. Tym samym Waszyngton wziął na siebie odpowiedzialność za obronę nowego sojusznika, jednocześnie zapewniając sobie wpływy polityczne, gospodarcze i wojskowe. Utworzono bazy, zamieniając siły okupacyjne na „garnizonowe”. W następnym roku skończyła się formalnie okupacja, a w 1956 roku Japonia stała się członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych. W kolejnych latach Japonia osiągnęła szybki wzrost gospodarczy stając się drugą co do wielkości gospodarką świata. Taki stan trwał do połowy lat 90., kiedy to kraj przeżył kryzys gospodarczy. Od początku XXI wieku gospodarka odnotowuje wzrost i stopniowe ożywienie gospodarcze. 11 marca 2011 roku kraj nawiedziło największe trzęsienie ziemi w znanej historii wywołując fale tsunami i awarię w elektrowni jądrowej Fukushima I – jedną z największych katastrof energetyki jądrowej.

Kupione śniadanie zabieramy ze sobą do pociągu. Szukamy wejścia na perony dla posiadających JR Pass. Mamy go wykupionego na dwa tygodnie, inaczej człowiek poszedłby tutaj torbami, kupując pojedyncze bilety na każdą trasę. Należy pokazać przy bramkach nasze bilety komuś z obsługi. Normalnie osoby mające bilet kasują go w bramkach.

Wychodzimy na peron. Pociąg będzie za kilka chwil. Na sąsiednim torze stoi wydający się być bardzo niski pociąg o kształcie lokomotywy niczym pocisk. Na peronie pojawiają się konduktorzy, którzy ustawiają się w specjalny szyk w oczekiwaniu na przyjazd pociągu. Kiedy pociąg nadjeżdża salutują mu! Po zatrzymaniu się pociągu wsiadamy do wagonu, w którym mamy rezerwację. Wszystko szerokie i wygodne, nawet w przejściu minie się pasażer z osoba jadącą wózkami z jedzeniem, co u nas nie jest możliwe. Konduktor otwiera drzwi do przedziału i się wszystkim kłania. Kiedy wychodzi z wagonu robi to samo. Wygląda to bardzo komicznie. Pierwszy raz w życiu jedziemy szybkim shinkansenem. W porywach pociąg osiąga 230 km/h. Jest trochę głośno w wagonie, ale jazda przy takiej prędkości to czysta oszczędność czasu. Nie jestem w stanie dużo zobaczyć, co za oknem, bo pociąg jedzie głównie pod ziemią. Tylko na kilka sekund wylania się i można zobaczyć góry o dość znacznych wysokościach i pola ryżowe. W wagonie są trzy toalety- damska, męska, oraz dla niepełnosprawnych. Wszystko elektroniczne. Nie ma co się krępować bo są zamontowane wygłuszacze, czyli kiedy siada się na sedesie to zaczyna pojawiać się odgłos lecącej wody. Żeby spuścić potem wodę należy machnąć ręką przed czujnikiem. A tak w ogóle po wejściu kłapa sama się otwiera, a potem sama zamyka po spuszczeniu wody. W ogóle toalety japońskie mają szereg udogodnień.

Historia kolejnictwa w Japonii. W 1872 otwarto pierwszą linię kolejową pomiędzy Shimbashi (Tokio) a Jokohamą, a w 1874 między Osaką i Kobe. Oba odcinki połączono linią Tōkaidō-honsen. Wielkim przełomem było otwarcie w 1964, w przededniu Olimpiady w Tokio,

pierwszej na świecie linii systemu wysokich prędkości (shinkansen). Od 1965 ekspresy "Hikari" rozwijały prędkość 200 km/h i pokonywały trasę w 3 h 10'. Obecnie pociągi "Nozomi" w niespełna 2 h 40'. Sieć kolei wysokich prędkości jest odtąd stale rozbudowywana.

Shinkansen to ogólnojapońska sieć linii kolejowych, stworzona specjalnie dla superszybkich pociągów, osiągających prędkość maksymalną do 405 km/h.

Nazwa „shinkansen” została użyta po raz pierwszy w latach 40. ubiegłego wieku dla planowanej linii kolejowej, która miała łączyć Tokio z Shimonoseki. W wyniku przegranej wojny, plany odrzucono.

Powszechnie dziś znaną nazwę Shinkansen tłumaczy się dosłownie jako "Nową Główną Linię" – odnosiła się bowiem pierwotnie do jednej linii Tōkaidō, która połączyła Tokio z Osaką przed olimpiadą w 1964 r. Z biegiem lat linia rozrosła się w ogólnokrajową sieć, przejmując nazwę. Poszczególne linie zawierają w sobie nazwy regionów, przez które bieżą (np. Tōhoku Shinkansen), a pojedyncze superekspresy posiadają łatwe do zapamiętania nazwy jak "Hikari" ("Światło") czy "Kodama" ("Echo"). Takie rozróżnienia ułatwiają rozpoznanie obsługiwanego regionu, połączeń poszczególnych linii oraz rodzajów ekspresów i ich rozkładu jazdy. Jest to ważne także dlatego, że przy dużej częstotliwości kursowania (co kilkanaście minut) łatwo pomylić rodzaje pociągów. Bieżą tą samą trasą, ale zatrzymują się na różnych stacjach. Na przykład na trasie Tokio-Osaka "Kodama" zatrzymuje się na wszystkich stacjach, a więc pokonuje dystans wolniej niż "Hikari", który zatrzymuje się tylko na części z nich, ale cel osiąga znacznie szybciej.

Popularna angielska nazwa „bullet train” (pociąg-pocisk) nie jest przez Japończyków używana. Powstała ona z tłumaczenia japońskich słów dangan-ressha, pochodzących od kształtu lokomotywy projektowanej w latach 30. ubiegłego wieku.

Japonia była pierwszym krajem, który rozpoczął prace nad systemem kolei dużych prędkości. Budowa pierwszego odcinka, pomiędzy Tokio i Osaką (Tōkaidō Shinkansen) rozpoczęła się w 1959 roku. Oficjalne otwarcie nastąpiło 1 października 1964 roku. Linia odniosła olbrzymi sukces, przewożąc 100 milionów pasażerów już po niecałych trzech latach (13 czerwca 1967 roku), a miliard przekraczając w 1976.

Pierwsze pociągi jeździły z prędkością 200 km/h, potem zwiększoną do 220 km/h. Dziś prędkości pociągów są różne w zależności od linii, a najszybsze z nich przewożą pasażerów z prędkością 300 km/h, co stawia je na równi z francuskimi TGV.

Shinkanseny to pociągi normalnotorowe (rozstaw torów 1435 mm), inaczej niż większość kolei japońskich, używających torów o rozstawie 1067 mm. Dzięki temu w wagonach jest miejsce na większą liczbę siedzeń niż w klasycznych pociągach (układy 2+3 lub nawet 3+3). Między północą, a godziną 6:00 linie zamykane są na potrzeby konserwacji. Jeżdżą po nich wówczas także specjalne pociągi Doctor Yellow, które za pomocą zamontowanej na ich pokładzie specjalistycznej aparatury dokładnie sprawdzają każdy odcinek torów.

Najnowszy shinkansen połączył wyspę Honsiu z Hokkaido w marcu tego roku. Po trasie kursują także bezpośrednie pociągi z Tokio. Pozwalają one na pokonanie dystansu między wyspą Hokkaido a stolicą Japonii w czasie 4 godz. i 2 min. Pociągi "Hayabusa" pokonują w tym czasie trasę o długości blisko 863 km. Po drodze mijają się tunel Seikan - najdłuższy na świecie podmorski tunel kolejowy. Długość tunelu wynosi około 54 km (z czego 23,3 km znajduje się pod wodą).

Po godzinie i 45 minutach jazdy docieramy do Kagoshimy (na południu Kiusiu), tu na peronie robimy foty kolorowej parze Japończyków, którzy chyba jadą kibicować jakiemuś zespołowi. Najpiękniej ubrana jest dziewczyna, bo w niebieskiej sukience w doczepiane kolorowe

kwiaty, w wianku na głowie. Potem jeszcze przyglądamy się jak obsługa szybko sprząta pociąg i... odwraca wszystkie fotele, tak aby były zgodne z kierunkiem jazdy. Obsługa musi się spieszyć, bo raptem za kwadrans pociąg ruszy w drogę powrotną. A my idziemy do hali dworcowej, gdzie w informacji turystycznej dowiadujemy się że mamy wsiąść w lokalny pociąg i podjechać jedną stację, aby potem już tylko dojść do promu na Sakurajimę. Wsiadamy w lokalny pociąg podjeżdżamy jedną stację, a potem kilka minut idziemy do przystani promowej. Akurat trwa załadunek samochodów, a ludzie wsiadają. Super, za kilka minut już płyniemy w kierunku wyspy. W pięknej pogodzie zbliżamy się do wulkanu o tej samej nazwie co wyspa. Hmm niestety dzisiaj jest spokojny. Jak się później dowiadujemy rocznie wulkan wybucha 800 razy a w tym roku jest dziwnie spokojny, bo wybuchł tylko 47 razy. No to mam pecha. Nie zobaczę wielkiego grzyba popiołów nad wulkanem.

Wulkan Sakurajima – aktywny wulkan w Japonii, w południowej części wyspy Kiusiu, w pobliżu miasta Kagoshima. Znajduje się w północnej części zatoki Kagoshima. Tę część zatoki tworzy kaldera dawnego superwulkanu Aira. Wulkan Sakurajima leży ok. 8 km na południe od centrum kaldery. Ma trzy szczyty: Kita-dake (szczyt północny - 1 117 m n.p.m.), Naka-dake (szczyt centralny) i Minami-dake (szczyt południowy).

Lawa wulkanu jest bardzo kwaśna, mało płynna, często zatyka komin wulkaniczny i wtedy dochodzi do gwałtownych wybuchów lub trzęsień ziemi. Na przemian zachodzące wyrzuty popiołów oraz wylewy lawy uformowały typowy stratowulkan. Okoliczne wzgórza pokryte są białym popiołem wulkanicznym., pochodzącym z wulkanu Sakurajima.

Wulkan powstał około 13 tys. lat temu, tworząc wyspę przy południowym brzegu zalanej wodą kaldery. Pierwszy zanotowany wybuch miał miejsce w roku 963 n.e. Większość erupcji była typu strombolijskiego, natomiast większe erupcje typu pliniańskiego miały miejsce w latach: 1471–1476, 1779–1782 i 1914. Aktywność wulkaniczna Kita-dake zakończyła się ok. 4 900 lat temu.

W XIX w. wulkan drzemał. W 1914 r. miała miejsce poprzednia wielka erupcja, która z wysepki utworzyła półwysep. W ciągu kilku poprzedzających dni miało miejsce kilkanaście trzęsień ziemi. 11 stycznia 1914 r. miał miejsce wybuch. Powstała kolumna materiałów piroklastycznych, złożona z popiołów i dymów oraz lawiny piroklastyczne, spływające po zboczach. Po wielkim trzęsieniu ziemi 13 stycznia, w czasie którego zginęło 35 osób, erupcja zmieniła charakter. Nastąpił wypływ lawy, który trwał kilka miesięcy. Potoki lawy znacznie powiększyły wysepkę, połączyły z nią kilka mniejszych, a w końcu połączyły ją z półwyspem Ōsumi wąskim przesmykiem. Część zatoki Kagoshima uległa spłyceniu. Centrum kaldery pograżyło się o ok. 60 cm w wyniku częściowego opróżnienia komory magmowej. Fakt, że obniżenie dna nastąpiło pod centrum zatoki, a nie bezpośrednio pod wulkanem Sakurajima świadczy, że magma pochodzi z tego samego źródła, a Sakurajima jest kontynuacją wulkanu Aira.

Od 1955 r. wulkan jest prawie stale czynny. Tysiące niewielkich erupcji każdego roku wyrzuca popioły na kilkanaście km wokoło. W 1960 r. powstało Obserwatorium Wulkanu Sakurajima, które monitoruje jego aktywność. Jest to ważne z powodu dużej gęstości zaludnienia w pobliżu. Kilka km od wulkanu znajduje się 600-tysięczne miasto Kagoshima. Ostatni duży wybuch wulkanu miał miejsce w lutym 2016 roku.

Po przybyciu na wyspę, kupujemy całonocny bilet na autobus po miejscach widokowych. Można z niego wsiąść i po godzinie wsiąść do kolejnego. Najpierw jedziemy do centrum informacyjnego, gdzie można dowiedzieć się wszystkiego o wybuchach Sakurajimy. Obejrzeć różne rodzaje pyłu (również pod mikroskopem), zobaczyć jak zmienia się stan gatunkowy roślin i gleby w kolejnych dziesięcioleciach po wybuchu. Tutaj też można się dowiedzieć jak żyzne są

tutejsze wulkaniczne gleby. Miejscowi rolnicy potrafią wyhodować mega rzodkwie, które już trafiły do Księgi Rekordów Guinnessa. Znajdują się tutaj również bieżące komputerowe informacje na temat trzęsień ziemi, czy ilości pyłów z wulkanu. Zaglądamy jeszcze do pobliskiego ośrodka, gdzie w miniparku znajduje się wodna ścieżka, gdzie ludzie w super gorącej wodzie moczą sobie stopy.

Po godzinie wsiadamy do kolejnego autobusu i jedziemy na punkt widokowy Karasujima, gdzie autobus czeka 5 minut i jest czas, aby zrobić zdjęcia wulkanowi. Kolejny przystanek to skwer Akamizu, gdzie jest dziwny pomnik zrobiony ze skał wulkanicznych przedstawiający krzyżącego człowieka. Tutaj też autobus chwilę czeka. Jedziemy dalej przed nami Yunoira – punkt obserwacyjny, gdzie oprócz widoku na wulkan, rozciąga się panorama Kagoshimy. Tutaj zostajemy na godzinę, aby porobić fotki i... pozbierać pyłu. A pył jest wszędzie – na barierkach, na liściach roślin, na stoliczkach. Chyba sprzed 5 dni, bo wtedy wulkan wyrzucił dość sporo nowych pyłów. Mieszkańcy podobno za bardzo wulkanem się nie przejmują bo go znają, a parasolek używają nie tylko na deszcze czy słońce, ale i na pył. W trakcie roku szkolnego dzieci noszą do szkoły kaski, na wypadek dużego opadu pyłu.

Zjeżdżamy z powrotem do osady w porcie i wsiadamy ponownie w autobus, aby dojechać do onsenu, który przedtem go ominęliśmy. Dzięki temu że korzystamy z tego autobusu mamy zniżkę na onsen. Paweł idzie do swojego męskiego onsenu, ja do damskiego. Nie mamy ze sobą ani strojów, ani ręczników, ani przyborów do mycia. Ale... to wszystko niepotrzebne, bo stroje są zbędne, tu łązi się nago, przybory do mycia są pod każdym prysznicem, a bez ręcznika człowiek się obędzie. Po wejściu na halę onsenu, należy porządnie się wyszorować. Japończycy jakiegoś hople na tym punkcie mają. Dopiero potem można skorzystać z basenów. Ufff długo nie wytrzymuję, bo woda ma 41 stopni. Dobrze, że jest jeszcze jeden basen z zimną wodą, bo idzie tu paść trupem. Jest też sauna, ale więcej jak 30 sekund nie udaje mi się tam wytrzymać. Nie wiem ile tam było stopni, ale jakaś masakra. Po pół godzinie wychodzę, Paweł już czeka, też zbyt gorąco dla niego.

Idziemy w tym ukropie do portu, gdzie na nasz autobusowy bilet możemy dostać kolejną zniżkę na bilet promowy. Kwadrans później jesteśmy już w Kagoshimie. Po drodze mijamy punkty zbiórki pyłu wulkanicznego. Ludzie tutaj otrzymują żółte reklamówki do których zbierają pył i składują w punktach oznaczonych tabliczkami, umieszczonymi przy drodze.

Znajdujemy małą knajpkę z całkiem fajnymi zupami. Pan nam pomaga kupić talon w maszynie na owe zupy. Wybieramy porcję z dużą ilością makaronu, bo jesteśmy głodni, ale porcja makaronu w mojej zupie miso jest nie do zjedzenia. To góra makaronu z warzywami.

Potem telepiemy się na dworzec. Okazuje się że przeliczyliśmy się z odległością (ehhh te azjatyckie mapy) i teraz idziemy i idziemy przez miasto. Uff w końcu docieramy, wsiadamy w pociąg i śmigamy do Hakaty.

Na dworcu w Hakacie robimy jeszcze rezerwację na późniejsze nasze pociągi, bo Japończycy mają sezon wakacyjny i dużo podróżują. A okazuje się że wagony miejscami rezerwowanymi są lepsze, mimo że zrobienie rezerwacji nic nie kosztuje, oczywiście w JR Passie, bo normalnie to duży wydatek.

Potem szybko pędzimy do domu bo już po 21, a jeszcze mamy zrobić pranie. Naszej studentki nie ma jeszcze. Widocznie w czasie weekendu płacze się po mieście ze znajomymi. Nastawiamy pralkę, taką Franię co ma bęben, do którego wkłada się pranie od góry. Rachityczna ta pralka, co dziwne dodatkowo w tak zelektronizowanym kraju.

Schładzamy się zimną herbatą z lodówki. Nasza studentka mogłaby od czasu do czasu umyć tę lodówkę, bo w środku jest brudno. Powiedziałabym że nawet bardzo brudno.

Studentka wraca po 22, a my idziemy spać, bo jutro czeka nas Nagasaki.

### **31 lipca (niedziela)**

W niedzielny poranek udajemy się do Nagasaki. Po wypicie zimnej kawy na obudzenie się, pędzimy na dworzec kolejowy, po drodze kupując w sklepie coś na śniadanie. Wchodzimy na peron. Pociąg już stoi. I o dziwo po niespełna minucie odjeżdża. Paweł pyta Japończyka czy to pociąg do Nagasaki, niestety nie. Wsiadliśmy nie dość, że do pociągu jadącego w przeciwnym kierunku, to jeszcze jest to jakaś podmiejska elektryczka. No tośmy wtopili. Trzeba będzie wysiąść na pierwszej stacji i wrócić na główną. Już raczej na nasz pociąg nie zdążymy, bo odjeżdża za kilka minut. Na szczęście to elektryczny podmiejski pociąg więc kolejna stacja jest po dosłownie 2 minutach. Przesiadamy się na inny podmiejski, który przyjeżdża po zaledwie 3 minutach czekania. Ale tutaj w Japonii jest częstotliwość pociągów. Docieramy z powrotem na dworzec w Hakacie. Nasz pociąg do Nagasaki stoi na sąsiednim peronie. Biegniemy po schodach w dół, w potem w górę i dopadamy pociągu. Zdążyliśmy! Kilkanaście sekund później pociąg rusza. A my z zadyszką zajmujemy miejsca, musimy przez chwilę ochłonąć i zjeść śniadanie. No to teraz zaczynamy naszą wycieczkę do Nagasaki.

Pociąg nie przypomina żadnej kolei podmiejskiej... hmm tak to jest jak we własnym kraju ma się przyzwyczajenia, że na pewne odległości jeździ się pociągiem o dość słabym komforcie. Tutaj takie zwykłe pociągi są podmiejskie. Ten nasz ma nawet na podłodze drewniany parkiet i mimo że nie jest shinkansenem to i tak jedzie 120km/h, więc wcale taki powolny nie jest. W takim pociągu jest pomieszczenie dla palaczy, a już hitem jest kącik, gdzie można rozmawiać przez telefon. W wagonie, gdzie jadą podróżni jest zakaz, dzięki czemu jedzie się w ciszy i spokoju.

Po dwóch godzinach docieramy do Nagasaki. To końcowa stacja, tu pociągi kończą swój bieg, dalej żaden pociąg nie pojedzie, bo jest morze. Od razu idziemy do informacji turystycznej na dworcu, aby dostać mapki miasta i dowiedzieć się jaka jest możliwość popłynięcia na Gunkajimę. W informacji dzwonią do biura które zajmuje się wycieczkami na wyspę. Mają pełny skład, ale wpisują nas na listę oczekujących i mamy być u nich o 12:50.

Kupujemy całodzienny bilet na tramwaj, bo nie trzeba będzie w kółko za to płacić, a będzie w sumie taniej. Po Nagasaki jeżdżą dość stare jedno wagonowe tramwaje. Wsiada się drugimi drzwiami, a wysiada pierwszymi przy motorniczym, bo u niego się płaci. Motorniczy ma obowiązkowo uniform, czapkę i białe rękawiczki. Co przystanek wstaje ze swojego miejsca sprawdza czy wszyscy wysiedli i wsiadli, dziękuje za opłatę. Zresztą ma jeszcze mikrofon i cały czas coś do niego mówi. Na pewno anonsuje kolejne przystanki, ale nawija cały czas tylko niestety nie wiem co.

Tak na marginesie to wszyscy w sklepach, środkach komunikacji są mili dla klienta. Uśmiechają się, kłaniają. Klient ma być zadowolony. Mają tu pod tym względem niesamowicie wysoką kulturę.

W czasie II wojny światowej 9 sierpnia 1945 r. o godz. 11:02 nastąpił atak amerykański na Nagasaki. Zrzucenie bomby na Hiroszimę nie doprowadziło do bezwarunkowej kapitulacji Japonii (silne stronnictwo wojskowych w Tokio przekonywało cesarza, że Amerykanie dysponowali tylko jedną bombą). Amerykanie zdecydowali więc o kontynuowaniu „nalotów atomowych”. Dodatkowym czynnikiem motywującym do szybkiego zakończenia wojny z Japonią były szybkie postępy ofensywy radzieckiej w Mandżurii.

9 sierpnia Amerykanie wykonali kolejny nalot. Samolot wystartował z Tinianu o 3:47, a jego pierwszym pilotem był mjr Charles W. Sweeney. O wiele bardziej złożona implozyjna bomba plutonowa „Fat Man” spadła na Nagasaki. Pierwotnie celem miała być Kokura, jednak zbyt duża pokrywa chmur uniemożliwiająca celowanie optyczne oraz coraz bardziej aktywna japońska obrona przeciwlotnicza nad miastem, spowodowała zmianę obiektu ataku.

Bombowiec (pomimo 50 min oczekiwania nie spotkał się nad Yakushimą ze swoją eskortą) skierował się nad cel rezerwowy – Nagasaki. Pogoda nad tym miastem była lepsza, jednak bomba nie została zrzucona precyzyjnie. Również tu zastano chmury i ostatecznie wybuchła ona ok. 3 km od planowanego celu, nad dzielnicą Urakami, w której znajdowała się między innymi katolicka katedra. Bomba wybuchła o 11:02 czasu lokalnego z siłą ocenianą później na 22 kiloton TNT.

Ponieważ otaczające dzielnicę wzgórza osłabiły siłę fali uderzeniowej, „Fat Man”, pomimo że blisko dwukrotnie silniejszy niż „Little Boy” zrzucony na Hiroszimę, spowodował mniejsze szkody w ludziach i zabudowaniach. Niemniej jednak miasto zostało całkowicie zniszczone w promieniu ok. 1,6 km od miejsca wybuchu, a do sporych zniszczeń w dalszych jego częściach doprowadziły liczne pożary. Szacuje się, że eksplozja bomby „Fat Man” zabiła 40–70 tys. osób (do końca roku 1945 zmarło 70 tys. ludzi), w tym nieznaną liczbę uchodźców z Hiroszimy.

Ataki bronią atomową wciąż nie przekonywały japońskich władz do kapitulacji. Kręgi wojskowe były zdecydowane dalej prowadzić wojnę. Dopiero 10 sierpnia cesarz Hirohito rozkazał przyjąć propozycję Amerykanów i to jego autorytet, niezaprzeczalny dla każdego ówczesnego Japończyka, w dużym stopniu zadecydował o kapitulacji kraju. Jedynym warunkiem japońskiej propozycji przekazanej za pośrednictwem Szwajcarii było, aby Hirohito zachował tytuł i pozycję cesarza (prerogatywy). Tego samego dnia wieczorem prezydent Truman przyjął kapitulację Japonii i nazajutrz rozkazał wstrzymanie wszelkich operacji wojskowych (kolejny nalot atomowy z użyciem bomby „Fat Man II” był przygotowywany na 17–18 sierpnia). 15 sierpnia cesarz wygłosił orędzie, w którym ogłosił zawieszenie broni. 2 września na pokładzie pancernika USS „Missouri” Japonia podpisała akt „bezwarunkowej kapitulacji”.

Oceny długoterminowych skutków ataków jądrowych na Hiroszimę i Nagasaki nie są jednoznaczne. Według części szacunków w ciągu kolejnych 6 lat na chorobę popromienną umarło jeszcze 60 tysięcy ludzi[potrzebny przypis].

Oszacowanie rzeczywistych strat (zabici i zmarli w ciągu pierwszego dnia po wybuchu) jest niemożliwe. Oficjalne szacunki amerykańskie w 1945 roku mówiły o 70 tys. śmiertelnych ofiar w Hiroszynie. Jezuici mający swoją misję w Hiroszynie podawali liczbę co najmniej 100 tys. zabitych. Później liczba ta stopniowo rosła, co należy przypisać chorobie popromiennej i skażeniu radioaktywnemu.

Jedziemy tramwajem kilka ładnych przystanków, aby dojechać do Parku Pokoju, w którym znajduje się Fontanna Pokoju, Pomnik Pokoju, który ma jedną rękę skierowaną poziomo do ziemi, co ma oznaczać pokój, a druga jest skierowana ku niebu, przypominającą o bombie atomowej. W parku jest też element polski. Pomnik róży i tablica pamiątkowa napisana po polsku, jako dar dla Japonii. W parku Pokoju pośród trawy po bokach głównego chodnika prowadzącego do głównego pomnika znajdowały się fundamenty więzienia, które w wyniku wybuchu bomby zostało po prostu zrównane z ziemią. Wszyscy obecni w więzieniu (więźniowie jak i personel) po prostu wyparowali.

Dalej idziemy przez kolejny plac gdzie znajduje się obelisk upamiętniający, że to tu, 500 m nad ziemią wybuchła bomba. Akurat przed obeliskiem trwa jakas msza, w trakcie której wszyscy uczestnicy biorą wiadra z herbatą i oblewają nią chochelkami cały plac. Obok tego placu jest pokazany fragment poziomu gleby z czasu wybuchu. Widać przemieszane warstwy gleby z różnymi

przedmiotami życia codziennego ówczesnych Japończyków. Poziom tego miejsca przed wybuchem bomby był znacznie niższy niż teraz, ale przykrył go gruz i zniszczenia po wybuchu. Na placu jest też część wejściowego portalu do katedry, tylko tyle z niej niestety zostało po wybuchu.

Kolejnym miejscem do którego zmierzamy jest muzeum Bomby Atomowej. Muzeum robi wrażenie. Jest tu model 1:1 bomby atomowej, która wybuchła nad Nagasaki, są zdjęcia poparzeń ludzi i choroby popromiennej. Jest wiele przedmiotów z tamtego czasu co się zachowały np. zniszczony zegar, który zatrzymał się na godzinie wybuchu 11:02. W gablotach leżą przedmioty które pod wpływem temperatury uległy stopieniu. Nieważne czy było to szkło, czy metal. Zamieniło się w jednolitą masę. W jednej z gablot znajduje się wtopiona w szkło ludzka dłoń – fragmenty jej kości. W muzeum można zapoznać się z multimedialnym modelem rekonstrukcji wybuchu bomby i kolejnych zniszczeń jakie niosła ze sobą owa katastrofa.

W muzeum jest dużo weekendowych turystów. Całe rodziny Japończyków zwiedzają to miejsce. Wiele osób z dziećmi. I znowu zamiast w wózkach to są niesione na rękach, ale w ramach weekendu, dzieci noszą ojcowie. Zresztą wózki w zatłoczonym metrze są tylko utrudnieniem. Zdecydowanie wygodniej mieć dziecko przytroczone do siebie. Poza tym wszędzie schody, więc trzeba szukać windy. Wózki mają większe zastosowanie do transportu... własnych psiaków. Często poubieranych w wymyślne ubranka. Widziałam nawet w okularach!!! Aha i szczytem jest noszenie psa w chuście, jak dziecko...

Po obejrzeniu muzeum jedziemy na przystań statków. W biurze turystycznym otrzymujemy emblemacik, że czekamy na liście rezerwowej. Musimy odczekać aż wszyscy wykupią swoje rezerwacje. Niestety okazuje się że nikt nie zrezygnował i nici z wyprawy na wyspę. Jestem strasznie zawiedziona, mimo że wymyśliliśmy to dopiero wczoraj. Na pocieszenie pani z biura daje nam zniżkę na bilety do muzeum o wyspie i jakieś szmatki z wizerunkiem wyspy. Ehhh szkoda....

Z nabrzeża obserwuję niedzielne zawody łodzi, w których płynie chyba po 20 uczestników. Przy ogromnej wrzawie kolejne łodzie startują w zawodach. Nagle Paweł zauważa, że dalej jest jeszcze jedna łódź, która płynie na Gunkanjimę. Pędzimy tam i okazuje się, że rzutem na taśmę nas zbierają i zabierają trap i odpływamy. Ale mieliśmy fart. Na dodatek owa wycieczka jest tańsza niż w tym poprzednim biurze. Oprócz nas są jeszcze jacyś Rosjanie, reszta to Japończycy. Płynie z nami przewodnik, ale mowy tylko po japońsku. Dobrze że mamy wszystko opisane, bo inaczej to nic byśmy nie wiedzieli.

Łódź śmiga niczym strzała. Na statku nie da się pogadać tak jest głośno. Oglądamy na nabrzeżach liczne mniejsze i większe stocznie, w których coś tam powstaje lub się remontuje.

W końcu docieramy pod wyspę. Statek zwalnia i robi dwa okrążenia, aby każdy mógł zrobić zdjęcia. Opuszczona wyspa z wieżowcami robi niesamowite wrażenie, nie od parady została wykorzystana w filmie Skyfall z Jamesem Bondem. Miasto – cmentarzysko. Część widać, że była mieszkalna z wieloma ciasno postawionymi blokowiskami oraz druga część przemysłowa - kopalnia węgla. Większość wyspy obudowana jest wysokim murem, bo miastu groziły wysokie morskie fale podczas tajfunów.

Hashima (Wyspa Graniczna), potocznie zwana Gunkan-jima, czyli Wyspa - Okręt Wojenny - opuszczona wyspa na Morzu Wschodniochińskim, położona około 15 km od Nagasaki. Wyspa jest podłużnym, sztucznie rozbudowanym i otoczonym betonowym falochronem skalistym tworem, mającym 0,48 km długości i 0,16 km szerokości. Jej powierzchnia wynosi 0,063 km<sup>2</sup>, zaś linia brzegowa ma długość około 1 km. Znajdują się na niej liczne, niezamieszkałe bloki i pozostałości kopalni węgla.



Przed końcem XIX wieku Hashima była po prostu wystającym z morza kawałkiem skały, porośniętym gdzieś małą roślinnością, służącym głównie za miejsce gniazdowania ptaków morskich. Czasami była używana jako tymczasowe schronienie przez rybaków z Nagasaki i okolicznych wysp.

Pierwsi stali osadnicy pojawili się na wyspie w 1887 roku, kiedy odkryto na niej złoża węgla kamiennego. Z czasem wyspa ulegała stopniowemu, sztucznemu powiększeniu przy pomocy materiału pozostałego po kopaniu kolejnych szybów. W latach 30. XX wieku wyspa stała się poważnym ośrodkiem przemysłowym; oprócz kopalni znajdowała się na niej fabryka sprzętu zbrojeniowego.

Na Hashimie węgiel wydobywano ze złóż, znajdujących się na głębokości 600 metrów poniżej poziomu morza. W okresie od 1943 do 1945 roku do pracy przymusowej w kopalni należącej do koncernu Mitsubishi przywieziono wielu Chińczyków i Koreańczyków. Wielu z nich zmarło z powodu ciężkich warunków pracy.

W czasach największej świetności wyspy znajdowało się na niej 30 budynków mieszkalnych, 25 sklepów, 2 szpitale, szkoła, 2 baseny, a także cmentarz. W 1959 roku liczba mieszkańców osiągnęła 5259 osób, co przy niewielkiej powierzchni wyspy dawało bardzo wysoką gęstość zaludnienia - w tamtym czasie Hashima była jednym z najgęściej zaludnionych miejsc na ziemi.

W latach 70. węgiel stracił swoje znaczenie w japońskiej gospodarce na rzecz pochodzącej z importu ropy naftowej, toteż w 1974 roku Mitsubishi zdecydowało o zamknięciu kopalni na Hashimie. W ciągu kilku tygodni to jedno z najgęściej zaludnionych miejsc na świecie całkowicie opustoszało, stając się "miastem duchów". Z biegiem lat zaczął obowiązywać zakaz wchodzenia na teren wyspy, którego złamanie było surowo karane. Japoński rząd starał się w ten sposób chronić pozostałe na wyspie wyposażenie i infrastrukturę przed szabrownikami.

Ponieważ w ostatnich latach zainteresowanie tajemniczą wyspą wzrosło, w 2008 roku zasugerowano wpisanie Hashimy na Listę światowego dziedzictwa UNESCO. Propozycja ta została przyjęta niejednoznacznie z powodu historycznych kontrowersji z przeszłości wyspy. Władze Korei Południowej otwarcie sprzeciwiały się temu pomysłowi, powołując się na cierpienia koreańskich robotników przymusowych w czasie II wojny światowej i fakt, że ci, którzy ocalili nie otrzymali od Mitsubishi i japońskiego rządu żadnej rekompensaty za poniesione krzywdy. Jednak w 2015 roku, na 39. sesji Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO, wyspa Hashima została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa w ramach kategorii "Przedmiot działalności rewolucji przemysłowej epoki Meiji: metalurgia, przemysł stoczniowy i górnictwo węgla kamiennego".

Obecnie wizyty na wyspie są dozwolone, ale dla ruchu turystycznego otwarte są tylko miejsca specjalnie przystosowane pod kątem bezpieczeństwa. Istnieją także plany stworzenia na wyspie muzeum kultury i życia górników z Hashimy, ale do realizacji tych planów potrzeba ogromnych inwestycji finansowych (prawie wszystkie budynki na wyspie są w złym stanie).

Po dwóch kółkach wokół wyspy dopływamy do jej brzegu. Mamy kilkadziesiąt minut z japońskim przewodnikiem, który jak katarynka cały czas coś po japońsku opowiada, dobrze że ma jeszcze ze sobą wielkie zdjęcia, bo przynajmniej wiemy o czym mówi. Pokazuje gdzie był wyciąg kopalniany. Kto widział aby z takiej podmorskiej kopalni wydobywać węgiel. Ale może skoro kraj surowców mineralnych prawie nie ma i muszą wszystko importować, to taka kopalnia była na wagę złota???

Można oglądać tylko fragment wytyczony barierkami. Dalej chodzić się nie da, bo budynki grożą zawaleniem. W życiu takiego miejsca nie widziałam. Przypomina opuszczone i zdewastowane czasem miejsce, a jeszcze w latach 70 miasto na wyspie – miasto działało. Co robi przyroda w krótkim czasie z wytworem działalności człowieka. Dookoła wala się gruz, niektóre piętra budynków widać że się zawaliły, brak okien. Miejski krajobraz księżycowy...??

Czas wracać ostatecznie zdjęcia i wsiadamy na statek, gdzie dostajemy certyfikat pobytu na wyspie oraz kawałki węgla wydobywanego z tutejszej kopalni.

Gdy wracamy już do Nagasaki, czas wsiadać do tramwaju i wracać na dworzec, gdzie kupujemy szybkie pudełka z jedzeniem do pociągu, bo z tego wszystkiego nie było już czasu na pójście na obiad.

Niespełna dwie godziny później jesteśmy w Hakacie. Idziemy jeszcze na dworcu po miejscówki na najbliższe wyjazdy do Sapporo i z powrotem do Tokio, bo skoro to czas święta w Japonii to dużo ludzi będzie podróżować. Nasz plan podróży do Sapporo za tydzień zostaje zmienionym bo na niektóre pociągi nie ma już miejsc, ale pani na dworcu wyszukuje nam inne ciut późniejsze połączenia. Mamy całą masę miejscówek na najbliższe dwa tygodnie pobytu w Japonii, zwłaszcza na te długie przejazdy w newralgiczne świąteczne dni.

Wracamy do naszego mieszkania. Naszej studentki nie ma. Paweł wysłał do niej wiadomość że jutro o 6:30 wychodzimy, więc musimy oddać jej klucze. Odpisała po pewnym czasie, że mamy ją rano obudzić. Ja zasypiam niczym kamień i nie wiem kiedy wraca studentka...

### **1 sierpnia (poniedziałek)**

Budzik dzwoni o 6 rano. Wstajemy. Po szybkim zebraniu rzeczy, wypiciu orzeźwiającej zimnej kawy, budzimy naszą gospodynię i wychodzimy. Po drodze zaglądamy do sklepu na rogu, gdzie zaopatrujemy się w śniadanie - kanapki i ciastka.

Na dworcu wyszukujemy peron i miejsce, w którym zatrzymuje się nasz wagon. W Japonii dany pociąg ma zawsze tyle samo wagonów i wagony zawsze zatrzymują się w tym samym miejscu. Peron od pociągu ograniczają ścianki, aby czasem nikt nie wpadł pod pociąg. Specjalne bramki owego płotu otwierają się dopiero po zatrzymaniu pociągu. A pociągi z dużą prędkością wjeżdżają na peron. Poza tym linie na peronie wyznaczają kierunek ustawienia się ludzi, tak aby najpierw łatwo wysiadły osoby z pociągu a potem gęsiego następne osoby mogły wsiąść bezkolizyjnie. Tak samo jest w przypadku przystanków autobusowych czy tramwajowych. Zawsze jest linia pokazująca gdzie należy stanąć, aby najprościej wsiąść i nie tamować ruchu z przeciwną. O dziwo zdaje to egzamin. Wszyscy elegancko stoją i czekają, aż przyjdzie ich kolej. Nie ma przepychanek. Porządek ponad wszystko. A propo porządku. W Japonii nie ma śmieci na ulicach i nie ma... koszy na śmieci. Wiem jedno z drugim nie idzie w parze, ale w Japonii tak jest. Nie ma śmieci i nie ma śmietników. Co ludzie robią ze śmieciami??? Zabierają je ze sobą do domu. No nie wiem co by na to powiedzieli Polacy... oczywiście Japonia dzięki temu ma mniej problemu z wywozem śmieci publicznych bo ich praktycznie nie ma. Każdy obywatel kraju dba o czystość więc ma zabrać je ze sobą do domu, tam posegregowane wyrzucić. Czasem zdarza się śmietnik, ale głównie na butelki i puszki po napojach.

Pociąg przyjeżdża punktualnie o 7:09. Wsiadamy, aby dojechać nim do Hiroszimy i tu zrobić przystanek na prawie cały dzień. Pociąg mknie z zawrotną prędkością 280km/h. Nie mam słów taka kolej to chyba w Polsce za 100 lat. Ile Japonia musiała w to zainwestować aby wybudować tyle linii dużych prędkości. Na dodatek Japonia to kraj górzysty więc trzeba było

budować wiele tuneli. Pociągi shinkanseny często jadą pod ziemią. Wyłaniają się na kilka sekund, a że jadą tak szybko to człowiek nie zdąży dobrze popatrzeć co za oknem, bo już wpadamy w kolejny tunel.

Jadąc dzisiaj shinkansenem żegnamy się z wyspą Kiusiu i oczywiście tunelem pod morzem jedziemy na główną wyspę Japonii – Honsiu. To największa, a tym samym główna wyspa Japonii. Na północy cieśnina Tsugaru oddziela ją od Hokkaido, na południu Morze Wewnętrzne od Sikoku, a na południowym zachodzie po drugiej stronie cieśniny Shimonoseki leży wyspa Kiusiu. Honsiu jest siódmą co do wielkości wyspą na świecie.

Wyspa ta ma około 1 300 km długości, jej szerokość waha się od 50 do 230 km, a powierzchnia wynosi 227 962,6 km<sup>2</sup>, co stanowi 60,3% powierzchni Japonii. Linia brzegowa jest dobrze rozwinięta i ma 5 450 km.

Górzysta i wulkaniczna Honsiu jest terytorium sejsmicznym, nękanym przez liczne trzęsienia ziemi (1 września 1923 trzęsienie o ogromnej sile poważnie zniszczyło  $\frac{2}{3}$  Tokio i niemal całą Jokohamę – 142,8 tys. zabitych). Najwyższym szczytem jest Fudzi (3 776 m). Na Honsiu znajduje się wiele rzek, w tym najdłuższa w Japonii Shinano (dł. 376 km).

Na północy Honsiu występuje klimat umiarkowany, wybitnie morski, zaś w pozostałej części podzwrotnikowy, morski.

Alpy Japońskie, znajdujące się w środkowej części wyspy, powodują zróżnicowanie klimatu pomiędzy wybrzeżem zachodnim od strony Morza Japońskiego, a wschodnim od strony Pacyfiku. Układ ten powoduje, że w pewnych okresach występują dwie "pory roku" w odległości kilkunastu kilometrów od siebie: ciepła jesień od strony Pacyfiku i kilkumetrowe zasy śniegu od strony "tylnej" Japonii. Alpy powodują bowiem zderzenie mas ciepłego powietrza znad Morza Japońskiego z zimnymi prądami napływającymi znad kontynentalnej Azji, a więc niezwykle obfite opady śniegu.

Na Honsiu żyje ok. 103 mln ludzi skoncentrowanych na niewielkim obszarze nizinnym. Na równinie Kantō, na obszarze tzw. Wielkiego Tokio, na które składają się takie miasta jak: Tokio, Jokohama, Kawasaki, Saitama mieszka prawie 35% z tej liczby.

Na zachodzie, na obszarze metropolitalnym Keihanshin składającym się w głównej mierze z Kioto, Osaki i Kobe mieszka ok. 17,5 mln ludzi. Inne ważne miasta to: Nagoja, Hiroszima i Sendai. Gęstość zaludnienia wynosi 452 osoby na 1 km<sup>2</sup> i jest to największy wskaźnik w całej Japonii.

Po niespełna dwóch godzinach jesteśmy w Hiroszynie. Znajdujemy schowki na bagaże i nasze dwa plecaki dopychamy do jednej szafki. Dobrze że mam mniejszy plecak, bo dzięki temu jesteśmy w stanie dopchać oba do jednego schowka.

Idziemy oczywiście po raz kolejny do informacji turystycznej na dworcu. Powiem szczerze że Japończycy mają to bardzo dobrze zorganizowane. Tutaj dowiadujemy się że na naszym JR passie możemy za darmo pojechać turystycznym autobusem po Hiroszynie, z czego oczywiście zamierzamy skorzystać.

6 sierpnia 1945 startująca z wyspy Tinian superforteca B-29 Enola Gay lotnictwa USA zrzuciła na miasto 4-tonową uranową bombę atomową Little Boy.

W chwili ataku w Hiroszynie mieszkało 275 tys. ludzi, oprócz tego stacjonował tam 40-tysięczny garnizon wojskowy. Bombę zrzucono na centrum miasta (celem był most Aioi – najbardziej charakterystyczny punkt w mieście, w który załozce bombowca było łatwiej celować). Wybuchła z 248 dB hukiem o godzinie 8:16:02 na wysokości 580 m z siłą około 15 kiloton trotylu,

zabijając natychmiast 78 100 mieszkańców i ciężko raniąc 37 424. Za zaginione uznano 13 983 osoby.

Był to pierwszy w historii atak z użyciem broni nuklearnej. Drugi miał miejsce trzy dni później na Nagasaki.

Hiroszima została odbudowana w stylu zachodnim. Z inicjatywy burmistrza, Shinzō Hamai, miasto zostało ogłoszone w 1949 r. przez japoński parlament Miastem Pokoju. Dzięki temu Hiroszima została zauważona na forum międzynarodowym jako pożądane miejsce międzynarodowych konferencji poświęconych pokojowi i zagadnieniom społecznym. Aby jeszcze zwiększyć atrakcyjność miasta, na Uniwersytecie Hiroszimskim powstało w 1992 Hiroszimskie Stowarzyszenie Tłumaczy i Przewodników, którego zadaniem jest ułatwienie obsługi translatorskiej konferencji. W 1998 stworzono Hiroszimski Instytut Pokoju.

Podczas gdy w latach 80. XX wieku wiele japońskich miast rezygnowało z sieci tramwajowych z powodu zużywania się infrastruktury tramwajowej, Hiroszima postanowiła zachować ją, ze względu na to, że położenie miasta w delcie rzeki spowodowałoby wysokie koszty budowy metra. Już w latach 60. Hiroshima Dentetsu (Hiroszimskie Koleje Elektryczne; w skrócie Hiroden) kupowała dodatkowe tramwaje w innych miastach kraju. Wiele starych wagonów zostało wymienionych na nowoczesne, ale część z nich nadal pozostaje w użytku przez co niektórzy nazywają sieć tramwajową "ruchomym muzeum". Z czterech tramwajów, które przetrwały wojnę, dwa nadal jeżdżą.

W Hiroszynie każdego roku obchodzi się rocznicę zrzucenia bomby na miasto. W trakcie uroczystości czci się pamięć ofiar, puszcza tysiące kolorowych lampionów wraz z nurtem rzeki oraz propaguje ideę rozbrojenia nuklearnego. Uczestniczą w nich pacyfiści z całego świata.

Wsiadamy w turystyczny autobus i jedziemy do Parku Pokoju, gdzie znajduje się wiele pomników i obiektów upamiętniających zrzucenie przez Amerykanów bomby. Najbardziej interesującym jest ruina zwana budynkiem bomby – Bomb Dome. Pozostawiono ten budynek w takim stanie jaki został po wybuchu bomby, aby przypominał wszystkim o tym zdarzeniu. Kopuła Bomby Atomowej – znajdujący się w Hiroszynie budynek-pomnik, upamiętniający zrzucenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki.

Budynek zaprojektowany jako centrum wystawowe przez czeskiego architekta Jana Letzla został ukończony w kwietniu 1915. W sierpniu tego samego roku został oddany do użytku.

Eksplozja po zrzuceniu bomby atomowej 6 sierpnia 1945 miała miejsce w bezpośredniej bliskości hali. Hipocentrum znajdowało się ok. 150 m od niej. Był to jedyny tak blisko położony budynek, który nie uległ całkowitemu zniszczeniu. Został on zabezpieczony jako Pomnik Pokoju w stanie, w jakim znajdował się bezpośrednio po wybuchu. Wokół znajduje się Park Pokoju. Obok wolontariusze zbierają butelki wody od ludzi w hołdzie tym którzy zginęli, bo po wybuchu ludzie nie mieli co pić, a padający deszcz był czarny z trującymi substancjami. Obok Domu Bomby siedzi człowiek, który ma opisy wybuchu i jego konsekwencji napisane w różnych językach. Jego matka była w skażonym terenie 4 dni po wybuchu, kiedy była z nim w ciąży, dlatego też całe życie jest dość chorowitym człowiekiem.

W parku są dziesiątki obiektów. Najciekawsze z nich, które oglądamy to pomnik dziewczynki z żurawiem, gdzie zawieszono tysiące papierowych łabędzi origami, co wiąże się z historią dziewczynki. Najbardziej znanym symbolem origami jest żuraw, który według tradycyjnych japońskich wierzeń żyje 1000 lat. Żuraw wykonany z papieru jest wyrazem tęsknoty za zdrowiem, życiem i pokojem. Z papierowym żurawiem origami wiąże się smutna historia

dziesięcioletniej Sasaki Sadako, która stała się jedną z ofiar napromieniowania po wybuchu bomby atomowej w Hiroszynie. Chora na białaczkę dziewczynka podjęła trud stworzenia tysiąca żurawi origami, wierząc, że zgodnie z legendą wyprosi w ten sposób swoje zdrowie i pokój na świecie. Niestety ciężka choroba nie pozwoliła dziewczynce na zrealizowanie marzeń, ostatni wykonany przez nią żuraw był 644. Po śmierci Sasaki Sadako, jej koleżanki i koledzy z klasy złożyli pozostałe żurawie, a w Parku Pokoju w Hiroszynie postawiono pomnik, na którym dziewczynka unosi w górę złotego żurawia. Każdego roku w rocznicę zrzucenia bomby na Hiroszimę, ludzie składają na pomniku tysiące papierowych żurawi, wyrażając tym samym pragnienie zachowania pokoju. Podczas naszej wizyty przyszło właśnie kilka takich grup.

Dalej można zobaczyć Dzwon Pamięci, Ogień Pamięci, Cenotaf (czyli symboliczny grobowiec zawierający karteczki z imionami wszystkich ofiar). Widać że wszyscy przygotowują się na 71 rocznicę katastrofy, która będzie 6 sierpnia. Przygotowywana jest nawet trawa przed muzeum, która jest osłonięta od prażącego słońca. A dzisiaj ma być rekordowe 39 stopni.

Ostatnie miejsce które odwiedzamy to Muzeum oczywiście Pokoju. Jednak nie jesteśmy w nim długo, bo w budynku są setki zwiedzających. I zwiedzanie polega na ciągłym staniu w korku. Masakra jakaś. Dobrze że wczoraj w Nagasaki wszystko obejrzelśmy, bo dzisiaj jest to horror.

Wychodzimy z muzeum i właśnie na przystanek podjeżdża turystyczny autobus. Więc wskakujemy do niego i jedziemy prosto na dworzec kolejowy, aby skorzystać z miejskiej linii aby pojechać do Miyajimy oznacza wyspę świątyni, jej oficjalna nazwa to Itsukushima. Po niespełna pół godzinie jesteśmy na miejscu, wsiadamy na prom, za który nic nie musimy płacić, bo wchodzi w bilet JR Pass. Płyniemy więc na wyspę aby zobaczyć słynną Bramę Tori, która położona jest w morzu.

Itsukushima Jinja – chram shintō. Część budynków i przedmiotów została uznana przez rząd japoński za skarby narodowe. Chram wywodzi swoje początki z VI wieku, a w obecnej formie istnieje od 1168, dzięki funduszom dostarczonym przez wodza Kiyomori Taira. Konstrukcja świątyni, opierająca się na pomostach zbudowanych nad zatoką, wiąże się z dawnym statusem wyspy jako świętej ziemi. W dawnych czasach przeciętni ludzie nie mogli postawić stopy na wyspie. Przybywali łodzią, przepływając pod bramą, która wydawała się pływać. Obok świątyni znajduje się scena najstarszego w Japonii teatru nō, zbudowanego w 1568 roku.

Efektowna brama torii chramu Itsukushima jest jedną z największych atrakcji turystycznych Japonii. Widok torii na tle znajdującej się na wyspie góry Misen jest zaliczany do jednego z trzech słynnych widoków. Brama istnieje od 1168, chociaż obecna konstrukcja pochodzi z 1875. Torii jest zbudowane z drewna kamforowego, ma 16 m wysokości, a jego nadproże mierzy 23 m długości. Dla zapewnienia dodatkowej stabilności zbudowano ją w stylu "czterech nóg" (yotsu-ashi).

Charakterystyczny widok bramy unoszącej się na wodzie można zobaczyć tylko w czasie przypływu. W czasie odpływu jest otoczona mułem i można podejść do niej pieszo z wyspy. Zwiedzający wkładają w szpary nóg monety i wypowiadają życzenie. W czasie odpływu popularne jest zbieranie w pobliżu bramy owoców morza.

Zachowanie czystości sanktuarium jest tak ważne, że aż do 1878 nie zezwalano w nim na żadne urodziny lub śmierci. Pogrzeby na wyspie są zabronione. Zmarłych przewozi się na ląd stały, aby ich tam pochować, a krewni muszą przed powrotem na wyspę odbyć obrzęd oczyszczenia, jako skażeni śmiercią.

Świątynia główna poświęcona jest trzem boginiom shintō, córkom Amaterasu i Susanoo. Świątynia składa się z licznych budynków, w tym pawilonów modłów, oczyszczenia i ofiar.

Znajduje się tam scena, na której wykonywane są tradycyjne tańce shintōistyczne, oraz dwa pawilony muzyczne. Jest także oddzielna świątynia dla Ōkuninushi i jeszcze jedna dla boga Tenjin. Obok zatoki stoi pagoda, a przy niej nowoczesny, odporny na trzęsienia ziemi budynek skarbcza, w którym zgromadzono setki bezcennych przedmiotów – zwoje malowanego pergaminu, maski i wachlarze, zbroje i porcelanę. W pobliżu stoi Pawilon Tysiąca Mat, na który według podań zużyto drewno z jednego tylko drzewa kamfory.

Kiedy wysiadamy z promu i pierwszym widokiem są wszechobecne jelonki. Na mapce jest napisane ostrzeżenie, że jelonki zżerają papier, więc szczególnie należy pilnować biletów. Pierwsze co widzimy po zejściu z promu jest to jak jeden obcokrajowiec wyszarpuje z pyska jelonka właśnie bilet...

Miejsce jest akurat typowym turystycznym kompleksem z dziesiątkami sklepików dla turystów. Poza tym zwiedzających jest cały tłum. Pod tori możemy podejść bo akurat trwa odpływ. Dobrego zdjęcia się nie da zrobić, bo wszędzie są ludzie. W bramę ludzie zatykają na szczęście monety, co i my też czynimy zatykając polskie 1-groszówki. Jak dobrze popatrzeć to monet na ziemi wokół tori jest cała masa. Kiedy przychodzi przypływ monety opadają na dno.

Jest tu duża świątynia, ale do niej nie wchodzimy, bo najładniejsza musi być wtedy kiedy jest przypływ, bo duża jej część stoi na palach w morskiej zatoce. Teraz widzimy ją od strony zatoki, więc nic nie tracimy. Wszędzie płaczą się jelonki, które wiedzą że ludzie przy spodniach mają kieszenie i należy tam czegoś sobie szukać. W ogóle się niczego nie boją. Wśród turystów i buszują, co jakiś czas porywając jakiś papier. Współczuję tym zwierzątkom, bo muszą od tego papieru chorować. Czemuż to nie chcą zjeść innych jadalnych rzeczy.

Robimy sobie przerwę i wchodzimy do malej knajpki pod plandeką, prowadzonej przez dwie starsze panie, chyba we własnym ogródku, gdzie zjemy zupę z grubym makaronem i wołowiną.

Zachodzimy jeszcze do drewnianej świątyni Toyokuni-jinja, która znana jest raczej jako Senjo-kaku co znaczy „tysiąc mat tatami„. Nazwa ta w bardzo obrazowy sposób ukazuje jej ogrom. Jej budowę zlecił w 1587 roku Toyotomi Hideyoshi – jedna z najważniejszych postaci w całej historii Japonii. Ale niedługo potem umarł i jakoś nikt nie kwapił się zająć dokończeniem budowy. Świątynia nie posiada w związku z tym ani drzwi, ani nawet ścian. Obok znajduje się malownicza 5-poziomowa, czerwona pagoda Gojūto.

Trzeba zbierać się z powrotem do Hiroszimy. Nie wiem gdzie te trzy godziny tutaj nam przeleciały. Znowu wsiadamy na prom, który płynie tylko 10 minut, potem zmiana na pociąg miejski i już jesteśmy na dworcu w Hiroszimie. Najpierw zabieramy nasze plecaki ze schowka, potem jeszcze kujemy coś do jedzenia i wsiadamy do kolejnego shinkansena, który pruje niczym strzała dalej w kierunku północy wyspy. Znowu wpadamy co chwilę w tunel, momentami ciśnienie przytyka nam mocno uszy. Po niespełna dwóch godzinach docieramy do Shin Kobe, gdzie po 15 minutach mamy pociąg to Kioto. Przejazd tym ostatnim pościgiem zajmuje nam tylko 25 minut. Mijamy tylko jedną stację – Osakę.

Wysiadamy w Kioto. Dworce japońskie, to prawdziwe podziemne miasta. Bez wychodzenia na powierzchnię, ma się tu wszystko. Od dworca kolejowego, przez sklepy, a nawet firmy. Zazwyczaj gdy jest się na takim dworcu to piętra mają oznaczenia F – czyli te poziomy nad ziemią, a B, te pod ziemią. Japończycy opanowali do perfekcji budowanie pięt podziemnych. Przypomina mi to coś na kształt mrowiska, tu ludzie też tak żyją jak mrówki. W tym labiryncie można się zgubić. Tutaj potrzeba osobnej mapy, aby poruszać się po podziemiach.

Budynki, które zazwyczaj nie mają okien, to są z kolei wielkie parkingi na samochody. Ale mimo tak ludnego kraju, korków na drogach nie ma. Większość ludzi jeździ koleją. Po co używać samochodu, jak pociąg jedzie ponad 200km/h. Można mieszkać od swojej pracy 200km i w ciągu godziny do tej pracy dojechać.

Wychodzimy z dworca, teraz tylko znaleźć nasz hostel. Dosłownie po niespełna 10 minutach jesteśmy na miejscu. Hotel Piece jest chyba jedna z najtańszych opcji, ale i tam drogą, bo gdyby liczyć wg zeszłorocznych cen indyjskich, to jeden nocleg w Kioto to 8 noclegów w indyjskim Ladakhu. Pokój nie jest duży, z piętrowymi łózkami, ale jest tv i umywalka. Łazienki są na zewnątrz, ale wszystko na super poziomie. Warunki w których mieszkamy w tym roku są najlepsze ze wszystkich, ale jednocześnie najdroższe. Na parterze hotelu jest do dyspozycji kuchnia, w której cały dzień dostępna jest kawa, herbata czy woda, a rano można zjeść śniadanie, które wliczone jest w cenę noclegu.

Kioto jest położone w środkowo-zachodniej części wyspy Honsiu. Założono je w widłach utworzonych przez rzeki: Kamo i Katsura. Ze względu na wznoszące się wokół miasta góry, Kioto słynie z parnych letnich nocy, z całkowicie nieruchomym powietrzem.

Na przestrzeni wieków miasto znacznie się rozrosło, wychodząc poza pierwotny prostokąt Heian-kyō, przede wszystkim na drugi brzeg rzeki Kamo. Kamo stała się dość rzadkim w Japonii przypadkiem rzeki ujętej bulwami i nabrzeżnym parkiem, rzeki włączonej do przestrzeni miasta.

Na terenie historycznych dzielnic, za nowszą zabudową głównych ulic, w głębi kwartałów zachowały się tysiące drewnianych domów, willi w ogrodach otoczonych murami, małych świątyń. Otaczające najstarszą część miasta obszary nie posiadają już regularnej siatki ulic. Charakterystyczny dla Kioto jest fakt, że wiele ulic ma nazwy (w Japonii ulic się nie nazywa).

Kioto jest osłonięte z trzech stron przez góry, nazywane Higashiyama, Kitayama i Nishiyama, o wysokości dochodzącej do 1000 m n.p.m. Na stokach wzgórz oraz u ich podnóży położonych jest wiele rezydencji i świątyń. Dalsze, zachodnie przedmieście Kioto, Arashiyama, znane jest jako centrum buddyzmu zen. W jeszcze dalszych okolicach, na szczytach wzgórz, ulokowało się szereg klasztorów.

Kioto jest uważane za kulturalne centrum Japonii. Przynajmniej do XVIII w. miasto promieniowało na cały kraj twórczością artystyczną, kształtowaną w kręgu dworu cesarskiego. Apogeum jej rozwoju przypadło na tzw. okres Azuchi Momoyama (1573-1603). Narodziły się wówczas nowe formy malarstwa (ścienne i parawanowe). Mistrzem tworzenia ogrodów i sztuki picia herbaty był wówczas Kobori Enshū (1559-1647). Również we wczesnej epoce Edo miasto pozostawało ośrodkiem wysublimowanej kultury. Świadczy o tym mecenat Hon'ami Kōetsu (1558-1637), kaligrafa i malarza, który w swej posiadłości Takagamina na północno-zachodnich przedmieściach Kioto stworzył kolonię artystów. Patronował on m.in. innemu znanemu malarzowi epoki, Tawaraya Sōtatsu.

Okres Edo. W latach 1601-1629 Ieyasu Tokugawa, który mianował się siogunem w 1603, zbudował ufortyfikowaną rezydencję, Nijo-jo, ale rzadko pokazywał się w Kioto, obrawszy za swoją stolicę Edo (dzisiejsze Tokio).

Ostatnia wizyta sioguna miała miejsce w 1634, po czym nikt nie pojawił się w stolicy cesarskiej przez następne 220 lat. Kioto pozostawało siedzibą dworu cesarskiego, liczącego około 200 rodzin, mieszkających w obrębie parku cesarskiego Sentō Goshō. Cesarz i dwór byli wystarczającą siłą, aby miasto było nadal ważnym ośrodkiem sztuki, rzemiosła artystycznego i kultury dworskiej.

Książę Toshihito zbudował podmiejską willę Katsura, miejsce spotkań artystów i poetów. Z przeszłości czerpali artyści Szkoły Rimpa, rozwijającej się w Kioto do początków XVIII w., tworzący bogato złożone kompozycje na parawanach, wachlarzach, kartach albumów – obecnie dopatrywać się w nich można inspiracji dla europejskiej secesji.

Wyroby artystyczne z Kioto cieszyły się najlepszą reputacją w kraju, dzięki czemu w mieście rozwijała się produkcja rzemieślnicza. Niemiecki podróżnik Engelbert Kaempfer w swojej „Historii Japonii” (1693) tak pisze: „Miyako (pol. stolica) jest wielkim magazynem wszystkich japońskich wytwórców i produktów, jest głównym miastem kupieckim cesarstwa. W wielkiej

stolicy nie ma prawie domu, w którym coś nie byłoby wytwarzane lub sprzedawane. Tutaj czyszczą miedź, wybijają monetę, drukują książki, tkają najbogatsze materiały w złote i srebrne kwiaty. Najlepsze i najrzadsze barwniki, najwykwintniejsze reliefy, wszystkie rodzaje instrumentów muzycznych, obrazy, japońskie meble, wszystkie rodzaje rzeczy wykute w złocie i innych metalach, szczególnie ze stali – jak najostrzejsze klingi oraz inna broń, wytwarzane są tutaj z największą doskonałością, podobnie jak najbogatsze suknie, najlepsza moda, wszystkie rodzaje zabawek, lalek poruszających głowami, jak również niezliczone inne rzeczy, których za wiele by wymieniać. Po prostu – nie ma nic, o czym by się pomyślało, czego by nie dało się znaleźć w Miyako; nie ma nic zagranicznego, jakkolwiek wspaniale zrobionego, czego by jakiś artysta w tej stolicy nie podjął się imitować”.

Także popularność sztuki picia herbaty przyczyniła się do rozwoju rzemiosł. Przy moście Sanjō-ōhashi mogło funkcjonować aż 70 zakładów produkujących czajniki i inne naczynia metalowe. Wyrabiano przedmioty pokrywane laką, ta z Kioto miała charakterystyczny czarny odcień. Okoliczne plantacje bambusów uczyniły z miasta ośrodek produkcji bambusowych waz, ogrodzeń i charakterystycznych parasoli. Szczególnie rozwijała się ceramika Kenzan i tekstylia Yuzen.

Dzielnica wytwórców kolorowej ceramiki Kiyomizu-yaki powstała ok. 1615 na stoku przy Kiyomizudera. Kioto produkowało też charakterystyczne „cienkie” odmiany sake i delikatne tofu. Nakazany przez siogunat powrót do buddyjskiej religijności przyniósł rozwój wytwórczości rozmaitych artystycznych dewocjonaliów. Około 5 tys. wytwórców trudniło się na przełomie XVII i XVIII w. produkcją włókienniczą. W 1781 było 2500 krosien, w 1877 – 7 839. „Markowym” wytworem Kioto stały się bogato zdobione pasy do kimon – *obi*. Produkcja włókiennicza koncentrowała się w dzielnicy Nishijin, rozciągającej się na północnym zachodzie miasta (obszar dzisiejszych dzielnic Kamikyō-ku i Kita-ku).

Rzeka Kamo stanowiła drogę dla towarów. W okolicy Maruta-machi wyładowywano drewno sprowadzane z lasów w górach. W Kiya-machi, w głębi miasta, było ono cięte dla potrzeb budownictwa. Na nabrzeżach handlowano towarami przywiezionymi z Osaki. Doprowadzeniu materiałów i towarów do Kiya-machi służył kanał żeglowny Takase, zbudowany wzdłuż Kiya-machi-dōri w 1611, długości ok. 13 km. Kanał przebiega równoległe do rzeki Kamo.

Zabudowę mieszczańską tworzyły *machiya* (domy kupców), piętrowe drewniane domy, mieszczące od frontu sklepy, od tyłu mieszkania. Ponieważ fasady musiały – z nakazu siogunów – być skromne, inwencja właścicieli przejawiała się w urządzeniu wewnętrznych ogrodów, inspirowanych sztuką ogrodową pawilonów picia herbaty. Wzrost bogactwa mieszczan spowodował wznoszenie w głębi posesji ognioodpornych i niepodatnych na wilgoć magazynów-skarbczyków.

Nad rzeką Kamo, na jej terenie zalewowym (zwolnionym od podatków), w okolicy mostu Shijō-ōhashi, na początku XVII w. powstały improwizowane sceny teatralne. Ukształtował się tam teatr kabuki. Dzielnica teatralna obrosła licznymi herbaciarniami, które stanowiły jeden z najbardziej ożywionych fragmentów miasta. Herbaciarnie w dzielnicy Gion, powstały dla obsługi pielgrzymów przybywających do chramu Yasaka. Dały one początek kulturze gejsz.

Po całodziennym bieganiu po Hiroszynie jesteśmy dość zmęczeni, więc dość szybko po herbatce idziemy spać. Co chwilę słyszymy jakieś polskie głosy. Sporo Polaków tu dotarło.

## 2 sierpnia (wtorek)

Dzisiejszy dzień postanowiliśmy przeznaczyć w całości na zwiedzanie Kioto. Najpierw jednak się trochę wyspaliśmy, a potem zeszliśmy na śniadanie. Widać że w hotelu gości jest dużo, bo na śniadaniu wszystkie stoły pozajmowane. Jem m.in. ciekawą zupę z ryżem, której zalewa to nic innego jak...herbata. Czyli bierzesz trochę ryżu, trochę różnych pikli, jakieś przyprawy i zalewasz herbacianym wywarem. To mnie zaskoczyło, ale nawet jest całkiem dobre.



Kupujemy na początek na recepcji całodzienne bilety na komunikację autobusową w mieście, bo to najbardziej opłacalna opcja. Skoro jeden przejazd go 230 jenów, a całodniowy bilet tylko 500.

Idziemy za dworzec kolejowy, za którym znajduje się dworzec autobusowy, ustawiamy się w kolejce, aby wsiąść do autobusu. W Kioto są tylko dwie linie metra, więc podstawowym środkiem transport jest autobus. Niestety nie jest tak szybki jak metro, więc trochę czasu trzeba zmarnować na dojazdy. Na dworcach mężczyźni spieszący do pracy, jak zwykle każdy w białej koszuli, ciemnych spodniach i z torbą... wszyscy wyglądają podobnie.

Jedziemy sobie przez miasto obserwujemy kolejną wąską zabudowę Japonii. Już nie będę narzekać chyba na mój krakowski Ruczaj i jego zabudowę. Tutaj w Japonii to dopiero wszystko jest pobudowane ciasno. Nikt się nie przejmuje że ma widok na kolejny blok, stację kolejową, czy wręcz tuż za oknem przebiega mu jedno piętro mostu samochodowego czy kolejowego. Jeśli ktoś mieszka w domu, to jego dom jest mały i wciśnięty między blokowiska, więc jest to kruszynka wśród betonu. Dobrze jeśli ma gdzie postawić samochód pod domem, bo przecież tutaj każdy kawałek ziemi jest na wagę złota. Jednak trochę muszę zweryfikować swoją wizję Japonii, bo wydawało mi się że to bardzo wymuskany kraj, a w sumie mimo tego że są bogaci, to tego w tej chaotycznej, szarej zabudowie nie widać. Budynki nieważne w mieście czy na prowincji nie są kolorowe, zazwyczaj pomalowane na beżowo, lub szaro. Często mają dachy z dachówek, dokładnie jakie znamy z japońskich obrazków. Spora część domów ma główne drzwi w postaci drzwi przesuwanych. Ogólnie mi się zabudowa nie podoba, ale co robić skoro w kraju mieszka aż 4 razy więcej ludzi niż w Polsce. Samochody też mi się nie wszystkie podobają. Dominują głównie takie kanciaste, kwadratowe autka, które według Japończyków mogą się wszędzie zmieścić i nie tracą na tym przestrzeni. Co ciekawe dużo osób w Japonii jeździ rowerami. Są przy dworcach kolejowych duże parkingi, niestety nawet na rowery płatne. Niektóre dla oszczędności miejsca ustawia się jeden na drugim na specjalnych szynach.

Ale za to kolej jest świetna. Szybka i bardzo częsta. Gdy przyjdzie się na dworzec zawsze coś jedzie w kierunku, w którym się udajemy. Stacje są duże, niektóre położone na różnych poziomach mają lokalne pociągi i shinkanseny. Jeśli stacja nazywa się np. shin-Osaka, oznacza że jadą tam tylko szybkie shinkanseny. W pociągu nawet po angielsku są wymieniane postoje, a także informacją, że na tej stacji należy wsiąść, aby dojechać do takiej i takiej miejscowości. Nie trzeba kombinować.

Jedziemy więc przez miasto, aby w końcu po prawie 40 minutach dotrzeć do świątyni Kinkaku-ji, w której znajduje się Złoty Pawilon. Kinkaku-ji - Świątynia Złotego Pawilonu), oficjalna nazwa Rokuon-ji (Świątynia w Ogrodzie Jeleni) – świątynia zen w Kioto. Budynek reprezentuje tzw. kulturę Kitayama z okresu Muromachi. Pierwotny budynek Kinkaku-ji powstał w 1397 r. jako willa sioguna Yoshimitsu Ashikagi, na terenie jego posiadłości Kitayama. Jego syn Yoshimochi Ashikaga przekształcił ją w świątynię buddyjską związaną ze szkołą Rinzaï. Świątynia spłonęła podczas wojny Ōnin. W 1950 r. została podpalona przez psychicznie chorego, młodego mnicha, który następnie próbował popełnić samobójstwo na wzgórzu Daimon-ji. Obecna budowla pochodzi z 1955 r., ściany zewnętrzne pokryto płatkami złota w 1987 r. Zrekonstruowano również malowidła we wnętrzu. Świątynia jest położona nad stawem Kyōko-chi, na terenie parku utworzonego w stylu kaiyū (kaiyū-shiki), umożliwiającym jej podziwianie poprzez spacer wokół. Naprawdę pięknie błyszczy w słońcu, a dookoła znajdują się piękne zielone ogrody. Tylko zwiedzających jest cała masa, więc odpowiedni pracownicy świątyni kierują całym ruchem.

Po tej świątyni postanawiamy pojechać dalej do świątyni Kamigamo, która jest szintoistyczna. Jest to jedna z najstarszych świątyń, znana z urządzania wokół niej jednego z

najważniejszych świąt Japonii zwanego "świętem Nard" ("Kamo-matsuri"), główne bóstwo świątyni - Wakaikazuchi bóg piorunu. Ma na celu ochronę Kioto przed złymi wpływami. Nawet jakiś mnich w śmiesznym stroju przemyka między budynkami. Tu już jest cicho i spokojnie. Turystów jak na lekarstwo na szczęście. Wsiadamy w autobus i jedziemy dalej do świątyni Shimogamo. Kolejnej świątyni szintoistycznej, która aż kole w oczy kolorem pomarańczowym, który dominuje często w świątyniach tej religii.

Świątynię Shimogamo zbudowano w VI wieku, ok. 100 lat przed jej siostrzaną świątynią na północy, Kamigamo. Tak jak Kamigamo, Shimogamo jest poświęcona bogowi piorunów i służyła jako rodzinna świątynia klanu Kamo, którego członkowie żyli w tej okolicy jeszcze zanim Kioto zostało stolicą Japonii. Obie świątynie łączy ważne zadanie ochrony miasta Kioto przed zagrożeniami. Kamigamo i Shimogamo są często wspólnie określane jako Kamo-jinja. Słowo Jinja odnosi się do klanu Kamo jako rodziny bóstw.

Świątynia Shimogamo jest położona w chłodnej, zielonej okolicy zwanej Tadasu no Mori (Las Prawdy), w rozwidleniu rzek Kamogawa i Takanogawa. Tamtejsze drzewa, nierzadko sześćsetletnie, uważane są przez duchownych Shimogamo za święte. W lecie wielu lokalnych mieszkańców przychodzi do „Lasu Prawdy”, by cieszyć się orzeźwiającą scenerią i doświadczać duchowej atmosfery tego miejsca.

Wysoka brama torii chroni wejście do głównej świątyni Shimogamo, której przypisuje się główną rolę w zapewnianiu bogatych corocznych zbiorów ryżu. Mieści się tu również 25 mniejszych sanktuariów, a przez małe strumienie przerzucone są łukowate kładki. Spośród wszystkich obiektów 22 są uważane przez rząd za istotne zabytki cesarstwa.

Wzniesienie świątyni Shimogamo poprzedza przeniesienie stolicy Japonii do Kioto w 794 roku. Uważa się, że świątynia odegrała ważną rolę w zapewnianiu bezpieczeństwa miasta przez ponad tysiąc lat, kiedy pełniło ono rolę stolicy cesarskiej Japonii. Przez ten długi okres cesarski dwór Japonii był opiekunem Shimogamo i siostrzanej Kamigamo, wierząc, że dwie kaplice zapewnią ochronę i dobrobyt Kioto. W 965 roku cesarz Marukami zaczął wysyłać cesarskich posłańców do Shimogamo, by na bieżąco informować bogów świątyni o aktualnych wydarzeniach w Kioto oraz w cesarskiej rodzinie. Tę rolę świątyni cesarze kultywowali aż do zakończenia II wojny światowej.

Przechodzimy też fragment ścieżki Filozofów. To malownicza alejka położona pomiędzy świątyniami Ginkaku-ji i Nanzen-ji, ciągnąca się wzdłuż kanału i wysadzana drzewami wiśni. Ścieżka nazwę swoją zawdzięcza znanemu filozofowi Kitaro Nishidzie, który zwykł nią spacerować w celu medytacji.

Na dzisiaj mamy w planach jeszcze jedną świątynię Ginkaku-ji. Ginkakuji została założona w 1482 roku przez ósmego szoguna z rodu Ashikaga – Yoshimase Ashikagę (1436-1490). Pierwotnie była to górská rezydencja władcy, zwana Higashiyamaden (Pałac we Wschodnich Górach), która po śmierci fundatora została przekształcona w świątynię zen. Zbieżność nazw z Kinkakuji nie jest przypadkowa – bowiem Yoshimasa opracowując koncepcję swojej willi wzorował się na rezydencji wzniesionej przez dziadka – Yoshimitsu Ashikagę (1358-1408). Jak ilustruje to popularna nazwa świątyni – Ginkakuji, pierwotnie główny budynek kompleksu – Kannonden (Pawilon Kannon) miał zostać pokryty płatkami srebra, jednak ambitne plany zostały zarzucone z powodu toczącego się w latach 1467-77 konfliktu zbrojnego zwanego zamieszkami ery Ōnin (Ōnin no ran), w którego wyniku została zrównana z ziemią spora część stolicy. W rezultacie pawilon pozostał niewykończony i uchodzi obecnie za symbol inspirowanej ideałami buddyźmu zen estetyki prostoty i ubóstwa. Pod koniec życia Yoshimasy willa stała się rodzajem górskiej

ustroni, w której szogun szukał schronienia przed zamętem epoki, poświęcając się kultywowaniu sztuk takich jak ceremonia herbaty, sztuka aranżacji kwiatowych (*ikebana*), teatr *nō* i inspirowane wzorcami chińskimi malarstwo tuszowe, które łącznie bywają określane mianem kultury Higashiyama.

Po wejściu na teren świątyni po lewej stronie oczom zwiedzających ukazuje się Hondō (Główny Pawilon), zwany także kwaterami opata (*Hōjō*), z malowidłami ściennymi autorstwa dwóch mistrzów pędzla z epoki Edo (1603-1868) – Ike no Taiga (1723-1776) i Yosy Busona (1716-1783). Obok niego znajduje się odznaczony mianem skarbu narodowego Tōgudō, będący najstarszym zachowanym w Japonii budynkiem w stylu gabinetu pisarskiego. W środku znajduje się także charakterystyczny dla pawilonów herbacianych w stylu *sōan* (dosł. “słomiana chatka”) pokój o powierzchni 4,5 maty. A następnie poprzez wyobrażający piasek i morskie fale żwirowy ogród Ginshadan ze wzgórzem Kōgetsudai przedstawiającym górę Fuji, ukazuje się nam Ginkaku. Parter budynku utrzymany jest w stylu *shōin*, natomiast pierwsze piętro – w reprezentatywnym dla świątyni zen stylu chińskim. Na szczycie budynku majestatycznie góruje zwrócony ku wschodowi feniks z brązu, który strzeże poświęconego bogini współczucia Kannon Srebrnego Pawilonu. Następnie podążając ścieżką obchodzimy staw Kinkyōchi i mijając mały wodospad Sengetsusen oraz studnię, z której Yoshimasa czerpał krystalicznie czystą wodę do ceremonii herbaty, wspinamy się powoli na wzgórze, z którego roztacza się przepiękny widok na cały kompleks.

Jej zwiedzanie idzie bardzo szybko, bo znajduje się tutaj budynek zwany Srebrnym Pawilonem, a także piękny ogród. Dużą jego część stanowią drzewa, a podszycie składa się z mchu, co robi niesamowite wrażenie dywanu. Pracownicy świątyni cały czas usuwają z tego mchu małe trawki, które nie mogą tam rosnąć. Dodatkową ciekawostką są fragmenty tego ogrodu wykonane z kamyczków. Nic na nich nie rośnie, ale tworzy różne figury mniej lub bardziej geometryczne.

Znowu wsiadamy w autobus i udajemy się do dzielnicy Gion. W autobusach ludzie umilają sobie czas grami na komórce. Sporo osób ma słynną grę Pokemon Go, która w ostatnich dniach zawładnęła Polska. W sumie nie ma co się dziwić, że tu w Japonii ludzie w nią grają, skoro pokemony są produktem japońskim.

Gion to stara dzielnica z układem wąskich uliczek i domów, w których znajdują się domy gejsz czyli maiko i geiko oraz liczne herbaciarnie, w których pracują gejsze. Gion nie zatracił swego dawnego klimatu. Drewniane fasady domów, rozświetlone wieczorem latarnie przywołują czasy, gdy po ulicach Kioto przechadzały się gejsze. Do dziś prężnie działają tu restauracje i herbaciarnie, w których pracują gejsze. Dostęp do nich jest jednak bardzo ograniczony. Jedyne klienci z wystarczająco zasobnym portfelem oraz posiadający stosowne rekomendacje mogą cieszyć się towarzystwem gejsz. Z racji tego, iż jest to zawód elitarny, skierowany jest on więc jedynie do japońskich elit.

Historia Gion sięga czasów średniowiecza, kiedy tłumnie ściągali tu pielgrzymi pragnący oddać się duchowym rozważaniom w świątyni Yasaka. Chram został zbudowany w 656 roku i co roku przyciągał coraz większe rzesze odwiedzających. Bardzo szybko rozwinęła się tu sieć – mówiąc językiem współczesnym – hoteli i restauracji, oferujących schronienie swoim gościom. Zważywszy na historyczną architekturę oraz fakt, iż dzielnica ta odegrała ogromną rolę w rozwoju sztuki i kultury Japonii, Gion znajduje się pod pełnym patronatem ze strony władz miasta oraz japońskiego rządu. Ta część Kioto jest wręcz uważana za symbol i ostoję dziedzictwa narodowego. Co ciekawe, jedynie w Gion gejsze określane są mianem “geiko” – “kobieta sztuki” i wręcz nie do pomyślenia jest iż można byłoby je nazwać inaczej.

My oczywiście też przyjechaliśmy tu aby spotkać prawdziwe maiko i geiko. Najprościej spotkać je po godzinie 17 gdy wychodzą do pracy. Trzeba być czujnym, bo pojawiają się zniemacka i tak samo szybko znikają za drzwiami herbaciarni.

Gejsza w dosłownym tłumaczeniu to „człowiek sztuki”. Słowo to składa się z dwóch znaków japońskiego alfabetu kanji: (gei), co oznacza „sztuka” oraz (sha) – „osoba”.

Trudno wyobrazić sobie krajobraz Japonii bez ubranych w kolorowe, jedwabne stroje gejsze, z charakterystyczną fryzurą oraz makijażem. Ich rysunki oraz zdjęcia na trwałe wpisały się w kulturę Kraju Kwitnącej Wiśni. Rola jaką pełnią od ponad 300 lat jest jednak o wiele bardziej złożona niż mogłoby się wydawać. Jak sama nazwa wskazuje, gejsza to osoba której zawód ściśle związany jest z szeroko pojętą sztuką. To nie są zwykłe damy mające umilać czas politykom i bogatym przedsiębiorcom spotykającym się w ekskluzywnych restauracjach “ryotei”, czy w tradycyjnych herbaciarniach “ochaya”. Ich zadanie polega na utrzymaniu doskonałej atmosfery przy stole, prowadzeniu rozmów i zabawiania gości wysublimowanym dowcipem. Gejsze są bardzo gruntownie wykształcone, uprawiają tradycyjne formy tańca oraz muzyki, mają bogatą wiedzę na temat literatury i poezji. Nieodłącznym elementem ich edukacji jest również umiejętność przeprowadzenia ceremonii picia oraz parzenia herbaty, w której każdy gest oraz każde słowo mają swoje znaczenie.

Obecnie w Japonii tą formą sztuki zajmują się wyłącznie kobiety, choć początkowo był to typowo męski zawód. W XVII wieku na festyny oraz bankiety zapraszano mężczyzn, którzy oprócz tańca zabawiali bogatą arystokrację śpiewem oraz dbali o dobry nastrój zgromadzonych gości. W drugiej połowie XVIII wieku zaczęły pojawiać się pierwsze kobiety wykonujące zawód gejszy. Z czasem, wobec coraz większego zapotrzebowania na towarzystwo kobiet, zupełnie go zdominowały, wypierając tym samym mężczyzn.

Kiedy w 1617 roku żyjący w latach 1579-1632 szogun Tokugawa Hidetada zalegalizował prostytucję w całej Japonii, bardzo szybko powstawały nowe domy publiczne i przybytki uciech cielesnych. Z kolei zawód gejszy cały czas ewoluował. W związku z tym obie profesje często przeplatały się ze sobą, pomimo iż już wkrótce zakazano gejszom świadczenia usług seksualnych. Z biegiem czasu zawód gejszy stał się zawodem ekskluzywnym, do którego dostęp miały jedynie kandydatki spełniające bardzo wysoko postawione wymagania. W XIX wieku powołano do życia ustawy regulujące te kwestie. W większych miastach Cesarstwa, takich jak Tokio czy Kioto powstawały hanamachi – “dzielnice kwiatów”, w których szybko rozwijały się wspomniane wcześniej herbaciarnie lub okiya – domy gejsz. Miejsca te były tworzone w zupełnie innych dzielnicach i na zupełnie innych zasadach niż domy publiczne.

Wraz z radykalną zmianą kursu polityki zagranicznej, w XIX wieku Japonia otworzyła się na Europę oraz swoich zachodnich sąsiadów. Do tej pory był to kraj żyjący w izolacji, zarówno handlowej jak i politycznej. Do Japonii zaczęły ścigać tysiące statków oferujących zachodnie towary. Z kolei Cesarstwo eksportowało swoje dobra, takie jak na przykład tkaniny czy wyroby artystyczne. Świat zachodni absolutnie zachwyił się sztuką i kulturą Dalekiego Wschodu. Modne stało się noszenie kimono przez bogate Europejki, arystokracja chętnie chodziła do opery gdzie wystawiano Madame Butterfly Pucciniego, czy inne przedstawienia inspirowane japońską kulturą. Japonia stała się po prostu modna i chętnie czerpano z jej bogactw.

Niestety, jak to często bywa, kultura japońska została dość szybko zniekształcona, tracąc swój oryginalny, niepowtarzalny charakter. Odbiło się to również negatywnie na wizerunku gejszy. Była ona powszechnie postrzegana jako zmysłowa, zabarwiona nutą orientu dama do towarzystwa. Nikt nie wnikał głębiej w artystyczny aspekt tego zawodu, przypisując często gejszom świadczenie

usług seksualnych. W oczach Europejczyków był to nieznan dotąd, fascynujący świat, który był przeciwstawieniem dla panującej wówczas purytańskiej epoki wiktoriańskiej. Wizerunek gejszy najbardziej ucierpiał tuż po zakończeniu II wojny światowej, kiedy to żołnierze amerykańscy stacjonujący w bazach wojskowych porzucanych po całej Japonii szukali ukojenia w ramionach lokalnych prostytutek. Bardzo często stylizowały się one na gejsze, by swym egzotycznym strojem oraz wyglądem zdobyć jak największą rzeszę klientów.

Po II wojnie światowej Japonia przeżyła ogromny rozwój gospodarczy. Do dziś, pomimo trwającego od kilku lat poważnego kryzysu ekonomicznego, jest to jeden z najbogatszych krajów świata. Jednakże tutaj, chyba jak nigdzie indziej, nowoczesność oraz tradycja przenikają się, tworząc harmonijną całość. Japończycy mają niebywały szacunek do swej tradycji i kultury. Również zawód gejszy cieszy się obecnie wielką estymą, pomimo iż do dziś, zwłaszcza w kulturze masowej, jest on często postrzegany przez pryzmat prostytucji.

W porównaniu do czasów sprzed II wojny światowej, liczba gejsz drastycznie zmalała. Niedługo było ich nawet 100.000. Dziś dokładna liczba nie jest znana, ale szacuje się iż jest ich zaledwie 5.000. Współcześnie zdobycie zawodu gejszy wymaga wiele wysiłku i poświęcenia. Metody kształcenia nie różnią się od tych, które praktykowano jeszcze sto lat temu. Nadrzędnym celem jest dążenie do perfekcji w sztuce tańca, konwersacji, czy gry na instrumentach. Gejsza musi umieć odnaleźć się w każdej sytuacji. Musi też zachować elegancję i dyskrecję, gdyż gejsze to strażniczki tajemnic, które pod żadnym pozorem nie mogą ujrzeć światła dziennego. Niezwykle ważny jest idealny wygląd, którego wyrazem jest ubiór, stosowny do okazji i pór roku oraz makijaż podkreślający piękno japońskich kanonów urody. Każdy element ma tutaj znaczenie, wskazuje na wiek oraz stopień nauki gejszy. Przykładowo najmłodsze praktykantki – maiko – mogą pomalować jedynie niewielki zarys dolnej wargi, podczas gdy starsze, doświadczone gejsze – tak, aby przypominały już pączek róży. Ciekawostką jest to, że w Japonii małe usta od zawsze uważane były za zmysłowe. Oprócz urody, usta malowane w ten sposób symbolizowały umiejętność zachowania dyskrecji, jaką od wieków szczyłą się gejsze.

Rodzice, którzy decydują się wykształcić swe córki na gejsze, muszą najpierw przejść skomplikowaną procedurę akceptacji. Dopiero wówczas, gdy okasan ("matka", właścicielka) zdecyduje się przyjąć na naukę kandydatkę na gejszę, zamieszkuje ona w okiya. Panują tam bardzo surowe zasady, których nieprzestrzeganie skutkuje wykluczeniem poza środowisko gejsz. Trwająca kilka lat edukacja składa się z wielu etapów, których przejście otwiera drogę do zawodu. Kalendarze najlepszych gejsz są zapełnione po brzegi, a te które odnoszą największe sukcesy mogą same, w przyszłości, zostać okasan i założyć swój własny okiya.

Jak odróżnić maiko od geiko? Maiko - to uczennica na geiko. Łatwo ją rozpoznać, bo wyróżnia ją kilka cech ubioru i fryzury:

- ma kimono z długimi rękawami, które jest tym bardziej wzorzyste im maiko ma mniej doświadczenia.
  - długi pas obi zwisa z tyłu kimona swobodnie
  - bogate zdobienia fryzury, najczęściej kwiatowe
  - klapki okobo na 10-15cm koturnie
  - twarz i szyja są pobielone, ale im mniejszy staż tym więcej koloru czerwonego
  - usta są pomalowane czerwoną szminką (w pierwszym roku stażu pomalowana jest tylko dolna warga)
  - zawsze fryzury są z własnych włosów, nie noszą peruk
- Natomiast po około 5-letnim kursie maiko staje się geiko.
- kimono nie jest tak wzorzyste
  - pas obi nie zwisa, a jest zwinięty w kostkę

- fryzura jest tak skomplikowana, że geiko często noszą peruki
- kołnierz jest zawsze biały

Stajemy na skrzyżowaniu dróg w Gion, bo tutaj jest największe prawdopodobieństwo spotkania gejsz. Co jakiś czas przemyka kolorowo ubrana maiko. Udaje nam się zlokalizować jeden z domów gejsz tzw. okiya, bo pod niego podjeżdżają wypasione samochody-taksówki. Maiko lub geiko jest odprowadzana przez opiekunów i odjeżdża do pracy. Ze dwie godziny schodzą nam na bieganiu za gejszami. Wiemy już teraz więcej jak je dokładnie spotkać, więc jeszcze tu za kilka dni wrócimy.

Poza gejszami równie ładnie ubrani są Japończycy, którzy wieczorami wychodząc „na miasto” ubierają letnie kimona zwane yukata, wykonane z bawełny. Obowiązkowo do tego drewniane klapki, które hałasują przy chodzeniu. Nieodzownym elementem jest torebka – koszyczek, lub sakiewka. Nieważne czy to kobieta czy mężczyzna, każdy torebkę musi mieć. Wszystkie Japonki dodatkowo mają przepięknie ułożone włosy. Można im tylko pozazdrościć takiego imagu wyjściowego. Wszyscy wyglądają tak jakby szli na ważną uroczystość, a nie na wieczorny spacer po mieście.

Czas zbierać się do hotelu, bo już dochodzi 19, a dzień dał nam się we znaki tym uporczywym upałem. hotelu na koniec dnia mamy jeszcze jedną atrakcję. Pracownicy w wielkiej kuchni przy recepcji robią małą imprezę kulinarną pod nazwa toko-yaki, czyli smażone kulki. Na środku stoi puszka do której można wrzucić jedną monetę 100 jenów i pobawić się samemu w tworzenie owych toko-yaków pod okiem Japończyków. Z czego oczywiście skorzystamy. Do elektrycznych foremek wlewamy ciasto, dodajemy do tego różnych mikroskopijnych suszonych krewetek, przypraw, kawałków ośmiornicy, pomarańczowego marynowanego imbiru i to się smaży, a my przewracamy to tak, aby powstały kulki. Po kilku minutach kulki są gotowe. Je się je z majonezem, sosem sojowym dodając płatków rybnych – katsuobushi. To charakterystyczny składnik potraw kuchni japońskiej. Dodaje się go między innymi do dashi i okonomiyaki. Katsuobushi to wiórki ryby bonito (rodzaj tuńczyka). Proces produkcji, której historia sięga epoki Edo (1603-1868), jest długi i dosyć skomplikowany i obejmuje między innymi gotowanie, wędzenie i suszenie na słońcu, co trwa około roku. Po wszystkich filet rybny przypomina wyglądem kawałek drewna i jest bardzo lekki. Z niego właśnie za pomocą specjalnej tarki tworzy się płatki. Katsuobushi są bogate w umami, czyli tzw. piąty smak. Przez pewien czas myślałam, że jest to jakiś bekon, bo ma smak mięsa. Wywołują również wrażenia estetyczne – gdy położyć je na wierzch gorącego dania, płatki falują pod wpływem gorąca.

Naprawdę smaczne jedzonko, a i zabawa przednia. Sporo osób w hotelu z tego korzysta, bo nie ma to jak japońskie jedzenie przyrządzone przez samego siebie.

### **3 sierpnia (środa)**

Wstajemy przed 8 rano i idziemy na śniadanko, po którym udajemy się na dworzec kolejowy, aby wsiąść w lokalny pociąg i po kwadransie znaleźć się w miejscowości Yamazaki, w której znajduje się destylarnia whisky - Suntory. Rezerwację mamy zrobioną już dawno, bo wpuszczają tu tylko dwie grupy dziennie. Jeśli chodzi o alkohole Japonia kojarzy się przede wszystkim z sake i niewiele osób wie, że Kraj Kwitnącej Wiśni jest drugim na świecie producentem whisky. W Polsce trunki z tamtej części świata są mało znane i nawet sake rzadko gości na sklepowych półkach, nie mówiąc już o whisky.

Trudno jest precyzyjnie określić, kiedy po raz pierwszy whisky pojawiła się w Japonii. Wiadomo, że podczas rozpoczętego w połowie XIX wieku tzw. „Otwierania Japonii” przez amerykańskie misje wojskowo-handlowe Matthew Perry’ego, przywożono tu także whiskey. Japończycy ze swoim zacięciem do kopiowania zaczęli tworzyć u siebie różnorodne wersje obcych napojów alkoholowych, jednak ze średnim skutkiem.

Za ojców japońskiej whisky uchodzą Shinjiro Torii i Masataka Taketsuru. Pierwszy jako młody chłopak rozpoczął pracę u swego wuja, produkującego napoje alkoholowe, w tym piwo. Drugi był zatrudniony jako chemik w firmie alkoholowej. Jako że ojczyzną whisky jest Szkocja (lub według niektórych Irlandia), dla dążących do doskonałości Japończyków nie obyło się bez zdobywania wiedzy u źródeł. Tak też uczynił Masataka Taketsuru, który udał się na studia chemiczne na Uniwersytet Glasgow, a także odbył praktyki w destylarniach, skrupulatnie wszystko notując.

W 1899 roku Shinjiro Torii założył własną firmę alkoholową, następnie w 1923 roku w pobliżu Kioto i Osaki założył pierwszą japońską destylarnię - Yamazaki Distillery. To najstarsza, największa i najbardziej utytułowana japońska destylarnia whisky. O lokalizacji zdecydowało górskie źródło wody Rikyu no Mizu, a także wilgotny klimat. Z uwagi na stale rosnące zapotrzebowanie na whisky w 1973 roku wybudowano Destylarnię Hakushu. Założona przez Shinjiro Torii firma od 1963 roku nosi nazwę Suntory.

Masataka Taketsuru natomiast przez pewien czas pracował dla firmy Yamazaki, a następnie przy wsparciu rodziny produkującej od wieków sake założył on w 1934 r. destylarnię Yoichi na Hokkaido. Założył ją bardzo daleko od cywilizacji, kierując się warunkami fizyczno-geologicznymi, zbliżonymi do Szkocji.

Oprowadzanie jest po japońsku, ale obcokrajowcy otrzymują audioguida. Najpierw oglądamy muzeum o historii tego miejsca i samych whisky. W głównym budynku znajduje się coś co nazywane jest biblioteką roczników whisky. Setki butelek o różnych kolorach. Są tu zgromadzone whisky nie tylko japońskie, ale i szkockie, amerykańskie, irlandzkie.

Następnie zostajemy zaprowadzeni do budynku, w którym pokazany jest cały proces destylacji, od wielkich kadzi w których fermentuje zboże, poprzez wielkie destylatory, aż w końcu schodzimy do piwnic, w których leżakują beczki whisky. Setki beczek. Zapach jest niesamowity w zależności od miejsca. W halach fermentacji, czuć słodki zapach słodu, a w piwnicach z kolei wanilii. Proces zacierania słodowanego jęczmienia trwa sześć godzin i odbywa się w ogromnej drewnianej kadzi. Obok stoi osiem drewnianych kadzi fermentacyjnych o wysokości 4,5 m każda, a także kadzie metalowe – dla uzyskania różnych aromatów. Fermentacja trwa 3 dni. Alembiki mają różne kształty by uzyskać różne profile aromatyczne spirytusu. Obecnie mają szesnaście alembików, ale zaczęli od dwóch, wyprodukowanych w Szkocji, które już nie pracują, stanowią część muzealnej ekspozycji. Tak duża liczba różnych alembików daje dużą elastyczność przy zestawianiu blendów, podobnie jest zresztą w innych japońskich destylarniach whisky. Do maturacji używają beczek z dębu japońskiego, amerykańskiego, hiszpańskiego i francuskiego, o pojemnościach: 180, 225, 230 i 480 l. Dąb mizunara daje orientalne aromaty, tak charakterystyczne dla whisky Yamazaki. Temperatura w magazynie beczek nie jest sterowana i zmienia się wraz z temperaturą na zewnątrz i porami roku. Angel’s share wynosi 2-3% rocznie. Przy destylarni jest bardzo ładne muzeum whisky Yamazaki i firmy Beam Suntory, przedstawiające historię i teraźniejszość oraz etapy produkcji whisky singla malt i blendów.

Ostatnim punktem jest degustacja. Otrzymujemy 3 różne whisky do spróbowania. Nasz przewodnik tłumaczy jak wachać whisky, czym dana whisky pachnie, jak ją pić. Podobno

wyjątkowość smaku tutejszej whisky jest efektem środowiska przyrodniczego, a dokładnie tutejszej wody źródlanej. Czwarty kieliszek whisky możemy wypić jak chcemy np. Z dużą ilością lodu oraz gazowaną wodą mineralną. O tak to najlepsza opcja dla mnie. Paweł jest zachwycony wizytą w destylarni. Wypija swoje whisky i częściowo moje, więc pod koniec degustacji jest mu już wesoło. Po czym zakupuje jeszcze dwie butelki japońskiej whisky w sklepie fabrycznym.

Wracamy na dworzec w Kioto i wsiadamy w kolejny podmiejski pociąg aby przejechać dwie stacje do Inari, gdzie znajduje się słynna tori Fushi Inari. Jest to kolejny kompleks szintoistyczny, z tak pomarańczowymi świątyniami dookoła, że aż wydają się dość kiczowate, ale ma to swój urok. Ta shintoistyczna świątynia położona jest u podnóża góry Inari, a jej początki sięgają czasów sprzed przeniesienia stolicy do Kioto, które miało miejsce w 794 roku. Świątynia Fushimi Inari to świątynia poświęcona bogini Inari – patronce biznesu, bogini płodności, ryżu, rolnictwa, przemysłu, powodzenia. Różnie jest przedstawiane, przybiera wiele postaci, jednak jego wysłannikiem jest dobry lis – zenko. Stąd w kompleksie świątynnym tak dużo posągów przedstawiających to właśnie zwierze. Większe i mniejsze statuy porozsiewane są po świątyni niemal wszędzie. Często też lisy, „ubrane” w czerwone pelerynki stoją na straży licznych kapliczek z miniaturkami bram Tori, zapalonych kadzideł i modlitewnych dzwonek.

Świątynia ta znana jest z tysiąca pomarańczowych bram torii, które postawione są wzdłuż ścieżek. Wiją się one po wzgórzu prowadząc nas od jednej kapliczki do drugiej. Szlak biegnie przez piękny las, częściowo bambusowy. Za kompleksem świątynnym znajduje się cały szpaler tori. Stoi ich tu podobno 30 tysięcy i prowadzą na samą górę. Też postanawiamy przejść się fragmentem tej ścieżki. Co jakiś czas pojawiają się miejsca kultu, których strzegą dziesiątki kamiennych bóstw lisów oraz powytwane są między nimi drewniane bramy tori. Tutaj też jak w świątyniach buddyzmu można zostawić prośby, ale ludzie głównie piszą je na małych tori i wieszają w wyznaczonych miejscach. Gdy schodzimy na dół naszym oczom ukazują się japońskie znaki wypisane czarną farbą na każdej z bram. Podobno są to nazwy ich fundatorów, a także właścicieli firm i przedsiębiorstw – nie zapomnijmy, że Inari jest bóstwem opiekującym się właśnie przedsiębiorcami, bóstwem zapewniającym powodzenie w interesach. Każdy może ufundować i postawić sobie swoją własną bramę Tori i tym samym zapewnić większe powodzenie.

Zbliża się popołudnie, coraz więcej Japończyków w swoich bawełnianych yukatach wychodzi na spacer. A my postanawiamy wrócić już do hotelu, aby jeszcze zatrzymać się na dworcu w lokalnej restauracji, gdzie można zjeść nigiri sushi, czyli tzw. sushi ugniatane, gdzie na garstce ryżu ułożone są owoce morza, a to wszystko tworzy kaiten sushi, czyli jadące na taśmie talerzyki.

Wchodzimy a tam na środku uwijają się osoby tworzące sushi i układające je po jednym lub po dwa kawałki na talerzyk. Potem talerzyki trafiają na taśmę która jedzie dookoła, a klienci siedzą sobie dookoła i wybierają co chcą jeść. Kolor talerzyka mówi nam o cenie sushi. Można sobie do tego zrobić herbatkę i wybrać sosy, a dodatkowo zagryzać imbirem. Ja zjadam krewetki w tempurze, wołowinę na ryżu, sałatkę krabową z cebulka oraz coś zawijanego z tuńczykiem. Nawet całkiem niezłe to jest. Potem obsługa knajpki liczy ile zjadło się talerzyków i idzie się z rachunkiem do kasy.

Wracamy do hotelu i w pewnym momencie mi się film urywa i zasypiam na dobrą godzinę. Potem oglądam japońskie wiadomości w których numerem jeden jest dzisiaj wystrzelenie rakiety przez Koreę Północną na Morze Japońskie o zasięgu 1000km. Do lądu Japonii zostało raptem 200 km. Jak widać jest to wtargnięcie Korei na wody japońskie.



Postanawiamy jeszcze pójść na okonomiyaki do polecanej w naszym hoteliku pobliskiej knajpki. Gdy wchodzimy do środka wydaje się to być spelunka, bo ściany są betonowe, ale jedzenie bardzo dobre i jak widać dużo klientów. Większość siedzi na podłodze przy niskich stolikach, a mnie po paru minutach drętwieją nogi. Okonomiyaki, to placek m.in. z kapusty.

No i znowu kolejny dzień nam minął. Zbieramy się spać, bo jutro pobudka 6:30 i jedziemy z powrotem do Hiroszimy aby zobaczyć fabrykę Mazdy.

#### **4 sierpnia (czwartek)**

No i budzik dzwoni o 6:30. Chętnie bym jeszcze pospała, ale trzeba wstawać. Zbieramy się na dworzec kolejowy. Mimo wczesnej pory już znowu jest ciepło. Mogłoby być o kilka stopni mniej. Temperatury powyżej 30 stopni są wykańczające.

Kupujemy tradycyjnie nasze wypróbowane kanapki w sklepie na dworcu, bo za wcześnie jeszcze na śniadanie w hotelu, a dali nam na wynos bułeczki, którymi to raczej można się zapchać.

Pociąg odjeżdża punktualnie o 7:20, a w Hiroszynie będzie o 9:05. No to śmigamy ponownie z zawrotną prędkością powyżej 270 km/h. I jak zwykle docieramy punktualnie do Hiroszimy, gdzie wsiadamy w lokalny pociąg i podjeżdżamy dwie stacje do fabryki Mazdy. Teren fabryki zajmuje ogromne przestrzenie miasta. Ma nawet swój prywatny wielki most nad rzeką, bloki mieszkalne dla pracowników – kawalerów, szpital, a nawet szkołę, w której szkolą swoich przyszłych pracowników.

Mazda Motor Corporation – japoński producent samochodów osobowych mający swą siedzibę w mieście Hiroshima. Koncern został założony w 1920 roku przez Jujiro Matsuda.

Filozofią marki jest hasło „zoom-zoom”, które towarzyszy firmie od 2002 roku, nawiązujące do przyjemności z jazdy. W 2007 roku Mazda postanowiła obniżyć spalanie w swoich samochodach (nawet o 30%) do roku 2015. Filozofia marki uległa delikatnej zmianie, obejmując dodatkowo dbałość o środowisko naturalne i przyjęła brzmienie: „zrównoważony zoom-zoom”.

W 1920 roku w Hiroszynie Jujiro Matsuda wspólnie z grupą inwestorów założył firmę Toyo Cork Kogyo. Początki japońskiej firmy opierały się na produkcji obrabiarek. Ruszyły prace nad pierwszym pojazdem samochodowym firmy. Działania te przyczyniły się do zwiększenia specyfikacji produkcji z narzędzi także na samochody.

W 1931 roku rozpoczęła się produkcja pierwszych pojazdów. Były one małymi, trójkołowymi bagażówkami nazwanymi Mazda-go (które można zobaczyć w muzeum na miejscu). Pojazdy te były połączeniem elementów zarówno motocykla, jak i samochodu. Pierwszy rok produkcji zakończono liczbą 66 egzemplarzy. Konstrukcja była tak udana, że zdecydowano się na eksport do Chin w kolejnych latach.

W roku 1934 firma nieoficjalnie zmieniła nazwę z Toyo Kogyo na Mazda. Wiele osób twierdziło, że ta nazwa pochodziła od staroperskiego bóstwa Ahura-Mazdy. Są też zwolennicy teorii, która głosi, że stało się tak na cześć założyciela firmy, którego nazwisko wymawia się bardzo podobnie. Wtedy ukazało się pierwsze logo Mazdy, a sama nazwa od tej chwili oznaczana była już na wszystkich pojazdach produkowanych przez spółkę.

Pierwsze prototypy samochodów osobowych zaczęły powstawać w 1940 roku, jednak z powodu wybuchu II wojny światowej prace zostały wstrzymane. Ponadto w wyniku zrzucenia 6 sierpnia 1945 roku bomby atomowej na Hiroszimę uległa zniszczeniu blisko połowa fabryki.

Dopiero po odbudowie udało się wznowić prace nad produkcją samochodów. Od tego czasu firma rozwija się tworząc coraz to nowsze modele samochodów, a jednocześnie dba o środowisko produkując silniki nowej generacji.

Po kilku chwilach docieramy do recepcji budynku, gdzie musimy odhaczyć się na liście, potem robimy sobie zdjęcia z kilkoma modelami mazdy. W sumie mi się podobają. Zwłaszcza przepiękny metaliczny czerwony kolor samochodów.

Mazda posiada dwa główne zakłady produkcyjne w Hiroszynie i Hofu oraz 19 fabryk rozmieszczonych na całym świecie, między innymi w Ameryce Północnej, Chinach, Tajlandii, a także Afryce Południowej. Zakład Mazdy w Hiroszynie jest jednym z największych motoryzacyjnych kompleksów przemysłowych na świecie, wytwarzającym rocznie blisko 500 000 samochodów. Zdolności produkcyjne zakładu w Hofu są niewiele mniejsze, gdyż wynoszą około 400 000 sztuk rocznie. Działalność produkcyjna jest wspierana przez cztery ośrodki badawczo-rozwojowe mieszczą się one w: Japonii (Hiroszima), Ameryce Północnej (Irvine, Kalifornia), Europie (Oberursel, Niemcy) i Chinach (Szanghaj). Ich zadaniem jest konstruowanie samochodów w pełni odpowiadających zróżnicowanym wymaganiom rynków Mazdy.

Na początek zostajemy wsadzeni do autobusu, który 10 minut wiezie nas przez tereny fabryczne do muzeum Mazdy. Tutaj na kilku piętrach można poznać historię mazdy począwszy od lat 20, zobaczyć najstarsze modele, aż do obecnych. Tutaj też pokazane są silniki samochodu, a także jak powstaje samochód, od drewnianego modelu, przez plastikowy, aż do oryginalnego auta. Nie idzie poznać, że to model plastikowy, wydaje się być niczym prawdziwe auto.

W końcu wychodzimy na prawdziwą linię produkcyjną. To jest niesamowite. Samochody z części składane są przez ludzi na poszczególnych taśmociągach. Samochody na tych taśmociągach są w ruchu, więc pracownicy nie mogą ani na chwilę przerwać montażu, tym bardziej że obok jadą wózki z odpowiednimi częściami do zamontowania. Co ciekawe każdy samochód to inny model. To mnie zadziwiło, bo przecież trzeba tak zaprogramować linię produkcyjną, aby co samochód obsługiwała inne wyposażenie. Widzimy jak pracownicy Mazdy wpakowują do środka różne elementy wnętrza, poprzez deskę rozdzielczą, aż po szyby, które podają im roboty wcześniej nanoszące klej. A człowiek tylko to dokłada. Każdy samochód jest non stop w ruchu na taśmie i podjeżdża do kolejnych stanowisk pracowniczych, gdzie ludzie składają go jak z klocków, dokładając kolejny element. Na hali jest dość głośno od tej pracy, bo jednak zewsząd dochodzi dźwięk wkrętarek, którymi wkręcane są kolejne elementy. Przez okno widać port, stoją w nim statki którymi samochody są wysyłane na rynek tutejszy, jak i na cały świat. Mazda ma kilka swoich fabryk na świecie, ale żadnej w Europie. Zobaczenie takiej fabryki to niezła przygoda, szkoda tylko że na hali fabrycznej nie można robić żadnych zdjęć, bo wygląda to naprawdę imponująco. Ludzie są w ciągłym ruchu, muszą zdążyć zrobić swoje, bo samochód na taśmie pojedzie dalej. Hmm w sumie to podoba mi się taki samochód, a zwłaszcza jego piękny malinowy kolor. Mogłabym taki mieć.

Po zwiedzaniu wracamy na dworzec kolei podmiejskiej i jedziemy z powrotem do Hiroszimy. Tutaj jednak płączemy się przez godzinę po podziemnych markecie, bo wszystkie pociągi jadące do Himeji, gdzie zmierzamy, to superszybka linia, której nasz JR Pass nie obejmuje. Mamy za to okazję w markecie poprobować lokalnych wyrobów, bo nas częstują, a to kurczakiem smażonym w cieście, a to pierożkami przypominającymi nasze knedle, a w końcu suszone morele, ale są tak słone, że nie da się ich jeść. Tu oglądamy stoiska z ogromną ilością bento z owocami morza, ale i normalnymi np. z kurczakiem. Wybór jest tak duży, że naprawdę nie wiadomo na co się zdecydować. Tutaj zaopatrujemy się w bento na drogę i możemy wsiadać do pociągu, aby za godzinę wysiąść w Himeji.

Zamek Himeji znajdujący się w centrum miasta Himeji, około 50 km na zachód od Kobe. Jest to jedna z najstarszych, istniejących do dziś budowli Japonii. Został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Zamek Himeji znany jest również jako Hakuro-jō lub Shirasagi-jō (Zamek Białej Czapli) ze względu na zewnętrzne wykończenie białym tynkiem gipsowym.

Zamek zbudowany jest na dwóch wzgórzach Himeyama (45,6 m n.p.m.) oraz Sagiyama. Główna wieża położona na wzgórzu Himeyama, zbudowana jest na kamiennym postumencie o wysokości 14,85 m i ma wysokość 31,5 m. Główna wieża wznosi się więc 92 metry n.p.m.

Pierwotną konstrukcją był fort wzniesiony w 1333 r. przez Norimurę Akamatsu, władcę regionu Harima. W 1581 r. trzypiętrowy zamek został wzniesiony przez Hideyoshiego Toyotomi w okresie stałych konfliktów zbrojnych i jego dążeń do zjednoczenia kraju.

Po bitwie pod Sekigaharą w 1600 r. Ieyasu Tokugawa osadził na zamku swojego zięcia Terumasę Ikeda, który od 1601 r. prowadził przez osiem lat przebudowę. Podwyższył główną wieżę do pięciu pięter i dobudował trzy mniejsze. Ostatnim elementem rozbudowy była zachodnia baszta z przeznaczeniem dla księżniczki Sen (1597–1666), najstarszej córki sioguna Hidetady Tokugawa. Została ona ukończona w 1618 r.

Zamek Himeji nigdy nie został zniszczony przez trzęsienia ziemi, ani w czasie walk, nawet w czasie II wojny światowej (był pokryty ciemną farbą maskującą). Zachował przez to swój oryginalny kształt przez 400 lat. Do czasu restauracji Meiji zamek był we władaniu potomków kilku rodów. W 1871 r., po upadku systemu feudalnego w Japonii został przejęty przez rząd japoński.

Himeji jest przykładem typowego japońskiego zamku, zawierającego wiele obronnych i architektonicznych elementów kojarzonych z japońskimi zamkami. Wysokie fundamenty, białe ściany i rozmieszczenie budynków wewnątrz kompleksu są typowymi elementami każdego japońskiego zamku.

Jednym z najważniejszych elementów obronnych zamku (i prawdopodobnie najstłanniejszym) jest skomplikowany labirynt ścieżek wiodących do głównej warowni. Bramy, wewnętrzne i zewnętrzne mury zamkowego kompleksu są tak zorganizowane, aby atakujący był zmuszony poruszać się wokół zamku, napotykać po drodze wiele ślepych zaułków. Pozwalało to obserwować i ostrzeliwać intruzów z wnętrza warowni strzałami, muszkietami, kamieniami i gorącym piaskiem. Himeji jednak nigdy nie był zdobywany, więc system nie został sprawdzony.

Po dojechaniu do Himeji już z dworca widać zamek. Teraz tylko trzeba przejść do niego około kwadransa. Znowu słońce daje nam popalić. Staramy się iść w cieniu budynków, bo tak jest jednak trochę lepiej. Zamek jest przepiękny. Położony na ciekawej podmurówce z kamienia, a dopiero na tym osadzony jest drewniany zamek. Jego szkielet jest cały drewniany a trzon stanowią dwie wielkie drewniane kolumny, a przecież ma aż 6 pięter. Docłapanie się na owe 6 piętro trochę trwa. Z ostatniego piętra roztacza się widok na całe Himeji. Król to kiedyś miał tutaj widoki. Wszystko w środku jest drewniane. Obejrzenie całości zajmuje nam ponad 1,5 godziny. W sumie dobrze, że przyjechaliśmy tutaj popołudniu, bo udało nam się uniknąć tłumów turystów. Wychodzimy z zamku na pół godziny przed jego zamknięciem.

Czas udać się na dworzec, aby wrócić do Kioto. Nie wiem czemu na dworcach słychać z głośników ćwierkanie ptaków. I tak jest na wielu dworcach kolejowych na których do tej pory byliśmy. Nie wiem czy to ma na celu umilić atmosferę podróżnym???

Co ciekawe jeszcze. Zawsze wydawało mi się że Japończycy chodzą w maseczkach na twarzy, a tu się okazuje że takich osób jest naprawdę niewiele, wydawało mi się że Japończycy mają obsesję na punkcie ochrony skóry, ale robią to raczej nieliczni, a wiele osób normalnie jest tutaj opalona. W Korei bardziej kobiety się chroniły od słońca. Nosząc choćby na głowie wielkie daszki osłaniające je przed słońcem. Teraz już wiem jak rozpoznać w Krakowie turystów koreańskich, właśnie po owych daszkach. Japończycy ich raczej nie noszą... poza tym już wiem jak rozpoznać Koreańczyka, Chińczyka i Japończyka po języku. Chiński ma charakterystyczny styl mowy gdzie słychać sylaby często dość twarde, a na dodatek dużo jest „szy”. Z kolei w japońskim słychać łagodne sylaby dużo w nich „no i to”, oraz zdań kończących się na „mas lub das” np. Dziękuję: arigato gozaimas. No i koreański ... nie wiem co oznaczają sylaby „mi i da”, ale bardzo często pojawiają się na końcu zdania. Dziękuję po koreańsku to: kamsamida.

I jeszcze jedna rzecz... komiksy mangi. Są w Japonii i Korei. Można kupić grube książki nawet w zwykłym małym sklepiku. Tylko nie wiem dlaczego czyta się je od końca. Tak samo okładka jest w drugą stronę... A bajek to ich nie rozumiem. Bohaterowie mają zazwyczaj jakieś supermoce, zieją energią, latają po ekranie i oczy mają jak pięć złotych...

No dobra a my wracamy do hotelu. Jeszcze próbujemy śliwkowego wina. O ludzie jakie dobre.... Dzień nam się kończy, a jutro kolejny. Jedziemy do Nary.

## **5 sierpnia (piątek)**

Wstajemy i po śniadaniu jedziemy do Nary. Tradycyjne z pobliskiej stacji wsiadamy w lokalny pociąg, który w ciągu godziny wraz z całym tłumem turystów dociera do Nary.

Nara to pierwsza historycznie stolica Japonii. Miasto to ufundowane w 710 roku na wzór jednego z miast chińskich jedwabnego szlaku, szybko stało się japońskim oknem na świat. Był to czas gdy Japonia zafascynowana była Chinami i nie zwracała uwagi na swego bliższego sąsiada, Korę. 74 lata tak zwanego okresu Nara były złotym wiekiem Japonii. To wtedy właśnie powstały jedne z najpiękniejszych na świecie dzieł sztuki, oraz obiektów architektonicznych o charakterze sakralnym. To centrum religijne buddyzmu i szinto (shinto) osiągnęło swój szczytowy punkt wraz z zakończeniem budowy Wielkiego Buddy i potężnej świątyni Tada-i. Inne świątynie takie jak Kofuki-i czy Kasuga Taisha ufundowane były jako strażnice religijne stolicy. Rosnąca siła świątyń Nary będąca zagrożeniem dla tronu cesarskiego wpłynęła na decyzję przeniesienia stolicy Japonii w inne miejsce. Powstało miasto o nazwie Kioto.

Na początek w pobliżu głównej drogi widzimy centrum Pachinko, więc postanawiamy tam wejść i zobaczyć w końcu jak takie miejsce wygląda. Są to ogólnodostępne salony gier, które można spotkać bardzo często w Japonii. Ten do którego weszliśmy okazał się mieć aż 4 piętra, gdzie ludzie niezależnie od wieku grają w gry. Na parterze znajdują się maszyny, gdzie wrzucając monetę można sobie wyciągnąć np. maskotkę, co jak już pisałam wcześniej wcale takie proste nie jest, bo zazwyczaj w newralgicznym momencie spadają. Tych maszyn jest tu wiele, a każda gra, więc zgiełk od nakładającej się muzyki jest maskryczny. Wjeżdżamy na kolejne piętra, a tam już automaty, dziesiątki automatów, zwykłych, ale i niezwykłych. Można usiąść za konsolami i w kilkanaście osób grać w konną gonitwę, można wysiąść do symulatora lotów, albo grać w wielkiej maszynie, która przypomina wehikuł czasu. Przy jednej maszynie dzieciak tak szybko uderza w klawisze, że chyba jest chyba tej gry od dawna uzależniony, bo robi to z prędkością światła. Na każdym z pięter dalej łomot niesamowity, raz że słychać muzyczkę z każdej maszyny, to jeszcze pojawiają się inne dźwięki. Słychać również sypanie się żetonów. Tłumów nie ma, ale na

maszynach grają osoby od nastolatków po emerytów. Robimy zdjęcia ale są tak zajęci grami, że nas nie zauważają. Bardzo niepokojące zjawisko.

No to idziemy dalej. Mijamy masę sklepów przy głównej ulicy Nary. Wracając wstąpimy do kilku małych uliczek, może pamiątki nam się trafią.

Na początek idziemy do świątyni Kofukuji, ale część jej budynków jest w remoncie. Tutaj można zobaczyć dwie pagody jedną trzy- a drugą pięciopiętrową.

Kōfuku-ji – świątynia buddyjska szkoły hōssō, znajdująca się w miejscowości Nara w Japonii. Świątynia została wzniesiona w 669 roku w Yamashinie. Ufundowała ją Kagami-no-Ōkimi, żona Kamatariego Fujiwary. W 710 roku przeniesiono ją do Nary. Przez wieki służyła jako rodzinna świątynia rodu Fujiwara, a od połowy VIII wieku stanowiła jeden z ośrodków nauk szkoły hōssō, przyniesionych do Japonii przez mnicha Gembō.

Ponieważ świątynia w ciągu wieków była wielokrotnie niszczona na skutek pożarów i działań wojennych, żaden oryginalny budynek nie zachował się i obecnie wszystkie są późniejszymi rekonstrukcjami. Na terenie kompleksu świątynnego znajdują się m.in. pięciopiętrowa pagoda o wysokości 50 metrów (zbudowana w 730 r., obecna rekonstrukcja z 1426 r.), wzniesione na planie ośmioboków pawilony Hoku'en-dō (zbudowany w 721 r., obecna rekonstrukcja z 1240 r.) i Nan'en-dō (zbudowany w 813 r., obecna rekonstrukcja z 1789 r.) oraz pawilon Tōkon-dō (zbudowany w 726 r., obecna rekonstrukcja z 1425 r.). Część budynków, w tym pagodę, uznano za Skarby Narodowe Japonii.

Przechodzimy więc dalej koło muzeum narodowego, aby dotrzeć do Okumura Commemorative, które jest prywatnym muzeum firmy budowlanej, która to na swoje stulecie otworzyła właśnie to miejsce. Firma ta zajmuje się budowaniem różnych obiektów na terenach sejsmicznych z zastosowaniem odpowiedniego systemu chroniącego budowlę przed ewentualnym zwaleniem. Z czego jest znane to muzeum? Ano z symulatora trzęsień, chociaż przewodniki o tym za bardzo nie piszą więc tłumów wielkich tu nie ma. Można usiąść na specjalnym fotelu i odczuć trzy różne rodzaje trzęsień ziemi wraz z tym wielkim z 2011, gdzie doszło do awarii elektrowni atomowej w Fukushima. Siadam, każde trzęsienie z tych trzech jest inne. Trzepie człowiekiem równo. Na koniec jest jeszcze porównanie odczucia trzęsienia ziemi z Fukushimy przy zastosowaniu mechanizmów izolacji trzęsień ziemi. Nieprawdopodobne, ale różnica jest ogromna. Ma się wrażenie płynięcia, a nie szarpania. W gablocie znajduje się model takiego systemu izolacji. Można pociągać za uchwyt imitując trzęsienie ziemi i zobaczyć jak zachowuje się pojemnik z cieczą na platformie, pod którą jest system izolacji, oraz drugi pojemnik z cieczą, gdzie tego systemu nie ma. Niebo, a ziemia. Różnica kolosalna. Jest też pokazany model dwóch wieżowców, jak się zachowują podczas trzęsienia ziemi, znowu jeden z mechanizmem, a drugi bez. Nie dziwię się już teraz, że japońskie wysokie budynki są tak odporne na trzęsienia. Pani pilnująca wystawy, zaczęła nam przynosić różne ulotki, bo powiedziała, że rzadko, ktoś tu przychodzi zainteresowany budynkami i systemem izolacji. Jeśli ktoś tu trafia to tylko po to aby się potrząsnąć na symulatorze. Była więc nami zachwycona.

Idziemy dalej do parku, gdzie spotkamy pierwsze daniele – jelonki, z których słynie Nara. Jest ich tu około 1200 i mają się dobrze, bo przecież są posłańcami bogów. Wszędzie można spotkać stoiska, gdzie kupuje się wafelki jelonkowe. Jak się ich nie ma to jelonki są spokojne, można robić sobie z nimi zdjęcia, pogłaskać. Natomiast jeśli ma się wafelki, to w jelonki wstępuje jakiś amok. Nie dadzą ci spokoju, póki nie dasz im wszystkiego. Nawet jak zakamuflujesz część wafelków w plecaku, to one chyba czują że tam jeszcze są bo się domagają. A jak nie dasz to albo będą cię gonić, albo rogami robić buc buc. Najczęściej obrywa się dzieciom, nawet sarenki nie

mające rogów robią dzieciom buc, bo dzieci są mniejsze od zwierząt, więc owe sarenki się ich nie boją. Widziałam jak jeden jelonk stojący za gościem który karmił jelonki z przodu, jak się zdenerwował że nic nie dostaje więc raczył przypomnieć o swoim istnieniu. Zaczął gościa kąsać w tyłek, aby się odwrócił i trochę wafelków mu dał. W sumie jelonki zamiast siedzieć w lesie, to okupują miejsca sprzedaży wafelków, wejścia do świątyń, przechadzają się nawet po pasach dla pieszych. Są wszędzie i ich odchody też.

Zostawiamy jelonki w parku i idziemy do świątyni Todaiji, ale tutaj w alei prowadzącej do owego zabytku, znowu pojawia się cała masa jelonków. Zaglądają do sklepików z pamiątkami, okupują główny chodnik. Nie widzą problemu że właśnie zajęły miejsce pod automatem z napojami i teraz każdy kto chce coś z tego automatu kupić musi się gimnastykować. W bramie do świątyni też są. Co chwilę ktoś biegnie z szufelką i zmiotką, aby sprzątać odchody.

Czas na zwiedzanie Todaiji – buddyjski kompleks świątynny. Wchodzący w jego skład Pawilon Wielkiego Buddy jest największą drewnianą budowlą na świecie. Znajduje się w nim wielki posąg Buddy Rushany (w sanskrycie Wajroczyany) o wysokości 16,2 m. Świątynia jest również główną siedzibą buddyjskiej szkoły kegon.

Główne wejście do klasztoru prowadzi przez nandaimon – wielką bramę południową. Pomiędzy nią a chūmon – bramą wewnętrzną – znajdowały się kiedyś dwie 7-kondygnacyjne pagody na wschodzie i zachodzie, każda 100-metrowej wysokości. Przechodząc przez chūmon, dochodzi się do hondō (głównego pawilonu), zwanego tu Daibutsu-den – domem wielkiego buddy. Jest to największy na świecie drewniany budynek, mimo że po rekonstrukcji w 1709 r. został zmniejszony o 1/3. Jego wysokość sięga 48 m, długość 57 m, a szerokość 50 m. Wewnątrz znajduje się główny obiekt kultu szkoły kegon – daibutsu (Wielki Budda) Birushana. Jest to największy posąg z brązu na świecie; ma 15 m wysokości. Sama głowa zrekonstruowana w 1695 r. ma 5,3 m wysokości (dziwne proporcje rzeźby wynikają z tego, iż Birushana siedzi w pozycji medytacyjnej). Sam korpus ciała po zniszczeniach został zrekonstruowany w 1185 r. Przebudowana i pomniejszona główna hala pod żadnym względem nie dorównuje oryginalnej hali; brak jej stylistycznej jedności, świetnych proporcji i wyrafinowania poprzedniczki.

Na osi północnej klasztoru, czyli za Daibutsu-den, znajduje się kōdō – sala wykładów i zgromadzeń. Na jej flankach stoją: wieża dzwonu i biblioteka. Z trzech stron hala ta jest otoczona przez kwatery mnichów. Korytarz łączy je z refektarzem. W 754 r. wybudowano Kaidan-in – pawilon ordynacyjny mnichów. Na jego ołtarzu znajdują się gliniane posągi shitennō – czterech niebiańskich królów, obrońców buddyzmu. Konstrukcja obecnego pawilonu pochodzi z 1731 r.

Większość budynków kompleksu pochodzi z 1180 r., gdy klasztor odbudowano po zniszczeniach w stylu południowej chińskiej dynastii Song. Styl ten nazwano daibutsu-yō – stylem wielkiego Buddy lub tenjiku-yō – stylem indyjskim. Szczególnie dobrym jego przykładem jest nandaimon z potężnymi figurami obrońców wiary Niō – dwóch królów. Po wielkich zniszczeniach klasztoru w 1567 r. został on odbudowany przy pomocy siogunatu Tokugawy.

Wielka drewniana świątynia, w której znajduje się posąg Buddy. Można tu zobaczyć kolumnę z dziurą u podstawy, przez którą przechodzą dzieci. Dorośli jak już to się przeciskają, albo wręcz są za ręce wyciągani, bo dziura naprawdę nie jest duża. W świątyni spotykamy polską grupę z biura Rainbow. W sumie to jakichkolwiek grup wycieczkowych jest mało. Natomiast z nacji dominują Hiszpanie i o dziwo Włosi, których w Azji spotykaliśmy do tej pory niezmiernie rzadko. Mało natomiast jest Niemców, czy Amerykanów.

Po wyjściu ze świątyni zjadamy małą przekąskę w postaci smażonych kawałków kurczaka i idziemy dalej zobaczyć jeszcze mniejsze świątynie w parku – Kasuga Taisha, gdzie idziemy aleją z

kamiennych latarni. Co jakiś czas wyłaniają się kolejne jelonki, to te którym chyba tak nie zależy na wafelkach i wolą ciszę i spokój lasu.

Wracamy do centrum miasta i chwilę chodzimy po uliczkach z pamiątkami. Ceny są w Japonii pod tym względem wyjątkowo wysokie, ale udaje mi się kupić tani obrazek z literkami japońskimi, a w tanim sklepie sieci Daiso, kilka japońskich miseczek.

Jeszcze przy uliczce trafiamy na stoisko, gdzie dwóch gości ubija młotkami masę z zielonej herbaty, która potem trafią do maszyny, gdzie formowana jest w okrągłe ciasteczka. A kolejni pracownicy te kulki obtaczają w posypce i ciastko gotowe.

Czas wsiadać do pociągu powrotnego do Kioto. Nie wiem gdzie nam upłynął tak szybko cały dzień. Po powrocie do Kioto raz jeszcze idziemy na obiad w restauracyjce z jadącymi talerzykami. Zajadamy się w sumie aż 14 talerzykami z sushi. Mnie najbardziej w sumie smakują krewetki w tempurze, czyli w cieście. Ale jem też surowego tuńczyka, i parę innych dobrych rzeczy. Ale sushi jednak nie będzie należało dla mnie do jakichś super dań. Owszem mogę zjeść, ale sporo czasu upływa, aż coś wybiorę z jadących talerzyków. Jednak niektóre surowe owoce morza, bardziej odstraszaają niż zachęcają do jedzenia. Ale krewetki mogłabym jeść...

Teraz wracamy do hotelu. Mam wrażenie że od tego upału moje ubrania śmierdzą, a ja wraz z nimi. Na dodatek w tv pokazują że jutro w cieniu w Kioto ma być co najmniej 37 stopni. Zdechnę chyba jutro...

I tak oto kończymy dzisiejszy dzień. Jutro mamy dzień przeznaczony jeszcze na Kioto.

## **6 sierpnia (sobota)**

Wstajemy niespiesznie. Tym bardziej że o 8 rano lokalnego czasu zaczęła się właśnie transmisja rozpoczęcia Igrzysk Olimpijskich w Rio de Janeiro. Akurat mamy dwanaście godzin różnicy czasu.

Po śniadaniu, znowu takim samym, gdzie sałatka hotelowa już mi prawie nie smakuje, bo kolejny dzień jeść to samo to już za wiele. Na śniadaniu jeszcze trafiamy na ciasteczka z ciasta francuskiego, które są oczywiście nafaszerowane czerwoną fasolą. Japończycy jak widać lubują się w słodyczach z zielonej herbaty i właśnie z czerwonej, słodkiej fasoli adzuki. Wszystko można dostać z tych dwóch rzeczy- ciasteczka, cukierki, wafelki, bułki. Każdy coś znajdzie dla siebie. No nie ma jak połączenie tych obu składników w jedno, czyli pampuszek barwiony na zielono herbatą z nadzieniem fasolowym.

Wychodzimy z hotelu, rany faktycznie jest dzisiaj upalnie. Jest dziesiąta rano, a tu upał jak w południe. Oj będzie ciężko.

Na początek jedziemy do muzeum kolei, aby kupić znajomym monety wydane na 50-lecie shinkasena, ale niestety już się skończyły. Na dodatek kolejka jest tak długa do wejścia, że kilka maszyn oglądamy zza płotu i postanawiamy tym bardziej nie wchodzić. No tak przecież jest weekend, więc Japończycy też są na wycieczkach.

Idziemy więc do dwóch siostrzanych świątyń szinto Nishi Honganji, a następnie do Higashi Honganji. Świątynie Honganji: Nishi Honganji i Higashi Honganji znajdują się w centrum miasta i są domem dla dwóch odłamów jednej z amidystycznych szkół buddyzmu japońskiego: Jōdo-shinshū. Świątynia Honganji została zbudowana w 1591r. przez Toyotomi Hideyoshi dla sekty buddyjskiej Jodo shin-shu. W 1602r. Hideyoshi założył w pobliżu świątynię Higashi (wschodni)

Honganji. Wcześniejszą świątynię od tej pory nazywano Nishi (zachodni) Honganji. W każdej z nich robimy dłuższy postój. Jest za gorąco.

W celu ochłodzenia się wchodzimy do dużego sklepu, gdzie Paweł chodzi po stoiskach z elektroniką, a ja udaję się do spożywcza, aby oglądać kolejne tony pudełek bento. W sumie to mało ekologiczne. Pakowane w plastikowe pudełeczka, które trafiają zaraz do kosza.

Postanawiamy zrezygnować ze zwiedzania pałacu królewskiego, a od razu udać się do świątyni Kiyomizudery. Duży kompleks świątynny z wytyczoną jednokierunkową trasą, gdzie oczywiście turystów cała moc. Japończycy oczywiście wskoczyli w yukaty i drewniaki i teraz łomocą o beton. Ci co nie mają yukaty, noszą szerokie spódnico-spodnie, które w tych warunkach gorąca są idealne.

Kiyomizu-dera – buddyjski kompleks świątynny w Kioto w Japonii, usytuowany nad miastem, we wschodniej dzielnicy Higashiyama, na zalesionych zboczach góry Otowa. Odgrywał ważną rolę w historii Japonii przez ostatnie 1000 lat. Budowle zespołu były wielokrotnie niszczone i odbudowywane. Dziś kompleks ten jest jednym z najważniejszych obiektów dziedzictwa kulturowego Japonii i celem licznych odwiedzin turystów.

Pełna nazwa kompleksu składającego się z wielu pawilonów brzmi Otowa-san Kiyomizudera, co oznacza „świątynię czystej wody góry Otowa”. Pochodzi ona od pobliskiego wodospadu, który powstał na strumieniu wypływającym z zalesionych zboczy.

Pierwszą świątynię w tym miejscu założył około 794 r. buddyjski mnich Enchin pod wpływem wizji, w której otrzymał polecenie odszukania źródła czystej wody. W tym samym roku cesarz Kammu, przenosząc stolicę z Nagaoka-kyō do nowej siedziby w Kioto, podarował budynek ze starą salą tronową głównemu generałowi Tamuramaro Sakanoue, jako nagrodę za służbę wojskową. Ponieważ generał był żarliwym wyznawcą bogini Kannon, przekazał budynek Enchinowi, z przeznaczeniem na główną jej świątynię. Zabudowania zniszczył pożar w 1629 r.

Główny pawilon (hondō) jest poświęcony Kannon. Podobnie jak wiele innych budowli, które uległy pożarom został odbudowany i zmodernizowany w latach 1631–1633 przez Iemitsu Tokugawę, III sioguna z rodu Tokugawa. Malownicze usytuowanie budynku oraz taras wsparty przez sześciopiętrową konstrukcję stanowią główną atrakcję dla turystów i zapewniają piękny widok na miasto i okolicę.

U stóp głównego pawilonu świątyni znajduje się wodospad Otowa no taki. Jego spadająca woda jest podzielona na trzy strumienie. Uważa się, że picie wody z każdego z nich przynosi inną korzyść: długowieczność, sukcesy w nauce, szczęście w miłości. Pić jednak można tylko z jednego, gdyż inaczej pijący będzie uważany za zachłannego, chciwego.

W zespole Kiyomizu jest jeszcze kilka świątyń. Szczególnie warto wspomnieć o chramie shintō Jishu-jinja, poświęconym Ōkuninushi no Mikoto, bóstwu miłości. Obok niego, w odległości 18 m od siebie, stoją dwa kamienie miłości. Zgodnie z legendą, jeżeli ktoś samotny przejdzie z zamkniętymi oczami od jednego głazu do drugiego, powtarzając imię ukochanej osoby, zapewni sobie szczęście w miłości i powodzenie dla związku.

Obecnie kompleks jest główną świątynią buddyjskiej sekty Hossō-shū (dosł. przejawy zasad), jednej z najstarszych w Japonii, stworzonej przez mnicha Dōshō w 661 r.

Wychodząc ze świątyni idziemy w kierunku Gion, dość długo turystyczną uliczką, gdzie w sklepikach można w ramach degustacji otrzymać zimną zieloną herbatę, ale także popробować różnych pikli. Najlepsze to zdecydowanie kapusta, ale również i ogórki. Hmm nie wiem czy tu



spore znaczenie nie odgrywają nasze polskie kiszonki. Mnie smakuje jeszcze dynia. Jem także bakłażany i cukinie, i inne warzywa, które już trudniej mi określić co to jest. W jednym ze sklepików można zjeść lokalne chipsy, ale ostre! Ratujemy się świeżą kapustą maczaną w różnych sosach, co jest zdecydowanie mniej ostre. Są też do degustacji małe porcje ryżu z przyprawami i sezamem. Ufff też są ostre.

Idziemy dalej do Gion. Szukamy jakiegoś przyjaznego miejsca na obiad. Ja kupuję w sklepiku, który widziałam kilka dni temu, małe naczynko na nóżce z biało-niebieskiej porcelany. Natomiast Paweł w tym czasie wypatruje w pobliżu restaurację serwującą ładnie wyglądające zupy. Zjadamy takie zupy i jeszcze pierożki. W tym czasie przychodzi grupa zmoczonych turystów. Lunął przez chwilę deszcz. Jednak kiedy wychodzimy nie ma po nim wielkiego śladu, na dodatek robi się parno, bo to co spadło na gorący beton, teraz szybko paruje.

Mija właśnie godzina 17 więc ruszamy na uliczki Gion, aby raz jeszcze spotkać maiko i geiko. Na skrzyżowaniu dróg stoi ten sam fotograf z aparatem co 4 dni temu i też czatuje na gejsze. Jesteśmy tu przez półtorej godziny i udaje nam się zobaczyć kilka maiko i dwie geiko. Z domu – okiya dzisiaj raczej mało która gejsza wychodzi. Za to inne tam przychodzą. Jak widać dzisiaj w tym domu jest impreza, na którą zjeżdżają głównie mężczyźni. W trakcie naszego polowania na gejsze na uliczce pojawia ponownie grupa polska z Rainbowa. Na dłuższy czas nam wchodzi w paradę z robieniem zdjęć. Jest ich dość liczna grupa niestety. A maiko i geiko a to szybciotko pojawiają się na uliczce i szybciotko z niej znikają, a to podjeżdżają i odjeżdżają taksówkami. Nie wiem jak to robią że tak zniemacka się pojawiają. Naprawdę trzeba być czujnym, aby zrobić zdjęcie. W pewnej chwili z domu - okiya wychodzi maiko. Robią jej ładne zdjęcie wśród ogrodowej zieleni. Potem pojawiają się z zaułka wspólnie maiko i geiko. Od razu po ubiorze i fryzurze widać która jest która.

Czas zbierać się do hotelu. Już prawie 19, a my od rana cały czas się kręcimy po mieście. To już nasz ostatni dzień w Kioto, jutro ruszamy 1700 km na północ na Hokkaido. Całość z dwiema przesiadkami ma zająć nam 11 godzin. To samo mówi za siebie....

Jeszcze tylko robimy w hotelowej pralce ala Frania pranie, choć nie wiem na ile będzie wyprane po pół godzinie. Potem jeszcze suszenie w gazowej (???) suszarce. Trzeba zrobić dwa razy po 10 minut, bo po pierwszym suszeniu jest dalej mokre. W tym czasie siedzimy sobie na parterze hotelu w kuchnio-loggii i sączymy cudowne wino ze śliwek.

## **7 sierpnia (niedziela)**

Wstajesz, a tu Polska na Olimpiadzie w Rio ma pierwszy medal w kolorze brązu – w kolarstwie Rafał Majki. Podobno mogło być złoto, gdyby na trasie naszego zawodnika nie dopadły jakieś psy...

Pakujemy resztę ubrań która była rozłożona bo po wczorajszym praniu była jeszcze wilgotna. Idziemy jeść śniadanko. Nawet ja się dzisiaj buntuję i nie jem sałatki, ale grzanki z dżemem pomarańczowym. Przy okazji robienia grzanek, nie udaje mi się złapać mojej wylatującej lotem błyskawicy z tostera i ląduje na ziemi. A wczoraj śmiałam się z Hiszpana, który swojego tosta łapał w locie. Jeden z dwóch tosterów niestety wyrzuca tosty w powietrze.

Po śniadaniu szorujemy do pobliskiego sklepu, aby kupić na drogę napoje, kanapki i pudełka bento. Po czym zabieramy swoje rzeczy z pokoju i idziemy na dworzec. Na tablicy odjazdów widać 4 pociągi do Tokio odjeżdżające co 3 minuty!!! Na tablicy odjazdów leci

informacja aby nie grać w gry na dworcu na telefonach, zwłaszcza idąc, aby nie wpaść pod pociąg, albo nie skasować innego podróżnego.

Pierwszy fragment naszej dzisiejszej trasy wiedzie z Kioto do Tokio - 2godz. 40 minut. Pociąg jedzie ponad 280km/h, znowu dużo trasy przebiega podziemnymi tunelami. Gdy jedziemy na ziemi, to wszędzie dookoła widać góry. Poluje na Fuji i prawie go bym przeoczyła, bo niestety tonie w chmurach, ale na chwilę pokazał swój krater. Nawet jakiś śnieg dało się dostrzec, a nasz shinkansen pomknął dalej.

Jak zawsze docieramy punktualnie. Przedmieścia Tokio robią wrażenie. Wysokie budynki ciasno obok siebie pobudowane. Na dworcu mamy 10 minut na przesiadkę. Hmmm, ale pędzimy ile sił w nogach, bo siedzimy w 16 wagonie, czyli na końcu peronu, a musimy zmienić peron z 17 na 23 i znaleźć się w wagonie nr 2. A tu jeszcze bieg tarasuje nam milion ludzi który wysypał się z 15 wagonów przed nami. Schodząc do podziemi musimy dopytać gdzie ten peron 23, bo nigdzie go nie widzimy, a potem pędzimy, znowu cały peron. A pociąg taki pięknie zielony. Hmm nawet dwa pociągi poleczona ze sobą... a to ciekawe. Dopadamy naszego wagonu na dwie minuty przed odjazdem. Uff zdążyliśmy.

Z głośników w pociągu głos mówi, że to pociąg łączony. Część oddzieli się w pewnym momencie i pomknie sama dalej. Czad. Nie trzeba mieć do tego lokomotywy. Odłącza się nie wagony a cały pociąg. Z głośników lecą informacje gdzie pociąg się zatrzyma, a także aby nie używać telefonów w wagonie, a udać się do wyznaczonych miejsc. Przed nami 4 godziny i 15 minut jazdy na Hokkaido linią shinkansena otwartą w z końcem marca. Czeką nas przejazd podmorskim tunelem Seikan między wyspami Honsiu i Hokkaido. W wagonie panuje zadziwiająca cisza i spokój. Przez cały czas jazdy, za bardzo nie słychać głośnych rozmów, ani przez tyle godzin nie dzwoni nikomu żaden telefon. Zresztą uprasza się ludzi o wyciszony tryb i powstrzymanie się od rozmów. aby był większy komfort podróży. Kolejna przesiadka dopiero na Hokkaido na końcu trasy shinkansena. Na szczęście mamy aż 20 minut czasu na zmianę pociągów. W końcu przyjeżdżamy bardzo długi podmorski tunel i docieramy na Hokkaido do miejscowości Hakodate, gdzie kończy się linia shinkansenów. Do Sapporo ma być oddana w 2035 dopiero. Wsiadamy na całkiem nowej stacji, gdzie jak widać nie wszystko jeszcze do końca gotowe. Nie ma elektronicznych wyświetlaczy, ale za to stoi cały szereg pracowników którzy kierują podróżnych na odpowiednie perony lokalnych pociągów.

Peron stoi niczym w polu, a zapach taki wiejski. Czuć sianem! Po trzech tygodniach miasta w końcu inny zapach. Wsiadamy do kolejnego dzisiaj już pociągu. Widać, że to stary pociąg, chociaż ekspres. Koleje lokalne w Japonii mają mniejszy rozstaw szyn, więc dość mocno pociągiem rzuca na obie strony. Lepiej więc siedzieć na miejscu niż chodzić. Jedziemy. Dookoła sama zielona okolica. Często pociąg jedzie wręcz zielonym tunelem, po obu stronach otaczają go gęste drzewa. Są i góry i pola. Nawet można zobaczyć ludzi na nich pracujących. Już na pierwszy rzut oka widać, iż to całkiem inna wyspa Japonii. Nawet domy są większe i dzięki temu że pomiędzy nimi są odległości, to posiadają ogródki. Na Honsiu domy są blisko siebie budowane. Jak chcesz mieć ogródek to wystarcza miejsca na kilka doniczek przed domem i to wszystko. Beton, beton, beton....

Hokkaido – druga pod względem wielkości wyspa Japonii. Od Honsiu oddziela ją cieśnina Tsugaru, ale obie wyspy są połączone podwodnym tunelem Seikan. Największym miastem i zarazem stolicą tego dystryktu jest Sapporo.

Hokkaido, które do okresu Edo zwane było przez Japończyków Ezo, było ojczyzną Ajnów. Oni sami swą wyspę zwali Ainu Moshiri, co w ich języku oznacza "wyspę człowieka" (ainu to "człowiek", moshiri oznacza "wyspa, świat"). Wiele nazw miejscowości do dziś nosi nazwy z

języka Ajnów, np. Sapporo. Pierwsi japońscy osadnicy z Honsiu pojawili się na wyspie w okresie Muromachi (1336–1537). W 1781 r. Ajnowie wznieśli powstanie, dosyć szybko i okrutnie stłumione. W 1802 r. rozpoczęła się kolonizacja wyspy przez Japończyków. W Hakodate powstał urząd administracyjny, tworzone obozy pracy dla więźniów. W 1868 r. (początek okresu Meiji), grupa poddanych Tokugawy dowodzona przez Takeaki Enomoto ogłosiła niepodległość wyspy, która jako państwo miała się nazywać Republiką Ezo. Przetrwiała jednakże zaledwie do 1869 r.

Przez kilka następnych lat Hokkaido było podzielone na 4 prefektury. W latach 1869-1883 istniał tu Kaitakushi (Urząd ds. Rozwoju, zwany też Urzędem ds. Kolonizacji). Nasilił się wtedy napływ osadników z pobliskiej wyspy Honsiu. W ciągu kilkudziesięciu lat liczba ludności zwiększyła się od 120 tys. do miliona. Ajnom zabroniono kultywowania swoich tradycji i stali się oni obywatelami drugiej kategorii.

W badaniach nad kulturą i zwyczajami tego ludu wsławił się Bronisław Piłsudski, brat Józefa Piłsudskiego, który został zesłany na rosyjską wyspę Sachalin, na której również żyli Ajnowie. W 1998 r. uchwalono ustawę, dzięki której udało się zachować kulturę Ajnów.

Wyspa Hokkaido położona jest na północnym krańcu Japonii, w pobliżu Rosji. Otoczona jest Morzem Japońskim, Morzem Ochockim i Oceanem Spokojnym. W centrum wyspy znajdują się liczne góry i wzgórza wulkaniczne. Na wybrzeżach dominują równiny. Główne miasta to Sapporo oraz Asahikawa w środkowej części regionu i Hakodate w południowej.

Do prefektury Hokkaido zalicza się wiele małych wysepek, m.in. Rishiri, Okushiri, oraz Rebun. Japończycy do tej prefektury zaliczają także kilka południowych wysp Kurylskich, o które prowadzą spór z Rosją: Iturup, Kunaszir, Szykotan i wysepki Habomai.

Na Hokkaido panuje klimat umiarkowany, morski. Lato jest tu chłodniejsze niż w pozostałych regionach Japonii, co przyciąga turystów z pozostałych jej części. Zima jest dosyć surowa i trwa 4 – 5 miesięcy, na ogół z bardzo obfitymi opadami śniegu. Średnia temperatura w najcieplejszym miesiącu w roku – w sierpniu wynosi od +17 °C do +22 °C, natomiast w najchłodniejszych styczniu i lutym od -12 °C do -4 °C w zależności od wysokości i szerokości geograficznej. Podczas zimy zamarza Morze Ochockie, czyniąc północne wybrzeże niezdatnym do żeglugi i uniemożliwiając rybakom wplywanie na połów.

Hokkaido jest głównym producentem ryżu w Japonii oraz przoduje w połowach ryb, a także w uprawach warzyw, rozwija się tu przemysł drzewny i papierniczy oraz leśnictwo. Lokalną ekonomię napędza także browar Sapporo. Duże zyski zapewniają także turyści, którzy tłumnie zjeżdżają latem do gorących źródeł, a zimą – by uprawiać sporty zimowe.

Po 3,5 godzinach jazdy docieramy do Sapporo. Jest już 20:30. Jeszcze tylko musimy wsiąść w podmiejską kolejkę i przejechać trzy stacje do Shinkawy, gdzie mamy nasz nocleg w Sapporo. Kolejka po 10 minutach dociera na stacje docelową. Teraz tylko szybko znaleźć nasze lokum. Ufff ale jest przyjemnie nie gorąco. I nawet wieje dość mocno. W sklepiku obok naszego bloku kupujemy jeszcze zupki w pudełkach i idziemy do naszego miejsca noclegowego. Nad drzwiami zgodnie z opisem znajduje się pudełko na kod, w którym odnajdujemy klucza do mieszkania. Wchodzimy i okazuje się że właściciel jest w środku. Witamy się, dostajemy pokój. O dziwo mieszkanie ma 3 pokoje i kuchnię z salonem.

Nasz gospodarz jest małomowny. Uczy Japończyków angielskiego, a sam pochodzi z Kalifornii.

Zjadamy nasze zupki. Hmm dalej się dziwię jak Japończycy robią tak dobre zupki w pudełkach. Zwartość warzywna zupki po zalaniu wrzątkiem wygląda jak świeża.

Myjemy się i idziemy spać, choć w pokoju trochę za ciepło jest, a klimy tu nie ma, jesteśmy na północny więc tutaj są normalne zimy ze śniegiem, toteż ludzie tu ogrzewają swoje mieszkania. Chociaż w całym mieszkaniu widzę tylko jeden piecyk... w kuchni Amerykanina panuje nieład, a zlew przypomina chlewik. Żony nie ma więc co zje to wali naczynia do zlewu i tak zostawia. Jakoś nie przejmuję się tym, że są goście.... Okazuje się że w naszym miejscu nie ma internetu, więc będziemy musieli korzystać z niego tylko w publicznych miejscach gdzie będzie dostępne wifi. Więc teraz notujemy rzeczy, które koniecznie musimy sprawdzić.

W nocy budzę się wiele razy bo tak jest ciepło. Przesuwam kawałek okna i przy nim śpię.

## **8 sierpnia (poniedziałek)**

Rano okazuje się że Pawłowi wiało i zamknął okna, stąd tak masakrycznie gorąco się zrobiło... Jestem cała mokra od potu i wymęczona. Idę umyć się do łazienki, żeby jakoś się postawić na nogi. Okazuje się, że w jednym z pokoi jest jeszcze ojciec z małą córką. To się dziwimy, bo jak przyszliśmy wczoraj po 21 to tam było ciemno, więc chyba musieli bardzo wcześniej pójść spać. Amerykanin właśnie je amerykańskie śniadanie, czyli naleśniki. A my zbieramy się i wsiadamy w miejską kolejkę, aby dojechać do głównego dworca Sapporo. Tam na początek kupujemy kanapki na śniadanie. A potem idziemy do informacji turystycznej, aby wszystkiego się dowiedzieć.

W owej informacji spędzamy ponad godzinę, aby dostać mapki, dopytać o połączenia, a potem jeszcze na ogólnodostępnym internecie sprawdzamy różne potrzebne informacje.

Idziemy na peron aby pojechać do Yoichi do kolejnej destylarni whisky – Nikka. Wsiadamy do lokalnego pociągu, który już nie przypomina za bardzo pociągów na Honsiu. Obserwujemy dwie dziewczyny, które nie dość że mają buty na wysokim obcasie, to jeszcze ciut za duże, co jest dość charakterystyczne w Japonii. Idą jak pijane. Nogi im się płaczą. Wygląda to komicznie.

Tu na Hokkaido chyba trafiają wszystkie stare pociągi Japonii. Chociaż zielony shinkansen jadący do Hakodate jest nowoczesny. Można tutaj w Sapporo spotkać jeszcze inny pociąg nowoczesny, którego lokomotywa ma bardzo dziwny wygląd, a prowadzący skład siedzi pod samym dachem, jak w samolocie.

Wyjeżdżamy z Sapporo. To wielkie miasto jest piątym co do wielkości w Japonii. Nazwa miasta pochodzi z języka ajnuskiego, od sat poro pet – „wielka sucha rzeka”. W dniu 1 sierpnia 1922 Sapporo uzyskało prawa miejskie. 1 kwietnia 1972 zostało miastem oznaczonym rządowym rozporządzeniem. W tym samym roku było gospodarzem Zimowych Igrzysk Olimpijskich. W Sapporo znajdują się dwie skocznie narciarskie: Okurayama i Miyanomori. Układ dróg w Sapporo to szachownice, więc jak stanie się u wylotu drogi, to widać że ona ciągnie się hen daleko. Po pół godzinie docieramy do Otaru, tu zmieniamy pociąg na jeszcze bardziej stary, który funkcjonuje jak autobus. Ma tylko dwa wagony i podróżni wysiadając muszą wyjść pierwszymi drzwiami, aby jak w autobusie zapłacić za przejazd. Pociąg jedzie sobie powolutku. Okolica zielona niczym Bieszczady. Tak mi przyszło do głowy jakby mieszkańcy Bieszczad w zielonych tunelach drzew mieli kolejkę. Jedziemy z jednej strony pagóry z drzewami, z drugiej pojawia się brzeg morski. Wody morza bardzo spokojne. Od czasu do czasu ktoś się kąpie. Domy mają tu ładniejsze kolory niż na Honsiu i większość spadziste dachy, to chyba przez opady śniegu. Nie mają charakterystycznych japońskich dachówek i wykończeń. Właściwie przypominają bardzo nasze polskie domy.

25 minut mija i jesteśmy w Yoichi. Destylarnia whisky Nikka położona jest dosłownie 3 minuty od dworca kolejowego. Podróżni wysypują się z pociągu i większość z nich zmierza prostu do destylarni, której zwiedzanie jest darmowe. Przypomina zabudowania europejskie, ale nie ma co się dziwić, jak już pisałam przy destylarni Suntory, właściciel uczył się swojego fachu w Europie i chciał aby warunki produkcji były zbliżone do tych europejskich. W każdym z budynków coś się mieści – a to destylarnie opalane węglem, a to składowisko beczek, które są całe w pajęczynach, a to muzeum o whisky i jej założycielu. Jest tu nawet stylizowany z lat dwudziestych salonik właściciela.

Dość szybko przechodzimy przez fabrykę. Aby dotrzeć do budynku z degustacją. Można tu popróbować 3 rodzajów whisky za darmo. Dwa są dla mnie za ciężkie, ale najslabsze jabłkowe jest całkiem niezłe. Poza tym mają tu pyszny sok jabłkowy niczym z antonówek. Turystów dużo, ale głównie japońskich i chińskich. Paweł na kwadrans znika w sklepie, aby zakupić sobie whisky w ramach japońskich pamiątek. Po zakupach jeszcze raz zaglądamy do niektórych budynków destylarni.

Wracając na dworzec wchodzimy do lokalnego sklepu spożywczego, ale najpierw musimy przejść przez znaczący dział owoców morza. Jest naprawdę imponujący. Hitem są kraby z Hokkaido. Można tu kupić je w całości, albo tylko nogą za bagatela 3000 jenów czyli 120zł. Kolejnym hitem są melony. Koszt jednego to 1000 jenów. Nie rozumiem skąd taka cena. W Polsce sprowadzamy z zagranicy a potrafią kosztować 3zł, a tu 40.

Jedziemy do Otaru, aby godzinkę przejść się po miasteczku i wzdłuż urokliwego kanału, gdzie dawne doki rybackie przekształcono w kawiarnie. Miasteczko jak widać to centrum turystyczne Japończyków, ale i całych grup turystów chińskich. W porcie zauważamy informacje po rosyjsku, co oznacza że prawdopodobnie statki stąd płyną również tam. W wielu restauracjach można kupić dania z owoców morza, a głównie z drogich krabów.

Wracamy do Sapporo. Najpierw udajemy się do sklepu Daiso, gdzie znikam na ponad godzinę i oglądam dziwne rzeczy które można tu kupić – od 5cio palczastych skarpet, przez pojemniki na gotujące się jajka, akcesoria do tworzenia sushi, wykrawaczek, ozdób do bento, pędzli do kaligrafii, kosmetyków, przekąsek, po rzeczy, których przeznaczenie jest mi niewiadome.

Po zakupieniu kilku pamiątkowych badziewi, wsiadamy do metra i jedziemy do zakątka ramen – Yokochi, gdzie w wąskiej uliczce znajduje się kilkanaście malutkich barów serwujących zupy ramen. Od dymu aż duszno tu. W jednej z knajpek jest wiele autografów, w tym słynnego światowego kucharza Bourdeina, który tu też jadł. Wybieramy sobie z fotografii zupy i zasiadamy. Ja mam zupę ramen z kukurydzą i masłem plus innymi cudami. Jest wielka, ledwie udaje mi się całą michę zjeść. Po uliczce cały czas kręcą się kolejni chętni na jedzenie zupy.

Sos sojowy – sos fermentowany, wytwarzany z ziaren soi, prażonego ziarna ryżu lub pszenicy, wody i soli. Jest to jedna z najważniejszych przypraw kuchni azjatyckiej, obecnie używany także w kuchniach tradycji zachodniej. Ziarno soi jest mielone i gotowane z prażonym ryżem albo pokruszoną pszenicą i następnie mieszane z grzybami kōji i podobnymi mikroorganizmami. Po dwuletniej fermentacji otrzymuje się ciemną, przezroczystą, aromatyczną ciecz, którą poddaje się filtracji.

W zależności od kraju pochodzenia, szczegółów receptury i dodanych przypraw sos nabiera różnej konsystencji i smaku. W kuchni chińskiej jest gęsty i słony, indonezyjskiej – rzadki i słodki, japońskiej – bardzo rzadki i słony.

Sos sojowy jest jednym z najdawniej znanych sosów przyprawowych. Wraz z rozprzestrzenieniem się buddyzmu z Chin stał się znany w całej Azji Wschodniej. W XVI wieku, po dodaniu ziaren zbóż, otrzymał znaną teraz postać, a w XVII wieku kupcy holenderscy sprowadzili go do Europy. W Japonii był zastępowany przez otrzymywany w drodze fermentacji ryb sos rybny (uoshōyu – produkowany teraz jedynie w Azji Południowo-Wschodniej), gdzie stanowił jedną z podstawowych przypraw.

W Japonii produkuje się sześć odmian shōyu:

- koikuchi shōyu, podstawowy sos sojowy z 50% ziarna soi i 50% ziarna zbóż;
- usukuchi shōyu, jasny, słony sos o krótkim czasie dojrzewania;
- tamari, ciemny sos ze 100% soi, dobrze zharmonizowany z sashimi;
- saishikomi shōyu, dwa razy przetwarzany, esencjonalny, przede wszystkim do sushi i sashimi;
- shiro shōyu, "biały", słodki z dużym udziałem ziarna zbóż;
- kanro shōyu, produkowany w sposób tradycyjny sos z Yanai w prowincji Yamaguchi.

Tradycyjny sposób przygotowywania sosu jest długotrwały, co przyczyniło się do opracowania chemicznych metod przyspieszających produkcję. Spowodowało to jednak pogorszenie smaku i trwałości, dlatego niemal każdy tak produkowany sos sojowy zawiera też domieszkę alkoholu. Udział wyrobów przygotowanych metodą tradycyjną spadł nawet do około 1% rynku. Ich bogatszy smak oraz fakt obecności w niektórych sosach produkowanych metodą chemiczną szkodliwych ubocznych produktów hydrolizy spowodował, że sosy warzone na sposób tradycyjny odzyskują ostatnio popularność. Wielu producentów wyraźnie oznakowuje wyroby przygotowane na drodze fermentacji.

Po zjedzeniu idziemy piechotą przez miasto. Jak wszędzie w Japonii w witrynach knajp są albo zdjęcia potraw, lub wręcz ic plastikowe wizualizacje, które wyglądają jak prawdziwe. Fajne to, bo dzięki temu można wybrać do jedzenia, to co nam odpowiada. W jednej z restauracji, nad wejściem plastikowy dwumetrowy krab, a w witrynie plastikowe dania z kraba i owoców morza w cenach zaczynających się od 200zł.

Mijamy kanał, wieżę telewizyjną, nieczynny o tej porze targ rybny, po czym okazuje się że gdzieś źle skręciliśmy, bo Pawłowi nie zgadza się mapa. Pytany Japończyk pokazuje nam że idziemy w przeciwnym kierunku. Nawet chce nas odprowadzić, ale zapewniamy że sobie poradzimy. Wracamy więc pod wieżę telewizyjną i już teraz wszystko się zgadza. W pobliżu dworca jeszcze oglądamy zabytkowy budynek z zegarem. Jest to drewniana konstrukcja, amerykańskiego projektu i jeden z nielicznych zachowanych obiektów w stylu zachodnim. Wieża zegarowa została zbudowana w 1878r. Budynek był jednym z pierwszych, które mają być budowane w tym mieście. Obecnie jest to najstarszy budynek stojący w Sapporo. Zegar został zainstalowany w lipcu 1881r.

Docieramy na dworzec kolejowy. Szukamy czy działa internet. Robimy krotki wpis. Z zamieszczeniem zdjęć jest problem bo wolno działa, więc wrzucamy kilka sztuk, i tyle byłoby z bloga na dzisiaj. W internecie dzisiaj piszą, że cesarz Japonii ogłosił orędzie, iż ze względu na wiek chciałby abdykować. Hmm ale na razie nie może tego zrobić, gdyż konstytucja kraju tego nie przewiduje.

Cesarz Akihito urodził się 23 grudnia 1933 jako piąte dziecko (pierwszy syn) cesarza Hirohito (Shōwa) i cesarzowej Nagako (Kōjun). W 1936, w wieku trzech lat, został odseparowany od swych rodziców. Cesarz ma cztery starsze siostry, jednego młodszego brata oraz jedną młodszą siostrę. Wykształcenie podstawowe i średnie zdobył w Gakushūin, ówczesnej szkole Ministerstwa Dworu Cesarskiego (w późniejszych latach stała się instytucją prywatną). W 1944 Akihito wraz ze

swym młodszym bratem został ewakuowany do Nikkō po niespodziewanym ataku amerykańskich bombowców na Tokio. W latach 1947–1950 książę Akihito uczył się języka angielskiego, a jego nauczycielką była Elizabeth Gray Vining. W 1952 odbyła się ceremonia z okazji osiągnięcia przez niego pełnoletności oraz ogłoszenia go następcą tronu.

W latach 1952–1956 studiował nauki polityczne i ekonomiczne na Uniwersytecie Gakushūin. W uzupełnieniu swoich studiów cesarz Akihito otrzymał wykształcenie specjalistyczne w takich dziedzinach, jak historia Japonii i prawo konstytucyjne.

W dniu 10 kwietnia 1959, pomimo negatywnej opinii swojego ojca i rodziny panny młodej, Akihito wziął ślub z Michiko Shōda, córką japońskiego przemysłowca z branży młynarskiej. Zgodnie z prawem dworu cesarskiego, Rada Dworu Cesarskiego, której przewodniczy premier, udzieliła zgody na zawarcie tego małżeństwa.

Cesarz jest z zamiłowania ichtiologiem. Przez wiele lat prowadził badania taksonomiczne nad rybami babbkowatymi i do dziś jest uznanym ekspertem. Jest współautorem pierwszej, ilustrowanej książki o rybach występujących w wodach Japonii pt.: Ryby Archipelagu Japońskiego wydanej w 1984.

7 stycznia 1989 zmarł cesarz Hirohito i Akihito został 125. cesarzem Japonii, kontynuatorem nieprzerwanej od setek lat dynastii. Ceremonia intronizacji Akihito odbyła się w Tokio 12 listopada 1990. Nowy cesarz ogłosił okres swojego panowania erą Heisei, co znaczy „pokój wszędzie”. Inspiracją były klasyczne dzieła chińskie „Zapiski historyka” i „Księga dokumentów”.

Mimo że cesarz nie posiada realnej władzy, to dla Japończyków Cesarz jest symbolem Japonii, uważany za boga na ziemi. Jego boskość można wiązać z mitologią w której pierwszy cesarz Japonii Kamuyamato (pośmiertnie Jimmu) jest praprawnikiem bogini Amaterasu. W 1868 roku przyjęto zasadę że cesarz pośmiertnie otrzymuje imię takie samo jak nazwa ery jego panowania (Obecny 125 cesarz Akihito nosi pośmiertne imię Heisei czyli budowanie pokój). Oczywiście wielkim nietaktem byłoby się zwracać do żyjącego cesarza jego pośmiertnym imieniem, więc używa się jego książęcego imienia. W rodzinie cesarskiej nie ma czegoś takiego jak nazwisko, bo przecież rodzina cesarska jest potomkami bogów (a bogowie nie posiadają nazwisk). W przeciwieństwie też do innych monarchii świata od 660 p.n.e do chwili obecnej panuje nieprzerwanie ta sama dynastia Yamato. Przyjęto że książęce imiona zakończone są na ideogram hito (Hirohito, Akihito, Naruhito), zwyczaj ten obowiązuje od okresu Heian (794-1192). Najdłużej panującym cesarzem był jednak ojciec obecnego cesarza Akihito Hirohito (Showa) który panował 62 lata (1926-1989). Obecny następcą tronu jest książę Naruhito.

Cesarz Akihito i cesarzowa Michiko mają troje dzieci. Para cesarska odrzuciła wieloletnią tradycję oddawania dzieci pod opiekę szambelanów i postanowiła sama je wychowywać. Pierwszym dzieckiem jest następca tronu książę Naruhito (Kōtaishi Naruhito Shinnō), urodzony 23 lutego 1960 w Tokio. Drugim jest książę Akishino (Akishino-no-miya Fumihito Shinnō), urodzony 11 listopada 1965 w Tokio. Najmłodszym dzieckiem jest urodzona 18 kwietnia 1969 księżniczka Sayako (Nori-no-miya Sayako Naishinnō), po ślubie 15 listopada 2005 Sayako Kuroda. Sayako poprzez ślub z urzędnikiem miejskim – osobą nie związaną z dworem cesarskim – opuściła rodzinę cesarską i utraciła tytuł, a jej dzieci nie będą miały prawa do tronu.

Następca tronu książę Naruhito, ożeniony z księżną Masako, ma z nią urodzoną w 2001 córkę – księżniczkę Aiko. Od czasu restauracji Meiji prawo w Japonii zabrania objęcia tronu przez kobiety. Narodziny męskiego potomka, bratanka następcy tronu (Hisahito, ur. 6 września 2006),

zamknęły debatę w Japonii, dotyczącą zmiany (wzmiankowanej w art. 2 konstytucji) ustawy o Dworze Cesarskim z 1947 pod kątem stworzenia możliwości dziedziczenia tronu przez kobiety.

Wsiadamy do miejskiej kolejki i jedziemy na nocleg. Mija już 21 zanim docieramy. W mieszkaniu cisza. Pan z dzieckiem siedzi w swoim pokoju. Naszego gospodarza nie ma.

No to czas spać i oby dzisiaj nie było tak gorąco w pokoju...

## **9 sierpnia (wtorek)**

Budzę się o 5 rano. W pokoju panuje rześka temperatura. Super. Wyśpię się dzisiaj. A skoro dopiero jest 5 to można spać dalej. Za oknem mamy ruchliwą drogę i przy otwartym oknie niestety jest za głośno. Na szczęście posiadam z linii Emirates zatyczki do uszu. To ci wygoda... teraz ruch za oknem mi nie straszny.

Kiedy wstajemy kwadrans po siódmej w mieszkaniu panuje absolutna cisza. Ani w pokoju gospodarza (czy on w ogóle wrócił?) ani w pokoju kolejnych gości nic się nie dzieje.

Zbieramy się do wyjścia, wchodząc jeszcze do pobliskiego sklepiku aby kupić do pociągu śniadanie. Nieśmiertelne kanapki z chleba tostowego.

Wsiadamy do kolejki, która kolejny dzień wiezie nas na dworzec główny Sapporo, gdzie przesiadamy się na pociąg do Toya. Dobrze że od razu idziemy na peron, bo dzisiaj nie mamy miejscówek, a okazuje się że pociąg już stoi na peronie. Ufff na szczęście miejsca jeszcze są. Przed nami dwie godziny jazdy. Piszę sobie w tym czasie ostatnie dwa dni, co łatwe nie jest bo pociągami strasznie momentami rzuca na prawo i lewo. Przejeżdżamy kolejne stacje o dziwacznych nazwach Tomakomai, Noboribetsu, Muroran. Stacje nie przypominają stacji z Honsiu. Są zazwyczaj stare i obdrapane.

Docieramy do stacji Toya, gdzie dosłownie po 5 minutach mamy autobus jadący do głównej wypoczynkowej części Toya – Toya Onsen. Jedziemy tam prawie dwadzieścia minut. Docieramy pod samą informację turystyczną, gdzie tradycyjnie zaopatruję się w materiały. Można tutaj kupić osobliwą pamiątkę, a mianowicie jajka ugotowane w wodzie z gorącego źródła, można sobie do tego dodać smak curry, cytryny lub wasabi.

Pierwsze polecane miejsce to centrum wulkaniczne, gdzie można dowiedzieć się wszystkiego o lokalnych wulkanach zwłaszcza wybuchach z lat 1977 i 2000. W centrum można zapoznać się z licznymi zdjęciami regionu przed i po wybuchu, opracowaniami sejsmicznymi. Można też zobaczyć zniszczony samochód czy wygięte tory. Ciekawym doświadczeniem jest kilkunastominutowy seans, pokazujący erupcje wulkanu Usu. Od początku XX w. wulkan Usu wybuchał czterokrotnie w latach: 1910, 1944-1945 (w trakcie tej erupcji powstała kopia wulkaniczna, którą nazwano Shōwa-shinzan), 1977 oraz 31 marca 2000. Jest to dość specyficzny wulkan, który kilka dni przed erupcją ostrzega o wybuchu, bo zaczyna trząść się ziemia. W trakcie filmu widz może trzęsienia odczuć, bo przenoszą się wibracje z podłogi. Osobliwe odczucie. Na szczęście w 2000 roku po serii trzęsień ziemi cały kurort został ewakuowany gdyż oprócz głównego wybuchu, pojawił się jeszcze kolejny tworząc tuż nad kompleksem turystycznym całkiem nowy krater Yu-kun. Siła eksplozji była tak duża, że zniszczyła część kurortu. Materiał piroklastyczny w postaci bomb wulkanicznych i ogromnych ilości pyłu zmiotł wiele obiektów w okolicy.

Schodzimy nad jezioro Toya, które jest częścią wielkiego starego krateru. Jezioro jest prawie okrągłe, jego średnica wynosi 10 km ze wschodu na zachód i 9 km z północy na południe.



Największe miasto nad jeziorem, Tōya-onsen, jest położone na jego zachodnim brzegu. Na południowym brzegu kaldery położony jest stratowulkan Usu.

Jezioro Tōya jest uznawane za najdalej wysunięte na północ, niezamarzające jezioro w Japonii i drugie najbardziej przejrzyste. Na wyspie Nakajima, położonej na środku jeziora, znajduje się muzeum Tōya Lake Forest Museum. Te pagóry, to nic innego jak kilka wulkanów. Siadamy na chwilę w jednej z tzw. „footbath”, czyli ciepłą wodą w niewielkim kanale, gdzie, ludzie sobie siadają i moczą nogi. Jest to czynne nawet zimą. Takie mini gorące źródła. Nie kopie się w całości, tylko same nogi.

Kręcimy się po promenadzie i w sklepiku kupujemy makaron, który nam podgrzewają na miejscu i po chwili możemy go zjeść. Co ciekawe kupując różne bento w sklepie, część jest na zimno, część grzeją w mikrofalówkach. Do tego obowiązkowo dostaje się chusteczki i pałeczki. Gdy potrzebna do czegoś będzie łyżeczka, to też się ją dostanie. A pani sprzedawczyni milion razy podziękuje i się ukloni. Jak po powrocie do domu będę się kłaniać w pas wszystkim, to będzie wyglądało super komicznie, tu nawet w wiadomościach telewizyjnych prezenterzy siedząc przy stole wykonują ukłon prawie do blatu!

Przyjeżdża autobus którym jedziemy kilka minut w górę, aby dotrzeć do Mount Showa Shinzan. Czyli po prostu do kolejnego wulkanu, który tworzy kopułę lawową wysokości prawie 400m. Tutaj jest całe centrum turystyczne, gdzie nawet znajduje się park z setką niedźwiedzi. Autokarów z wycieczkami stoi tu kilkanaście. Głównie to wycieczki chińskie. Na straganach można kupić kawałki słynnych melonów, kawałki za 300 jenów (12zł), oraz grillowaną kukurydzą za 500! Oszaleli tu chyba. Rok temu w Ladakhu taka kolba kukurydzy kosztowała grosze...

Postanawiamy skusić się i wjechać kolejką linową na karater wulkanu Usu, bo podobno piękny tam widok na cały krater, w którym znajdują się mniejsze kratery. Kolejka szybko zawozi nas na samą górę. Z tarasu widokowego roztacza się panorama okolicy z wulkanem Showa. Tam okazuje się że jest jeszcze ścieżka wokół wielkiego krateru do punktów widokowych. W obie strony około godziny i 40minut. Decydujemy się pójść zobaczyć. Tym bardziej że turystów tu jak na lekarstwo. Wszyscy albo zostają na głównym punkcie widokowym, albo nawet nie wjeżdżają kolejką do góry. Część ścieżki jest do bani w górę i w dół mnóstwo schodów. Potem już ścieżka prowadzi krawędzią wulkanu. Rany ale tu wieje wiatr. Idziemy. Widoki faktycznie są niezwykłe, z jednej strony wielki krater z małymi kraterami w środku. Coś tam się dymi. Zresztą gdzie człowiek się nie obejrzy to wystaje kolejny wulkan, a w oddali widać morze, część Oceanu Spokojnego. Udaje nam się wrócić w przepisowym czasie, choć powrót do góry po 570 schodach przyprawia mnie o super zadyszkę, ale warto to było przejść. Jakaś para Japończyków wniosła tu psa w torbie. Jest tak leniwy, że jak go wyciągają z torby, to nie chce chodzić i wskakuje z powrotem.

Zjeżdżamy na dół i jeszcze wchodzimy do darmowego muzeum wulkanicznego, gdzie znowu na filmie można obejrzeć ostatnią erupcję wulkanu, poczuć drgania z podłogi, zapoznać się ze zdjęciami terenu przed i po wybuchu. Z samym zdjęć widać, jak bardzo zmieniła się topografia okolicy. Wulkan ma tu naprawdę wielką moc.

W sklepiku z pamiątkami, można dokonać degustacji wafelków z czekoladą, zieloną herbatą, czy kukurydziane. Są też mniej lub bardziej ostre chipsy. Jednak hitem jest herbata z japońskiego pieprzu, czy grzybowa, to raczej smakuje na zupkę a nie herbatę. Czegoś podobnego jeszcze nie próbowałam.

Po 16 mamy autobus do Toya-Onsen, gdzie jeszcze postanawiamy się zatrzymać, bo okazuje się że jest tam jeszcze ciekawa ścieżka piesza - Konpira. Wiedzie m.in. przez osiedle kilku budynków, które pozostawiono w stanie nienaruszonym po erupcji wulkanu. Widok jest

poruszający. Blok mieszkalny od strony wulkanu przeszedł bombardowanie bombami wulkanicznymi. Okna są powybijane, barierki balkonów powyginane lub wyrwane. W mieszkaniach na parterze powyżej okien widać pył wulkaniczny. Spora część pomieszczeń od strony wulkanu wypełnia właśnie pył. Na jednym z najwyższych pięter na balkonie rośnie drzewo. Nie ma co się dziwić, skoro minęło 16 lat, a drzewo wyrosło na wulkanicznym żyznym pyłe. Nawet dach zaczęły porastać rośliny. W drugim budynku widać przysypane różne przedmioty. Co ciekawe na filarach zachowały się okrągłe lampy. W środku wszystko przykrył pył. Obok budynków leży wyrwany most. Ot tak sobie. Powyżej kompleksu z kolei można zobaczyć fragmenty asfaltowej drogi, która kiedyś tu przebiegała ale zesłała lawina pyłu i głazów i po prostu przykryła drogę całym zboczem. Niestety nie starcza nam czasu aby wejść jeszcze wyżej i zobaczyć krater Yu-kun. Ale to co oglądamy robi gigantyczne wrażenie. Całe zbocze pokryte jest tamami, aby zabezpieczyć kompleks przed schodzącymi osuwiskami, czy kolejnym wybuchem. Do tej pory widać sterczące kikuty drzew, które kilkanaście lat temu skończyły swój żywot w erupcji wulkanu.

Wracamy szybko na dworzec autobusowy w Toya-Onsen, bo mamy niewiele czasu do pociągu. A musimy jeszcze przejechać kwadrans autobusem. Przed dworcem kolejowym w Toya, w dwóch sklepach chcemy kupić bento na drogę. Ale nigdzie nic nie ma. Więc łapiemy jakieś pudełka słodkiego flana i colę z pomarańczami (jakiś nowy wynalazek) i pędzimy na peron. Po kilku minutach pojawia się nasz pociąg. No to teraz jeszcze dwie godziny i będziemy w Sapporo.

I ponownie wsiadamy w Sapporo w miejską kolejkę o 20:45 i na stacji Shinkawa znowu jesteście tuż przed 21. Trzeci dzień z rzędu, ale wcale nie jest to zamierzone.

Jeszcze tylko wizyta w sklepie, gdzie kupujemy bento z ryżem, które sprzedawca nam podgrzewa na miejscu, a przy okazji milion razy się kłaniając i dziękując. Poza tym zawsze dwoma rękoma wydają resztę pieniędzy i kwitek. Natomiast monety jak się daje sprzedawcy to najlepiej na koszyczek lub tackę.

Naszego gospodarza nie ma. Tam, gdzie był inny gość z córką, też już pusto. Tuż przed 22 do mieszkania wchodzi para Japończyków z walizami. Myślą że Paweł jest właścicielem mieszkania. Pokazuje im wolny pokój, który zajmowany był przedtem przez innych gości i mają się skontaktować z gospodarzem. Hehe nieźle.

## **10 sierpnia (środa)**

Kolejna noc bez upału, aż rano miło się wstaje, mimo że jest chwilę po siódmej. Wychodzimy na kolejkę aby kolejny dzień dojechać trzy stacje na dworzec główny. Na peronie już Japończycy czekają na przyjazd pociągu, poustawiani w regularne kolejki. Tu gdy pociąg podejżdza nikt się nie przepycha. Bokiem wsiadamy, środkiem drzwi wysiadamy. Dzięki czemu ruch jest płynny. Poza tym w samym pociągu ludzie zajmują równe rzędkie, tak aby każdy się zmieścił. Panuje zadziwiająca cisza podczas jazdy. Na nas robiących zdjęcia, nikt nie zwraca uwagi. Tak jakby nas tam wcale nie było. Zauważyłam, że kiedy cały pociąg wysypuje się w Sapporo, to ten tłum schodzi do podziemi i na schodach tworzą się równe trzy rzędy ludzi. Trochę to przerażające, bo wyglądają niczym roboty. Ale nic się nie zatyka, a cały tłum bez przeszkód schodzi niżej.

Jadąc kolejką byliśmy akurat w wagonie maszynisty. To jest dopiero ciekawa obserwacja. Maszynista cały czas na głos wypowiada widziane znaki, pokazuje dłonią w białej rękawiczce kierunek jazdy, przed sobą ma zegarek kieszonkowy w postaci busoli i co chwilę na niego wskazuje, że czas jazdy się zgadza. Obok ma rozpis odjazdów z poszczególnych stacji, i tu co chwilę wskazuje, że wszystko się zgadza. Zadziwiająca to praca. Najbardziej ciekawi mnie to

wypowiadanie znaków i świateł na głos. Czyżby to kwestia bezpieczeństwa, a całość jest nagrywana na wszelki wypadek?

Kupujemy kanapki na śniadanie i ruszamy na peron, gdzie ma podjechać nasz pociąg do Furano. Jak się okazuje wtacza się skład widokowy. Z wielkimi oknami i to nawet w suficie.

Z nami do pociągu wpakowuje się mnóstwo turystów. Słychać głównie język chiński. Czemu mnie to już przestaje dziwić? Jedziemy do centrum Hokkaido. To będzie nasze najdalsze miejsce na wschód, ze wszystkich azjatyckich wojaży, gdyż dotrzemy aż do południka 142° 24'E

Trasa wiedzie przez równiny międzygórskie. Owe nizinne tereny wykorzystywane są przez rolników, więc na polach dominuje ryż, a nawet równo jak od liniiki posadzona cebula. Domy mają ogródki z kwiatami. Ale bardziej nazwałabym je dość dzikimi ogródkami z bardzo dużą ilością różnorodnych kwiatów. Podoba mi się. Domy mają spadziste dachy ze względu na śnieg występujący zimą. I co ciekawe domy obite są plastikowymi panelami. No i odległości między domami, są jak na prawdziwej wsi.

Po dwóch godzinach docieramy do Furano, gdzie musimy poczekać 40 minut na nasz kolejny niewielki pociąg do farmy Tomita. Chińczycy na stacji rzucają się do pałaszowania zup. Przy okazji robiąc spory gwar. Ktoś tam Pawłowi przejechał po nogach walizką. Ot wycieczki chińskie.

Pociąg do farmy jest zabytkowy i składa się z różnych wagonów. Każdy jest inny, ale są drewniane stoliki i krzeselka. Pociąg trochę jak z westernu. Kolej japońska stwierdziła że miejsce jest godne uwagi i specjalnie wybudowała tutaj linię kolejową. Przejazd trwa około 20 minut. Właściwie stacyjka jest niewielka, bo to podwyższenie z desek tworzy cały peron, ale jest nawet jeden pracownik kolei stojący na tym drewnianym peronie i pilnujący, aby nikt nie wpadł pod nadjeżdżający pociąg.

Idziemy na farmę, ale tu wycieczek autokarowych. Mam wrażenie że słyszę tu tylko język chiński. Zimą Furano słynie z najlepszych w Japonii warunków narciarskich, a latem z... lawendy. Sama farma zatem położona jest w pięknym otoczeniu gór. Czynna jest w zasadzie tylko dwa miesiące w roku, od końca czerwca do końca sierpnia. Jest to dość okazałych rozmiarów farma związana właśnie z uprawą lawendy od 1903r., gdy Tokuma Tomita zaczął uprawiać tu pierwsze rośliny. Natomiast lawenda uprawiana jest tu od lat pięćdziesiątych XX wieku. Lawenda jest tu przerabiana na olejki, perfumy, mydła, suche ozdoby, a nawet przepyszne lody, które miałam okazję spróbować. Niestety, teraz w sierpniu już niewiele kwitnącej lawendy na polach, ale za to na farmie można zobaczyć kolorowe dywany ułożone z kwiatów. Jak się można spodziewać, ponieważ Japończycy przykładają dużą wagę do estetyki, to też dywany kwiatowe robią naprawdę kolosalne wrażenie.

Chodzimy więc po polach robiąc zdjęcia, chociaż kwiaty, które są tu posadzone, to kwiaty znane w Polsce – oprócz lawendy - szałwia, begonia, róża japońska, a także inne gatunki, ale całość dywanów układa się w cudowny pejzaż zwłaszcza z otaczającymi je górami.

Czas szybko leci, a my zjadamy na miejscu obiad: ryż (a nie w kółko makaron) z sosem curry i ziemniaczanym krokietem, a Paweł z kielbaską. A potem przychodzi wypróbować nam lody lawendowe, które okazują się być przepyszne. Mają bardzo delikatny lawendowy smak, a nie taki jak lawendowa herbata, której smaku nie znoszę. Miłe zaskoczenie.

Czas powoli się zbierać na pociąg, który zatrzymuje się w polu, między foliami, w których jak widnieje napis uprawiany jest skarb Hokkaido – melon. Ha! To już wiem czemu taki jest drogi, bo to SKARB! To teraz ciekawi mnie dlaczego na farmie w pudełku można było kupić zestaw 5kg

warzyw za 2000 jenów (80zł) składający się z ziemniaków, cebuli i jednej dynki... bez komentarza. Chyba że to super eko. Aha za wtargnięcie do takiego foliowca grozi grzywna 9999 jenów. Nie wiem czemu nie od razu 10 000, no ale to Japonia, tu wszystko jest inaczej.

Wracamy do centrum Furano, pół godzinki czekania i pakujemy się z powrotem do widokowego pociągu, a że siedzimy w pierwszym wagonie możemy obserwować kolejnego maszynistę, który postępuje dokładnie tak samo jak ten z miejskiej kolekcji. Japoński motorniczy nie ma chwili czasu na odsapnięcie, bo cały czas musi być skupiony na pilnowaniu czasu i bezpieczeństwa. I te białe rękawiczki... Przed 19 wracamy do Sapporo.

Jeszcze czas na skorzystanie z internetu na dworcu. Wrzucamy wpis z dzisiejszej farmy wraz z fotkami i możemy wraca do Shinkawy. Jutro ostatni dzień w Sapporo.

### **11 sierpnia (czwartek)**

Dzisiaj nie musimy się spieszyć ze wstawianiem, bo zaplanowaliśmy dzień bez wyjazdu z Sapporo. Będziemy zwiedzać miasto.

Oczywiście kolejny raz jedziemy miejska kolejką na dworzec Sapporo, gdzie na dworcu autobusowym kupujemy pakiet turystyczny czyli autobus w obie strony na skocznię Okura, a także wjazd na nią oraz bilet do muzeum olimpijskiego. Cały pakiet jest tańszy, niż gdybyśmy tam jechali sami i kupowali wszystko osobno.

Autobus przyjeżdżał o 10:30 i mamy około 40 minut jazdy, a że to autobus turystyczny, to jedzie trasą przez najciekawsze miejsca centrum Sapporo (sąd, gmach rządowy), aby w końcu wyjechać dalej. Docieramy pod skocznnię Okura. Ōkurayama - skocznia narciarska w japońskim Sapporo, na Hokkaido, o punkcie K umiejscowionym na 120 metrze. Na skoczni odbywają się konkursy Pucharu Świata, Pucharu Kontynentalnego, Letniego Grand Prix oraz Pucharu FIS. Skocznia posiada sztuczne oświetlenie, igelit i gondolę. Najdłuższy skok - na odległość 146,5 metra - oddał na niej Słoweniec Anže Lanišek (18 stycznia 2015, Puchar Kontynentalny). Jednakże za oficjalny rekord uznaje się skok na odległość 143,5 metra oddany przez Norwega Andersa Fannemela podczas konkursu w ramach Pucharu Świata, który odbył się 31 stycznia 2016 roku.

W 1972 roku w Sapporo odbyły się XI Zimowe Igrzyska Olimpijskie. Złotym medalistą został wówczas Wojciech Fortuna, który wyprzedził o 0,1 pkt Szwajcara Waltera Steinera oraz o 0,6 pkt reprezentanta Niemieckiej Republiki Demokratycznej Rainera Schmidta.

Taka skocznia, a położona w mieście na pagórku, a właściwie między, co stanowi świetną ochronę przed wiatrem. Na początek postanawiamy wjechać na górę skoczni kolejką. Trochę się nią jedzie. Za naszymi plecami rozciąga się niesamowity widok na całe Sapporo. Ale skoczkowie mają widoki podczas startu z belki. Jadąc kolejką mijamy stanowisko – balkonik, na którym zazwyczaj siedzą trenerzy i machają chorągiewką swoim zawodnikom, potem przejeżdżamy obok budynku, w którym podczas zawodów siedzą sędziowie.

Kiedy docieramy na górę, okazuje się że na szczycie skoczni gromadzą się młodzi skoczkowie i skoczkinie. Woow. Będą skakać! A jeszcze przed chwilą zastanawialiśmy się co tyle namiotów pod skocznią i polewają igielit na samej skoczni. Zawsze chciałam pojechać na skoki, ale nigdy nie byłam jeszcze. A tu proszę nie dość że pierwszy raz na skoczni, to jeszcze zobaczę skoki. Widok zza belki skoczni jest przerażający. Choćby mi dawali milion, to bym nie skoczyła. Stąd nie widać zeskoku, a tylko samą skocznnię po której jedzie rozpędzając się zawodnik, a potem widać już dół skoczni, jak wylądował. Skoczkowie skaczą jeden po drugim. Sporo dziewczyn. Niektórzy to

dzieciaki mające może z 10-11 lat, inni starsi. A skaczą na takiej dużej skoczni. Wchodzimy na różne poziomy galerii widokowej która jest zaraz za skocznią, aby popatrzeć na panoramę miasta oraz zrobić fajne zdjęcia skaczącym. W sumie śmiesznie to wygląda, bo zimy nie ma, jest dość ciepło, a oni poubierani w kombinezony, buty narciarskie. Po pewnym czasie zjeżdżamy na dół, aby popatrzeć na skaczących z innej perspektywy. Teraz doskonale widać zeskok, ale sama skocznia jest hen hen wysoko. Jak to inaczej człowiek ogląda w telewizji, dzięki zbliżeniom kamer. Co jakiś czas publika reaguje wrzawą gdy któryś ze skoczków, zwłaszcza dziewcząt skoczy zdecydowanie daleko. Ale nam się udało dzisiaj z tym przyjazdem na skocznie.

Spod skoczni idziemy jeszcze do muzeum, w którym można poznać historię olimpiady w Sapporo w 1972 roku. To wtedy nasz Fortuna zdobył medal dla Polski w skokach. W muzeum znajduje się kolekcja starych drewnianych nart, strojów sportowych, olimpijskich medali, jest także znicz olimpijski. Jedno z pięter muzeum ma kilka symulatorów. Można pojechać bobslejem, lub wykonać skok ze skoczni Okura. Paweł skacze i wychodzi aż 134m. Jest też stanowisko curlingu, gdzie można odbyć rundkę, co też czynimy, a wygrywa ją Paweł.

Po tak owocnych atrakcjach na skoczni wracamy autobusem pod dworzec kolejowy. Ciekawe jest to, że mimo, iż Sapporo liczy prawie 2mln mieszkańców, to wielkiego ruchu na drogach nie ma. Nie wiem czy to zasługa szachownicowego układu szerokich dróg miasta, czy może ludzie korzystają z kolei i metra. Aż miło jeździć po takim mieście.

Wsiadamy do autobusu aby dojechać pod muzeum piwa, gdzie po zwiedzeniu udajemy się do sali degustacji, gdzie można za opłatą spróbować 3 rodzajów piwa, produkowanego przez browar Sapporo. Budynek z czerwonej cegły powstał w 1890 r. jako fabryka kompanii cukrowej. Jako muzeum został otwarty w 1987 r. Historia piwa z Sapporo wiąże się z okresem Meiji, kiedy to Hokkaido odwiedził Wiliam Smith Clark, prezes ówczesnie świetnie prosperującej kampanii piwnej z Massachusetts. Całość produkcji kampanii oparta była na buraku cukrowym. Clark postanowił w czasie swojego pobytu na Hokkaido spróbować założyć właśnie tutaj taką hodowlę i pomysł zdecydowanie wypalił! Aha i tutaj można zrobić sobie pamiątkową pieczętkę. Tak samo jak w Korei, również w Japonii jest tradycja zbierania pieczętek. Można je znaleźć w każdym znanym miejscu. Najczęściej odbijają je sobie dzieci do zeszytów, ale dorosłych też widziałam.

Stąd piechotą idziemy do metra, aby dostać się do dzielnicy Susukino, będącej jedną z bogatszych i handlowych ulic miasta. Ponownie trafiamy na ramenową uliczkę i szukamy zupy, która dzisiaj zjemy. Wybieramy niewielką restaurację, jak się później okazuje jesteśmy jej ostatnimi klientami w dniu dzisiejszym. W otwartej kuchni para bucha z kociołków. Nasze kawałki boczku grillują się w ogniu. Zupa na bogato, z wieloma składnikami. Jest i jajko, kawałki wieprzowiny, mięso mielone, plaster boczku, szczypiorek, jakieś grzybki, kapusta, czosnek. Wszystko w rosółku miso. To tradycyjna gęsta pasta japońska, produkowana ze sfermentowanej soi, najczęściej z dodatkiem ryżu lub jęczmienia, soli oraz drożdży. Najczęściej gęsta pasta używana jest do sosów, kiszonych (piklowanych) warzyw lub mięs, a także miksowana z dashi (bulion z wiórków katsuobushi), tworząc miso-shiru popularną w Japonii zupę.

Dzięki wysokiej zawartości białka oraz bogactwu witamin i substancji mineralnych, miso odgrywała najważniejszą rolę żywieniową w feudalnej Japonii. Miso nadal jest bardzo rozpowszechniona zarówno w tradycyjnej kuchni japońskiej, jak i w nowoczesnym żywieniu. Miso jest przeważnie słone, lecz smak i aromat zależą od wielu czynników i składników użytych w czasie procesu fermentacji. Istnieje szeroka gama odmian miso – słone, słodkawe, ziemiste, owocowe i pikantne.

Po obiadku idziemy zobaczyć jeszcze jak wygląda inna uliczka z zupami – zwana Nowym Zaułkiem Ramenu. Ale tu knajpek jest mniej, widać że są nowsze, a i klientów jak na lekarstwo. Gdy przychodzimy co chwilę jesteśmy zapraszani.

Idziemy jeszcze zadaszoną galerią sklepów, gdzie wchodzimy do kolejnego już w Japonii centrum Pachinko. Japońska gra automatowa, przypominająca połączenie bilardu i pinballa, ale nie ma "łapek" (ang. flippers). Tablica gry jest ustawiona pionowo i metalowe kulki opadają do różnych kieszeni. W nagrodę wygrywa się kolejne kulki, które można wymienić na nagrody rzeczowe lub – pośrednio, ponieważ hazard w Japonii jest nielegalny – na pieniądze. Niestety zdjęć nie można robić, ale to centrum jest porażające. Huk automatów jest tak wielki, że dziwię się iż grający nie mają uszczerbku na słuchu. Siedzą nastolatki, a obok babcie. Nie wiem na czym ta gra polega, ale uczestnicy trzymają przycisk i sypią im się kulki do pudełka. Niektórzy mają tych pudeł po kilkanaście sztuk, a w pudełkach tysiące kulek. Te kulki też robią potworny hałas. Jak chcę coś powiedzieć Pawłowi, to muszę krzyknąć, a i tak dobrze mnie nie słyszy. Co za dziwaczne miejsce. Japończycy mają na punkcie Pachinko bzika.

Ostatnia rzecz dzisiaj to wizyta w parku Odori, który jest podobno jednym z najpiękniejszych parków w Japonii. No cóż na mnie takiego wrażenia nie robi. To bardzo wąski pas zieleni ciągnący się kilkanaście przecznic miasta. W tej chwili trwa letni festiwal piwa. Tysiące ludzi siedzi w ogródkach piwnych konkretnych browarów. Co najważniejsze są najbardziej przywiązani do swojego piwa Sapporo. Tu są tłumy. Miejsca nie da się praktycznie znaleźć. Jednak ceny to przesada. Można sobie kupić 4 litrową beczkę piwa na stół za bagatela 200 zł. Dziwne, tym bardziej, że bardziej opłaca się kupić pół litrowy kufel który kosztuje 20zł. Ale widać że to nie odstrasza klienteli, bo na wielu stolach beczki stoją. Zagadką jest dla mnie że nie mają do piwa orzeszków, chipsów, tylko każdy kupuje talerzyk gotowanej fasoli!

Jeden fragment parku stanowi ogród piw niemieckich. Tutaj klientów najmniej. Nie ma co się dziwić, skoro kufel niemieckiego piwa to prawie 50zł. Śmiesznie wyglądają sprzedawcy, bo poubierani są w stroje przypominające Bawarczyków. A główny napis głosi, że to Sapporo Oktoberfest. Hehehe... na stoiskach można kupić ziemniaczaną sałatkę, kiszony ogórek, czy grillowaną kiełbasę z musztardą. Wszystko po niemiecku, tylko żadnego Niemca dookoła.

Przyglądam się butom Japonek. Nie rozumiem dlaczego tak często kupują za duże buty. Kłapią im te buty, jak nie wiem co. Na piętach widać plastry, bo przecież taki za duży but obdziera piętę ile wlezie. Poza tym jaki to komfort chodzenia w za dużych butach, zwłaszcza na obcasie. Nie mówiąc już o bezpieczeństwie chodzenia. Utrata zdrowia murowana.

Jest nawet plac zabaw, gdzie dzieci zjeżdżają ze zjeżdżalni, która na pierwszy rzut oka bardziej przypomina pomnik, niż zjeżdżalnię. Dzieci się tam tłoczą, nawet dwulatki z niej zjeżdżają. Obok jest wielka biała betonowa ala zaspas śnieżna, z której dzieci zjeżdżają jak z górki. Najpopularniejszy styl na brzuchu i głową w dół i buch w czarny wulkaniczny piasek. Obok dzieci napełniają baloniki wodą, z których robią bomby. Mimo że bomby wybuchają przy innej matce z dzieckiem, ta wcale nie opiernicza rzucających.

Też wybieramy sobie miejsce aby wypić japońskie piwo, w ogródku piwa Asahi. Siedzimy sobie chwilę w zgiełku, który panuje dookoła. Po czym czas się zbierać. Jeszcze przystanek na dworcu, aby wrzucić wpisy i zdjęcia i możemy wracać do miejsca noclegu.

Kiedy docieramy do mieszkania w drzwiach wręcz zderzamy się z inną parą, która jak poprzednia, Pawła bierze za właściciela. My wchodzimy, oni właśnie wychodzą. Czas wieczorny spędzamy na pakowaniu rzeczy i dość szybko idziemy spać, bo jutro pobudka o 5:45.

## 12 sierpnia (piątek)

Budzimy się przed budzikami. Czas się zbierać do wyjścia. Dzisiaj czeka nas przejazd do ostatniego miejsca w Japonii, czyli do Tokio, 1200 km raptem w 8 godzin. Dzisiaj też ostatni dzień obowiązywania naszego JR Passu.

Wychodząc z mieszkania, zostawiamy klucze w skrzynce na listy, idziemy do sklepu, aby kupić jedzenie na drogę i jedziemy po raz enty na dworzec główny w Sapporo. Gdzie wsiadamy do nowego pociągu, o którym już pisałam wcześniej że wygląda jak tasiemiec, a maszynista siedzi w kabinie jak w samolocie. Przed nami 3,5 godziny jazdy do Hakodate – Hokuto. Droga mija szyb, bo dużą część z niej po prostu przesypiamy. Na wielu stacjach stoją Japończycy, którzy robią zdjęcia pociągowi. Nawet po kilku fotografujących stoi na stacjach, na których pociąg się nie zatrzymuje. Osobliwe to, bo ten rodzaj pociągu jeździ od wiosny po Hokkaido.

W Hokuto po wysiadce z pociągu już sztab pracowników dworca kieruje ludzi na przesiadkę do nowoczesnego zielonego super pociągu, którego odjazd jest za 25 minut. Jest jeszcze czas, aby podróżni wskoczyli do sklepiku i zrobili małe zakupy, włącznie z gadżetami związanymi z nowymi pociągami – można kupić model lokomotywy, cukierki w modelu lokomotywy, zielone skarpetki, i milion innych rzeczy.

Wjeżdża zielony pociąg, niczym strzałą, choć cichutko. Oczywiście dużo ludzi robi zdjęcia. Wsiadamy i po chwili już śmigamy w kierunku Honsiu, mijając po raz drugi podmorski tunel. Wracamy do jazdy podziemnymi tunelowymi na wyspie Honsiu. Osiągamy zawrotną prędkość 325 km/h!!! Po 4 godzinach jazdy docieramy do Tokio. Teraz przesiadka na inną linię, ale najpierw trzeba pokonać pół dworca i jeszcze kilkaset metrów podziemnego przejścia. Boże ilu tu ludzi! Dworzec tokijski to jest porażka. Nie widziałam tak potwornie rozbudowanego podziemnego miasta. Mapa metra, kolei, shinkansena powoduje u mnie zawrót głowy. Pawłowi udaje się zapanować nad zrozumieniem mapy połączeń w Tokio. Mnie to tym razem przerasta. Chcę się szybko wydostać z tego miejsca.

Metro tokijskie. System tokijskich kolei podziemnych tworzą dwie sieci należące do dwóch instytucji: Toei Subway (lub Toei Chikatetsu) pod zarządem Metropolitalnego Biura Ruchu (Tōkyō-to Kōtsū-kyoku) oraz Tōkyō Metro (Tōkyō Metro) należące do Tokyo Metro Co., Ltd. (Tōkyō Chikatetsu Kabushiki-gaisha). Dysponują one łącznie 13 liniami o łącznej długości 312,4 km.

Dodając do tej liczby długość 12,2 km odrębnej, pojedynczej linii Rinkai-sen funkcjonującej w znacznej części pod ziemią, to długość sieci wzrasta do 324,6 km. Wraz z liniami kolei współpracujących, na które wjeżdżają wszystkie lub prawie wszystkie pociągi jadące liniami własnymi metra (i Rinkai-sen), system liczy 820 km (!!!!!). Istnieją też linie kolei aglomeracyjnych i regionalnych, na które wjeżdżają niektóre pociągi jadące liniami własnymi metra. Po ich uwzględnieniu system liczy ponad 900km. Uwzględniając zatem całość sieci kolejowej obsługiwanej tymi pociągami jest to najrozleglejszy system na świecie, a także jeden z najbardziej obciążonych: przewozi dziennie ok. 8 mln pasażerów.

Wielkość sieci metra wynika z wielkości aglomeracji tokijskiej. 23 dzielnice tworzące Tokio liczą łącznie 8,5 mln mieszkańców. W zurbanizowanym obszarze południowego Kantō mieszka ok. 35 mln osób. Funkcjonuje także system aglomeracyjno-regionalny sieci krajowej (kolej JR Higashi Nihon) oraz kilkanaście linii kolei prywatnych i kolei „trzeciego sektora”. Naziemne pociągi JR (Japan Railways) obsługujące zarówno ruch aglomeracyjno-regionalny, jak i wewnątrzmijski, są równie obciążone, jak metro, które spełnia następujące funkcje: zapewnia szybką i wygodną

komunikację na terenie miasta; umożliwia szybkie i punktualne dotarcie do stacji kolei naziemnych, także tych kursujących na liniach regionalnych i dalekobieżnych; zapewnia płynność połączeń w relacjach między miastem i strefą podmiejską.

Spośród 13 linii metra 8 ma wyloty i torowiska prowadzone na ziemi lub ponad gruntem na wiaduktach, zwykle na końcowych i początkowych odcinkach. Łącznie naziemna trasa metra ma długość ok. 32 km, co stanowi zaledwie 10% systemu metra w Tokio. Około 280 km (90%) trasy tokijskiego metra znajduje się w tunelach pod powierzchnią ziemi (!!!). Tokio to niezłe mrowisko podziemne.

Jedną z osobliwości systemu linii własnych metra jest to, że składa się on z dwóch sieci: większej, należącej do państwowo-gminnego konsorcjum Tōkyō Metro, oraz mniejszej sieci Toei, należącej wyłącznie do miasta. Obie sieci są zintegrowane ze sobą za pośrednictwem węzłów przesiadkowych, wspólnie eksploatują też krótki odcinek trasy podziemnej.

Część ludzi właśnie wraca z Disneylandu, bo taszczą kolorowe torby z zakupami, a także są poubierani w disneyowe t-shirty. Udaje nam się z plecakami dotrzeć na właściwą linię. Jeden przystanek i już wysiadamy w dzielnicy Ginza na przystanku Hatchobori. Teraz jeszcze 500 metrów i będziemy w pokoju. Idziemy szukać żółtego budynku. Ufff z radością zrzucam plecak. Hmm lazienka to taki gotowy zestaw, wstawiony do pokoju. Trochę czuję się jak w tojtoju. Gotowy moduł wstawiony do mini mieszkanek. Chwila na odpoczynek i możemy zbierać się zobaczyć parę miejsc w Tokio.

Najpierw jedziemy do dzielnicy Shibuya, aby zobaczyć słynne skrzyżowanie. Subcentrum, w którym mieści się najwięcej domów mody, ekstrawaganckich sklepów odzieżowych, domów towarowych, kin, kabaretów, klubów karaoke, dyskotek i hoteli miłości. Imponujące architektonicznie budynki przykryte są wielkimi ekranami telewizyjnymi i neonami, które jak w kalejdoskopie migoczą i ogłuszają kakofonią dźwięków. W Shibui jest też siedziba NHK, najstarszej i najpotężniejszej stacji telewizyjnej w Japonii. Obiekty te powstały w sąsiedztwie stacji JR Shibuya w miejscu, które ewoluowało od osady, opartej na organicznym, wiejskim planie w formie kilku zbiegających się dróg. Motorem wzrostu była działalność komercyjna kolei dojazdowej *Tōkyū*. Obecna Shibuya to nie tylko popularne miejsce wypadów młodzieży, ale także centrum kulturalne Bunkamura, zbudowane przez korporację zarządzającą obecnie tą koleją. Shibuya jest jednym z najbardziej ożywionych miejsc w Tokio, gdzie życie toczy się całą dobę. W weekendy w zachodniej Shibui odbywają się liczne festiwale filmowe i muzyczne różnorodnych subkultur młodzieżowych.

Japońskie skrzyżowanie bardzo często porównywalne jest z nowojorskim Times Square. Wszystko przez liczne billboardy i kolorowe reklamy umieszczone na pobliskich budynkach. W godzinach szczytu przekracza je na zielonym świetle jednocześnie kilka tysięcy osób!

Jest piątek po 17 więc ludzi tu mnóstwo. Na skrzyżowaniu po pojawieniu się zielonego światła tłum ludzi napływa ze wszystkich stron aby w końcu na środku skrzyżowania się przemieszczać. Mimo że jest już czerwone światło, to ludzie jeszcze biegną. Samochody już wjeżdżają trąbiąc na ludzi. I tak dzieje się co zmianę świateł. Mnóstwo tu turystów, którzy na środku skrzyżowania robią zdjęcia. Dookoła słychać muzykę z różnych sklepów. Gwar tu jest niebywały. Pospiech ludzi także, aż dziwne że w tym biegu i tłumie z nikim się nie zderzają. Robię zdjęcia przy skrzyżowaniu, ale też z pobliskiego Starbucksa, bo z piętra jest lepszy widok na to skrzyżowanie. Obok jest pomnik psa Hatchiko na którym siedzi kot. I mimo tłumów ludzi którzy cały czas go dotykają siedzi u stóp pomnika w najlepsze.



W 1924 Hachikō został przywieziony do Tokio przez swojego właściciela, Hidesaburō Ueno - profesora na wydziale rolnictwa Uniwersytetu Tokijskiego. Hachikō codziennie odprowadzał swojego pana, gdy ten wychodził do pracy i czekał na niego wieczorami na pobliskiej stacji. W maju 1925 Ueno zmarł nagle w miejscu pracy. Hachikō nadal codziennie czekał na niego na stacji, pojawiając się tam przed przyjazdem wieczornego pociągu przez następne 10 lat. Dzięki oddaniu, jakie Hachikō okazywał swojemu zmarłemu panu, nadano mu przydomek "wiernego psa".

W tym samym roku, jeden z wcześniejszych studentów Ueno (zajmujący się rasą akita) zauważył psa na stacji. Idąc za nim trafił do domu w Kobayashi, gdzie poznał historię Hachikō. Krótko po tym spotkaniu opublikował spis psów akita w Japonii. Podczas swoich badań odnalazł jedynie 30 psów tej rasy, wliczając w to Hachikō ze stacji Shibuya.

Były student profesora Ueno często odwiedzał psa i opublikował kilka artykułów opisujących niezwykłą lojalność Hachikō. W 1932 jeden z tych artykułów, opublikowany w dzienniku „Asahi Shimbun”, spowodował ogólnokrajowe zainteresowanie psem. Hachikō stał się sensacją narodową. Jego wierność pamięci pana wywarła wielkie wrażenie na Japończykach, jako przykład wzorowej lojalności w stosunku do rodziny. Nauczyciele i rodzice używali czuwania Hachikō jako wzoru do naśladowania przez dzieci. Znany japoński artysta stworzył rzeźbę przedstawiającą psa, a w całym kraju odradzało się zainteresowanie rasą akita.

Hachikō zmarł 8 marca 1935 z powodu robaczycy serca i płuc. Jego spreparowane szczątki są przechowywane w Narodowym Muzeum Przyrody i Nauki w Ueno w Tokio. W pobliżu stacji ma swój pomnik, a także nakręcono o nim film.

Kręcimy się trochę przy skrzyżowaniu i uliczkach rozświetlonych neonami, fragmentami kreskówek mangi, i reklam, i wsiadamy z powrotem w pociąg aby dojechać do dzielnicy Shinjuku. Do dzielnicy Shinjuku jedziemy aby zobaczyć uliczkę zwaną Zaułkiem Szczyń. Najpierw trafiamy na część podrabiana, a dopiero potem znajdujemy tą właściwą, gdzie w wąskim przejściu między budynkami jest ulokowane bezliku knajpeczek. W każdej pełno ludzi. Siedzą często ściśnięci jak śledzie w beczce. Wybieramy te, gdzie są miejsca. Paweł zjada zupę, ja makaron. Oczywiście wszystkie kuchnie pracują na oczach klienta. Widać co dzieje się z naszą miską jedzenia. Jak odcedzają makaron, jak dodają różnych dodatków do dania. Gdy kończymy okazuje się, że obok jest świetna knajpka z tempurą czyli warzywami w cieście. Więc mimo że jesteśmy dość najedzeni jeszcze dopychamy dwie tempury maczane w rosole sojowym. Pychota.

Po obiedzie idziemy jeszcze pod Metropolitan Government, gdzie bez opłaty można wjechać na 45 piętro i zobaczyć widok na Tokio. Musimy chwilę postać w kolejce, ale na szczęście szybko idzie. Wjeżdżamy na samą górę. Widoki z wieżowca zapierają dech w piersiach. Takiego krajobrazu miejskich wieżowców nierozpościerających się we wszystkich kierunkach jeszcze nie widziałam. Wszędzie błyskają czerwone światelka na szczytach wieżowców. Miasto - moloch. Budynek obok budynku, mniejszy większy, każda wolna przestrzeń nadaje się do zabudowania. Drogi samochodowe, czy pociągów na kilku poziomach. Ludzie niemieszkańcy w blokach nawet na 5 piętrze mogą mieć widok bezpośrednio na szlak transportowy. Koszmarne...

Już późno więc wracamy na nocleg, bo mało czasu zostało nam spania. O 3 musimy wyjść na Tsukiji Market, aby dostać się na aukcję tuńczyków.

### **13 sierpnia (sobota)**

Pobudka o 2:50, szybciotko ubieramy się i pędzimy na Market Tsukiji. Największy na świecie hurtowy targ rybny. Także jeden z największych hurtowych targów żywnościowych w

ogóle. Sprzedaje się na nim wszelkie rodzaje ryb - od sardynek po trzystukilogramowe tuńczyki - oraz inne owoce morza. Targ został założony w 1923, choć tradycja targów rybnych w Tokio sięga epoki Edo, kiedy to pierwszy został założony przez Ieyasu Tokugawę.

Ogólnie, na trzech tokijskich targach rybnych sprzedaje się rocznie ponad 700 tys. ton ryb i owoców morza, a obroty wynoszą około 600 mld jenów (około 5,5 mld dolarów). Sam targ Tsukiji zbywa około 2 tys. ton dziennie, a liczba wszystkich zarejestrowanych pracowników waha się między 60 a 65 tysiącami.

Na szczęście to tylko kilometr od nas. Paweł specjalnie tak wyszukał nocleg, aby było blisko, bo nocą niestety publiczny transport nie działa. Idziemy więc przez spokojne miasto. W pobliżu marketu główna droga zastawiona ciężarówkami. Co chwilę ktoś przejeżdża wózkiem wioząc lód. Gdy docieramy w pobliże punktu rejestracji, okazuje się że niestety w dniu dzisiejszym rozdano 120 wejściówek dla 2 grup już o 2 w nocy i reszcie podziękowano. A tu cały czas napływają kolejni chętni. To chyba efekt tego, że od jutra w Japonii jest święto zmarłych – bon, no i market ma być zamknięty aż do środy. No cóż nie da się nic więcej zrobić. Każdy następny kto przybywa zostaje niestety odesłany. Nie pozostaje nam nic innego jak wracać dalej spać. Kiedy idziemy ulicą, dalej mijamy kolejne osoby chętne zobaczenia aukcji, a tu niestety nie będzie to możliwe.

Wracamy więc do pokoju i śpiemy jeszcze do 8. Rety jakie to łóżko jest twarde. To deski, a na nich materac ala kołdra. Na szczęście pod łóżkiem jest materac. Na kolejną noc napompujemy ten materac. Potem czas wyjść aby obejrzeć dalej miasto. Oczywiście nie może się obejść bez wizyty w sklepie i nieśmiertelnych kanapek.

Rozpoczynamy od powrotu na Tsukiji Market, do części dostępnej dla turysty dopiero od 10 rano, aby wcześniej turyści nie przeszkadzali w handlu. Hale całego marketu są ogromne. To tu zaopatrują się wszyscy ci, którzy potrzebują dużych ilości świeżych owoców morza. Kiedy przechodzimy to większość stoisk już się zamyka, gdyż pracują od godzin nocnych. Akurat owoce morza są pakowane do styropianowych pudeł pełnych lodu. Trzeba uważać na tym bazarze, bo wszędzie jest mnóstwo wody „rybnej” bo trwa mycie stoisk. Obsługa chodzi w gumowcach, a nie tak jak my w sandałach. W wielu punktach owoce morza są jeszcze żywe. Co chwilę obok nas przejeżdżają szybkie wózki. Czasem nawet z żywymi chlapiącymi z beczek rybami. Trafiamy na stoisko tuńczyków, gdzie sprzedawcy kroją na płaty rybę. Obok cała sarta wielkich głów tuńczyka. Dalej z kolei maszyną cięte są fragmenty mrożonego tuńczyka. Każdy znajdzie tu coś dla siebie ale głównie w ilościach hurtowych. Przy głównej hali znajduje się stoisko lodu, gdzie można nabyci bryłę lodu w całości, pociętą na fragmenty, lub też zmieloną w ogromnej maszynie na drobny lód. Jest też miejsce gdzie styropianowe pudła są mielone, bo przy takim obrocie owocami morza sporo pudeł zostaje zużyte. Jest więc możliwość przemielenia zużytych pudeł.

Obok targu znajdują się małe knajpki sprzedające sushi. Ale kolejki do nich mają nawet po kilkadziesiąt metrów. Widocznie są tego warte. To super świeże sushi.

W naszej okolicy idziemy zobaczyć stary budynek zwany wieżą modułową (Nakagin Capsule Tower). Każdy jej moduł to jedno mikroskopijne mieszkanie z okrągłym oknem. Jednym. Coś im się ten budynek sypie, bo okryty jest w całości siatką. Te nowoczesnie zaprojektowane małe pomieszczenia, mają służyć ludziom jako wygodna forma, zapewniająca miejsce do spania, zachowana w minimalistycznym stylu. Prekursorem tego pomysłu był japoński architekt Kisho Kurokawa, który stworzył pierwszy tego typu projekt na świecie. Japończyk stworzył w 1959 roku ruch w architekturze, zwany Metabolist Movement. Ich głównym założeniem było stworzenie futurystycznych budowli, które miały być małe, funkcjonalne i dostępne dla szerokiego grona

odbiorców. Nakagin Capsule Tower położony jest w dzielnicy Shimbashi w Tokio. 14 piętrowy budynek budowany w latach 1970 – 1972, posiada 140 pojedynczych kapsuł, pełniących funkcję mieszkania bądź biura. Nakagin Capsule Tower było inspiracją dla późniejszych hoteli kapsułowych. Kapsuły są przyłączone do szkieletu wieży za pomocą belek mocujących. Mogą być one dowolnie modyfikowane, łącznie z powiększeniem powierzchni. W skład wyposażenia pomieszczenia wchodzi łóżko do spania, minikuchnia oraz łazienka. Przyszłość wieży leży pod dużym zapytaniem, ze względu na brak poparcia dla jego istnienia wśród mieszkańców Tokio.

Przychodzimy drogami na wysokości kilku pięter i trafiamy do centrum handlowego, gdzie właśnie trwa nagrywanie programu telewizyjnego. Publika złożona z samych młodych chłopaków drze się jakby ktoś ich ze skory obdzierał. To ma być aplauz na to co dzieje się na scenie.

Przechodzimy obok wielu szklanych wieżowców, dalej chodniki są na wysokości gdzieś 2 piętra, ale zauważamy że wyżej między wieżowcami wije się kolej monorail. Postanawiamy się nią przejechać do dzielnicy Odaiba, położonej na wyspach. Jedziemy kolejką umiejscowioną jeszcze kilka pieter wyżej. Kolejka jak napisałam wcześniej wije się między budynkami. I nie jest to przesada. Ona faktycznie się wije. Widać że zbudowano ją już po tym jak postawiono budynki, toteż trzeba było jakoś umiejscowić w przestrzeni linię kolei, która wręcz jest nadziemna. Zresztą ani razu nie schodzi do poziomu zero. Przejeżdżamy przez Most Tęczowy też kilkupiętrowy. Widoki na zatokę morską z wieżowcami. Zieleni nie ma tu wiele, bo dominuje zabudowa. W sumie to jesteśmy w jednym z najgęściej zamieszkiwanych obszarów na Ziemi. To megalopolis Tokio-Jokohama, gdzie żyje 40 milionów ludzi. To przekracza liczbę mieszkańców Polski!

Kolejką objeżdżamy całą Odaibę. Przez okna widać, iż przy jednym z gigantycznych centrów handlu i rozrywki trwa koncert na scenie przed budynkiem. My wysiadamy na stacji przy której znajduje się m.in. budynek gdzie można obejrzeć samochody. Tu Paweł kręci się trochę, a ja z kolei idę do centrum rozrywki, gdzie chyba pół Tokio przyjechało spędzać sobotę. Wiele pieter nade mną znajduje się wielka kula, do której Japończycy wjeżdżają windami z kilku stron. Jak gdzieś udaje mi się doczytać to sferyczna kula z możliwością obserwacji, cokolwiek to oznacza. Na dole budynku rozstawione są stragany z jedzeniem, grami. Tłum ludzi korzysta z atrakcji ile wlezie. Gdy przyjrzeć się Japończykom to mają tendencje do tego, że młode osoby – zazwyczaj pary ubierają się w podobne ubrania. Np. Mają dokładnie te same t-shirty. Dzieci danej rodziny często mają takie same ubrania. Albo też matka i córka mają ubrania uszyte z tego samego materiału.

Wracamy do Ginzy, gdzie spacerujemy licami handlowymi, a Paweł w Pandorze kupuje mi kolejny koralik do bransoletki. Jest to azjatycki kot na szczęście. Potem idziemy zobaczyć jak wygląda teatr Kabukiza i postanawiamy przyjść na spektakl w dniu wylotu. W pobliżu teatru wstępujemy na obiad. Ja zjadam się kilkoma rodzajami tempury w sosie sojowym, a Paweł je całą zupę z tempurą.

Ginza to najbardziej na południe wysunięta część historycznego śródmieścia. Ginza była pierwszą w Japonii dzielnicą handlową, w której pojawiły się renomowane domy towarowe, ekskluzywne sklepy odzieżowe i jubilerskie, sklepy oferujące drogą porcelanę oraz wykwintne kawiarnie i restauracje. W dzielnicy tej jest także mnóstwo galerii i teatrów. Niedobór gruntu na powierzchni ziemi i jego kosmicznie wygórowane ceny sprawiły, że mnóstwo butików, drogerii i kawiarni ulokowało się w podziemiach, gdzie liczne wielokilometrowe korytarze i pasaże handlowe łączące stacje metra i podziemne perony dworców kolejowych udekorowano ogrodami krajobrazowymi, fontannami i wystawami dzieł artystycznych.

Potem ja wracam do pokoju, a Paweł jeszcze udaje się sprawdzić, gdzie jest miejsce odjazdu autobusu na lotnisko. Pompujemy materac, no to teraz śpimy na wysokościach. Łóżko wąskie to teraz tylko nie spaść z niego.

### **14 sierpnia (niedziela)**

Dzisiaj wstajemy wcześniej niż wczoraj, bo mamy spory plan zwiedzania do wykonania. Powietrze uszło z materaca dość mocno, ale nie jest jednak tak twardo jak bez niego. Choć nad ranem mało brakowało abym runęła na ziemię. Kupujemy całodzienny bilet na metro, bo będziemy sporo jeździć po Tokio. Najpierw jedziemy do muzeum sumo, ale niestety nici ze zwiedzania, gdyż okazuje się być w dniu dzisiejszym zamknięte z racji jakichś zawodów, ale nie sumo.

Czas więc pojechać do dzielnicy Asakusy, gdzie najpierw idziemy zobaczyć Kaminari-mon czyli „Bramę Grzmotów” z wielkim lampionem (Fūraiin-mon). Lampion ten jest dość wyjątkowy, ma 4 metry wysokości, prawie 3.5 metra w obwodzie i waży 670 kg (!). Jest to tak zwany chōchin, typ lampionu wykonany z bambusa i obłożony papierem. Za bramą znajdują się sandały ze słomy, które ważą 400 kg. Za bramą rozciąga się uliczka Nakamisa Dori, na której można zakupić japońskie pamiątki. Tutaj nabywam drewnianą japońską laleczkę. Uliczka z pamiątkami przeżywa oblężenie turystów. Nie da się normalnie iść, tylko powoli za tłumem. Zapuszczamy się w mniej uczęszczaną uliczkę, gdzie na wyprzedzący w indyjskim sklepie kupuję spodnie szyte na japońską modę. Czyli tzw. spódnico-spodnie. Dalej idziemy aby zobaczyć świątynię Seonseji. Tym samym dochodzimy do głównego budynku świątyni, która przez wielu uważana jest za najważniejsze miejsce kultu buddyjskiego w Tokio. Historia Sensō-ji sięga pierwszej połowy VII wieku i jak to w Japonii bywa z jej początkami powiązana jest legenda. Według jednego ze zgromadzonych przeze mnie przewodników historia ta przedstawia się następująco: „W 628 roku dwaj rybacy wyłowili z rzeki Sumida mały złoty posążek Kannon, buddyjskiej bogini miłosierdzia. Ich pan wznosił kaplicę Kannon, a w 645 roku święty mąż Shokai wybudował świątynię ku czci bogini.” Świątynia ta jest zatem najstarszą świątynią w Tokio – ma prawie 1400 lat. Główny budynek, znany często jako Kannon-dō, czyli „Sala Kannon”, który można podziwiać dzisiaj, został wybudowany dopiero w 1958 roku, ponieważ świątynia została prawie całkowicie zrównana z ziemią podczas amerykańskich nalotów w 1945 roku. Mimo, że udało się jej przetrwać między innymi ogromne trzęsienie ziemi z 1923 roku, niestety nie miała szans z niszczycielską mocą bomb. Tak samo położona obok pięciokondygnacyjna pagoda, która wygląda, jakby strzegła tego miejsca od wieków, ma tak naprawdę dopiero 40 lat. Nie rozumiem skąd bierze się tylu turystów. Oszaleć można. Nie pozostajemy tutaj długo i postanawiamy zniknąć z tego tłumu. Idąc dalej możemy zobaczyć wysoką wieżę Skytree, a także budynek browaru Asahi, który został zaprojektowany przez Philippe Starcka. To, co dla sławnego designera miało być „złocistą pianką na kuflu pełnym piwa”, czy też „płomieniem mającym symbolizować serce browaru Asahi”, dla tokijczyków jest po prostu „złotą kupą”.

Przebijamy się przez tłum turystów do metra, aby pojechać do Akihabary - największego na świecie centrum sprzedaży sprzętu elektronicznego i elektrotechnicznego. Wielopiętrowe domy towarowe i olbrzymie komisje słyną z niezwykle bogatej oferty sprzętu komputerowego, sprzętu audio i wideo, zestawu AGD, lamp i urządzeń rolniczych sprzedawanych po promocyjnych cenach, niejednokrotnie znacznie niższych, niż w innych krajach. Akihabara jest także jednym z największych w świecie centrów mangi i anime, gdzie można dostać każdy komiks, film i grę komputerową japońskiej produkcji. Akurat od 13 w niedzielę główna droga jest nieczynna dla samochodów, więc tłum zakupowiczów z każdą chwilą gęstnieje. Do lokali gastronomicznych zapraszają kolorowo ubrane Lolity, którym nie można robić fotek, bo albo mają kartkę z napisem

„no photo”, albo zasłaniają się parasolkami. Wchodzimy do sklepu Animate, gdzie na kilku piętrach są same komiksy. No i oczywiście tłum kupujących. Co ludzie widzą w tych komiksach to nie mam pojęcia. Tutaj normalnej książki kupić się nie da. Wszystko to komiksy anime. Kolejny sklep to dla odmiany lalki z kreskówek anime, które osiągają niebywałe ceny. Najwięcej klientów to... Chińczycy.

W Akihabarze do McDonalda na lody i hamburgera. Lody jak na całym świecie smakują dokładnie tak samo. Natomiast jeśli chodzi o hamburgery, to często oprócz światowego zestawu, w menu znajdują się lokalne wariacje.

Właśnie nie napisałam o kolejnej ciekawostce, która jest zarówno w Korei, jak i Japonii... w restauracjach nie zostawia się żadnego napiwku! Płaci się dokładnie tyle ile wynosi rachunek. Koniec i kropka.

Na ulicach Akihabary można spotkać osobliwości w postaci pana, który w kapciu jak na smyczy ciągnie pokemona Pikaczu!????? O tyle zostaje mi napisać. Co jakiś czas można też spotkać osobliwe ubrane osoby, w krótkich sukienkach lub spódniczkach z dwoma kitkami, przypominające lolity. Z wielu budynków dochodzi muzyka. W momencie jak się nakładają, to jazgot jest niezły. Niektóre kawiarnie mają kelnerki w strojach lolit.

Z Akihabary jedziemy do Harajuku, tutaj na moście Jingubashi jest największe prawdopodobieństwo spotkania kolorowych cosplayów, lolit, gothów. Ale pustki. Jedną gotkę spotkaliśmy w metrze. Przerklamowane to jest. W pobliskiej hali koncertowej ma się rozpocząć koncert chyba jakiegoś japońskiego bożyszcze nastolatek. Ciągną ich tam tysiące, poubieranych w popowym stylu, czasem w koloro wych włosach, ale koniecznie ze zdjęciem artysty. Wrzawa jest wielka.

Kolejne miejsce to plac, gdzie akurat jest spotkanie japońskich miłośników rock and rolla, którzy w jeansowych ubraniach, w fryzurze ala Presley tańczą do amerykańskich hitów. Idziemy jeszcze przez wielki park z ogromnymi starymi drzewami, do znanej świątyni szintoistycznej Meiji jinga. Oczywiście turystów bez liku.

Czas jeszcze wrócić do dzielnicy Shibuya, aby raz jeszcze popatrzeć na słynne skrzyżowanie. Ludzi tu chyba jakby więcej niż w piątek. Muzyka gra ze wszystkich okolicznych sklepów, neony migają, ludzie się przemieszczają w ekspresowym tempie. Znowu można spotkać oszołomów. Tym razem kobieta przebrana za Pikaczu i obwieszona lampkami niczym choinka. Zwariowanych ludzi w Japonii nie brakuje.

Paweł odkrywa knajpkę w której jest sushi. Siada się przed monitorem tableta i zamawia 3 sushi, po czym po kilku minutach trzy talerzyki podjeżdżają po jednej z trzech szyn umieszczonych przed stolikiem. Jak chce się więcej zamówić trzeba dokonać kolejnego zamówienia. Na raz może przyjechać 3 sztuki. Ale to śmieszne. Ogląda się obrazki sushi, wybiera, zatwierdza i czeka, aż przyjedzie. Je się z monitorem...

Po sushi wracamy do naszej Ginzy. Jutro ostatni dzień w Japonii...

### **15 sierpnia (poniedziałek)**

No ostatni dzień w Japonii. Czas rozpocząć od pakowania plecaków. Uff uciążliwe to. Zwłaszcza, że trzeba zabezpieczyć Pawła butelki z japońską whisky. Kiedy nam się udaje to wszystko ogarnąć, zjeść śniadanie przyniesione ze sklepu. Ostatni raz kanapki z chleba tostowego. Po czym wychodzimy na ulicę, aby złapać taksówkę, która podrzuci nas do biura, z którego mamy

kupione bilety autobusowe na lotnisko. Tu zostawiamy nasze bagaże, aby jeszcze większość dnia spędzić na łażeniu po Tokio.

Chcemy udać się na jeden akt do teatru Kabukiza. To jeden z rodzajów tradycyjnego teatru japońskiego, wywodzący się z XVII wieku. Teatr kabuki jest znany z bogatej oprawy przedstawień, silnej ekspresji i wyszukanej charakterystyki aktorów.

Znaki kanji, czytane od lewej do prawej, znaczą kolejno: śpiew, taniec i umiejętność. Z tego powodu kabuki jest niekiedy tłumaczone jako "sztuka śpiewu i tańca". Są to jednak ateki, czyli znaki nie oddające właściwej etymologii. Uważa się, że słowo "kabuki" wywodzi się od czasownika kabuku, oznaczającego "przechylać się w jedną stronę", ale też "wybijać się ponad przeciętność", a zatem kabuki może być interpretowane jako "awangardowy" lub "dziwaczny" teatr.

Historia kabuki rozpoczęła się w 1603, gdy Izumo no Okuni, nazywająca siebie kapłanką Izumo-taisha, rozpoczęła występy, prezentując nowy styl sztuki tanecznej w suchym korycie rzeki w Kioto. Aktorki grały zarówno role męskie, jak i żeńskie w komicznych sztukach o życiu codziennym. Ten rodzaj teatru natychmiast zyskał ogromną popularność. Okuni została nawet zaproszona do występu przed dworem cesarskim. Na fali tego sukcesu, szybko powstały konkurencyjne grupy i tak narodziło się kabuki, jako taneczna sztuka wystawiana przez kobiety – forma bardzo odmienna od jego dzisiejszej postaci. Duża część popularności kabuki w tym okresie wiązała się z rubasznymi, sugestywnymi występami wielu naśladowców. Te aktorki często były dostępne jako prostytutki, a ta część męskiej widowni, która mogła sobie na to pozwolić, swobodnie korzystała z usług tych kobiet. Z tego powodu w okresie Edo kabuki było również zapisywane jako "śpiewająca i tańcząca prostytutka".

Nieokrzesana i często brutalna atmosfera przedstawień kabuki przyciągnęła uwagę rządu Tokugawów i w 1629 kobietom zabroniono występów na scenie; jako powód podano ochronę moralności. Część historyków sugeruje, że rząd był również zaniepokojony popularnością sztuk kabuki, przedstawiających zwykle życie (a nie heroiczną przeszłość) oraz przenoszących na scenę niedawne skandale, niektóre z udziałem przedstawicieli administracji.

Ponieważ kabuki było już bardzo popularne, po wykluczeniu kobiet z udziału w przedstawieniach ich rolę przejęli młodzi aktorzy płci męskiej. Wraz ze zmianą płci aktorów przyszła zmiana w rozłożeniu akcentów w przedstawieniach: większy nacisk zaczęto kłaść na akcję sceniczną niż na taniec. Jednakże przedstawienia były równie rubaszne jak wcześniej, a aktorzy nadal uprawiali prostytutkę (także dla męskiej części widowni). Widownia często się awanturowała, niekiedy wybuchały bójki, część o przychylność jakiegoś szczególnie przystojnego młodego aktora. Doprowadziło to do wprowadzenia przez siogunat w 1652 zakazu występów młodych chłopców.

Od 1653, jedynie dojrzały mężczyźni mogli występować w kabuki, które przekształciło się w wyrefinowaną, bardzo stylizowaną formę nazywaną yarō kabuki (w swobodnym tłumaczeniu, "kabuki facetów" lub "kabuki koleżków"). Ta przemiana stylu była w dużym stopniu wynikiem wpływu bardzo popularnego w tym czasie teatru komediowego kyogen. Obecnie "yarō" zostało zarzucone, ale aż do niedawna wszystkie role w kabuki były grane przez mężczyzn. Mężczyźni grający role kobiece są nazywani onnagata lub oyama. Onnagata zwykle pochodzą z rodziny specjalizującej się w rolach onnagata. Pozostałe z podstawowych typów ról to aragoto (szorstki styl) i wagoto (miękki styl)

W okresie Genroku kabuki weszło w fazę prawdziwego rozkwitu. W tym czasie sformalizowano strukturę sztuki kabuki oraz wiele innych elementów stylizacji. Ustalono stereotypowe typy bohaterów. Teatr kabuki oraz ningyō; jōruri (wyszukana forma teatru lalkowego, w późniejszym czasie znana jako bunraku) były w tym czasie mocno ze sobą powiązane i

wzajemnie wpływały na swój rozwój. Słynny dramaturg Chikamatsu Monzaemon, jeden z pierwszych zawodowych autorów sztuk kabuki, stworzył kilka znaczących prac, choć dziełem zwykle uważanym za najwybitniejsze jest Sonezaki Shinju (Samobójstwo kochanków w Sonezaki), początkowo przeznaczone dla bunraku. Jak wiele innych sztuk bunraku została ona zaadaptowana dla kabuki, a także stała się źródłem inspiracji dla wielu naśladowców. W rzeczywistości ta i inne podobne sztuki wywołały tak wiele wzorowanych na nich prawdziwych samobójstw, że w 1723 rząd zabronił wystawiania shinju mono (sztuk o podwójnym samobójstwie kochanków). W okresie tym żył także Ichikawa Danjuro; zasłużył się rozwojem późnie oraz przypominającego maskę makijażu kumadori.

W połowie XVIII wieku kabuki na jakiś czas straciło na popularności, ustępując miejsca bunraku w roli głównej rozrywki niższych klas. Stało się to między innymi z powodu pojawienia się jednocześnie kilku utalentowanych dramaturgów bunraku. W rozwoju kabuki nie zdarzyło się nic wartego wzmianki aż do końca stulecia, gdy forma ta zaczęła wracać do łask.

Olbrzymie zmiany kulturowe w 1868 związane z upadkiem siogunatu Tokugawów, likwidacja klasy samurajskiej oraz otwarcie Japonii na Zachód miały wpływ na powrót kabuki. Podczas gdy kultura starała się dostosować do warunków po zniesieniu izolacji, aktorzy dążyli do poprawy reputacji kabuki wśród wyższych klas i do zaadaptowania tradycyjnego stylu do współczesnych gustów. Ostatecznie starania te zakończyły się sukcesem – doszło nawet do prezentacji przedstawienia w obecności cesarza Meiji.

Wiele teatrów kabuki zostało zniszczonych podczas bombardowań w czasie II wojny światowej, a przez krótki okres po wojnie przedstawienia kabuki były zabronione przez władze okupacyjne. Zakaz został jednak zniesiony w 1947 i przedstawienia wróciły na deski teatrów.

We współczesnej Japonii kabuki pozostaje dość popularne (jest najpopularniejszą formą tradycyjnego teatru japońskiego), a najwybitniejsi aktorzy często pojawiają się w rolach telewizyjnych i filmowych. Przykładowo, dobrze znany onnagata, Bando Tamasaburo V, zagrał w kilku sztukach (nie związanych z kabuki) i filmach, występując często w rolach kobiecych.

Niektóre zespoły kabuki wykorzystują obecnie kobiety do ról onnagata. Po II wojnie światowej założono Ichikawa Kabuki-za, trupę składająca się wyłącznie z kobiet. Niedawno w pobliżu dzielnicy Pontochō w Kioto postawiono pomnik "założycielce" kabuki, Okuni.

Scena kabuki posiada przedłużenie zwane hanamichi (dosłownie: kwiecista ścieżka). Jest to pomost wchodzący w widownię, za pomocą którego rozgrywane są wejścia i wyjścia bohaterów. Sceny i teatry kabuki stopniowo stają się coraz bardziej wyrafinowane technologicznie. Innowacje takie jak obrotowa scena i zapadnie, wprowadzone w XVIII wieku, znacznie wzbogaciły inscenizację sztuk kabuki.

W kabuki, podobnie jak w niektórych innych rodzajach japońskiej sztuki scenicznej, sceneria zmienia się niekiedy podczas trwania sceny, z aktorami pozostającymi na scenie i przy podniesionej kurtynie. Obsługa wchodzi na scenę, dodając i usuwając rekwizyty, tła i inne elementy scenerii. Członkowie obsługi, zawsze ubrani całkowicie na czarno, tradycyjnie są uważani za "niewidzialnych".

Istnieją trzy główne kategorie sztuk kabuki: jidai-mono (historyczne); sewa-mono (domowe; inaczej – z życia współczesnego); shosagoto (taneczne)

Wśród ważnych elementów teatru kabuki znajduje się mie – aktor utrzymuje wystylizowaną pozę, aby mocno określić charakter lub emocje swojego bohatera. Keshō, lub charakterystyka, jest cechą stylu łatwo rozpoznawalną nawet przez osoby nieorientowane w tej formie sztuki. Pył

ryżowy jest używany do stworzenia białego podkładu oshiroi, a kumadori zmienia lub wzmacnia do przesady rysy twarzy, aby uzyskać dramatyczną zwierzęcą lub nadnaturalną maskę dla aktorów.

Jeden spektakl trwa od rana do późnych godzin popołudniowych z kilkoma przerwami, tak że turysta może wejść na 1 akt. Przychodzimy pod teatr i ustawiamy się w kolejce, aby kupić bilety na akt rozpoczynający się za półtorej godziny. Potem już z biletami zostajemy odesłani na 4 piętro, gdzie znajduje się specjalny sektor wejść na jeden akt. Zostajemy ustawieni w kolejkę wg numerów kupna biletu. Mamy farta, bo okazuje się że miejsc siedzących jest 70, a my mamy numery 68 i 69, więc przez godzinę i 20 minut sobie siedzimy, oglądając przedstawienie. Niewiele z niego rozumiemy. Za wyjątkiem 3 słów: arigato- dziękuję, gozaimasu-bardzo, sake... - sake. Mimo kilku zdań wprowadzających do przedstawienia niewiele wiadomo o co chodzi. Jest to komedia. I jak widać śmieszna, bo Japończycy co chwilę się śmieją. Z całej akcji rozumiemy na pewno dwa momenty, kiedy jeden z aktorów i ukręca głowę małpie, bo to go ugryzła, i to jak jeden drugiego realnie wali miską po głowie. Słysząc jak dudni. Ogólnie sala teatralna jest wielka, a głos niesie się fantastycznie. Japończycy bardzo szybko mówią. W teatrze grają sami mężczyźni, nawet role kobiece.

Po spektaklu zjeżdżamy do teatralnego lobby, gdzie znajduje się milion stoisk z pamiątkami, można też degustować ciastka, pikle itp. Wcale się nie dziwię, że to miejsce jest tak rozbudowane, jeśli Japończycy dla danej sztuki przychodzą tu na cały dzień. I wcale nie jest to takie drogie, bo najtańszy bilet to koszt około 120 zł.

Po obejrzeniu sztuki idziemy na handlową ulicę Ginzy. Paweł fotografuje ciekawe budynki. Do sklepów praktycznie nie wchodzimy, bo tu same Channel, Gucci, Armani... więc wszystko za przysłowiowe milion jenów. W budynku Sony, można popробować najnowsze modele aparatów fotograficznych, obejrzeć film z oceanarium na Okinawie, a także zobaczyć dziwne materiały, z których są zrobione zegarki, czy torebki, które zmieniają swój kolor.

W sklepie Appla, można nie tylko kupić telefony, komputery, czy tablety, ale wziąć udział w szkoleniu z obsługi smartfona. Na sali wykładowej Japończyk pokazuje na ekranie opcje telefonu, a ludzie się uczą jak go obsługiwać.

Dzielnica jest pełna takich sklepów. Co zaskakujące, zazwyczaj budynek nie jest obwieszony reklamami. Trzeba albo wiedzieć wcześniej gdzie coś się znajduje, albo zapoznać się ze spisem sklepów w danym budynku. Dzięki temu dzielnica wygląda na handlową, ale nie jest krzykliwą od reklam.

W jednym miejscu trafiamy na zgrupowanie ludzi, jak się okazuje jest to degustacja różnych sake i win japońskich. Wystarczy zapłacić 300 jenów, czyli 12 zł i dostaje się kubeczek, z którym idzie się po stoiskach. Na niektórych z nich Lolity jak z najgorszego koszmaru. Nie wiem dlaczego ale większość etykiet na butelkach to z kreskówki japońskiej mangi. Kosztujemy w tempie ekspresowym różnych trunków. Można się przekonać że sake wcale nie jest zła, jeśli jest z wyższej polki. Mnie najbardziej smakują wina śliwkowe. Szkoda że nie ma u nas takich. Zwłaszcza śliwkowe z miodem. To jest przepyszne. Po półgodzinnej degustacji w tym szaleńczym tempie, zaczynamy czuć, to co wypiliśmy więc czas się zbierać. Idziemy jeszcze oglądać kilka ciekawych architektonicznie budynków, po czym czas zacząć szukać obiadu. Co okazuje się dość trudne, gdyż do 17 jeszcze sporo czasu, a dopiero wtedy otwierają się knajpki. W końcu postanawiamy iść do marketu i kupić obiad w pudełkach, aby tam nma go zagrzano i zjemy już w agencji biletowej. Kupujemy japońskie tonkatsu, czyli kotlet w sosie z ryżem i idziemy do agencji, gdzie to sobie w spokoju zjadamy. Po czym zabieramy bagaże i idziemy na pobliski przystanek, aby wsiąść do autobusu Keisei, który zawiezie nas na odległe 60 km lotnisko Narita. Po 4 minutach wyjeżdżamy



w centrum Tokio na autostradę. Jak należy się domyśleć jest to droga na poziomie któregoś pietra. Dużo czasu upływa zanim zjeżdżamy do poziomu zero.

Po godzinie jesteśmy na lotnisku. Tutaj najpierw idziemy umyć się do łazienki i przebrać w nowe ubrania. Hmm coś nie ma osobnych toalet dla niepełnosprawnych. Ja zajmuję kabinę dla matki z dzieckiem, więc mam umywalkę, a Paweł musi sobie radzić w męskiej. Zresztą nie jesteśmy jedynymi, którzy w ten sposób się odświeżają po całym dniu chodzenia po Tokio. Na szczęście Tokio nas oszczędziło i takich upałów jak były przez pierwsze 3 tygodnie pobytu w Azji już tu nie było.

Teraz ustawiamy się w mega kolejce, do nadania bagażu. Pierwszy raz waza mi bagaż podręczny, bo dozwolona jest jedna sztuka, a ja mam dwie, gdyż drobne pamiątki przerzuciłam do siatki. Na szczęście plecaczek i siatka mieszczą się w ciężarze i mogę zabrać obie rzeczy. Inni turyści jak mają zbyt ciężki bagaż podręczny są odsyłani do przepakowania się.

Przychodzimy przez kontrolę bezpieczeństwa, odprawę paszportową i już pozostaje nam nie za wiele czasu do boardingu do samolotu. Po drodze do naszego gate'a trafiamy na Toto Showroom, czyli kilka japońskich toalet w pełni wyposażonych i można z nich korzystać. Firma ta zajmuje się produkcją tzw. washletów, czyli myjących toalet. Mają milion funkcji. Każda taka toaleta posiada podgrzewaną deskę klozetową, cały panel sterujący, który może być zamontowany na ścianie, może być poręcz jak w krześle, albo wręcz w stojaku na papier toaletowy. Latam więc jak wściekła (Paweł znowu mnie porównuje do ratlerka w mięsny) i filmuję różne toalety, które same zamykają kłapy. Odjazdowe to wyposażenie mają Japończycy. To czemu jako pralki używają czegoś ala Frania???? Jest nawet na telewizorze film instruktażowy, tak śmieszny że aż go nagrywam. W jednej z toalet zderzam się wychodząc z kabiny z otwierającą się klapą, bo akurat stanęłam na przeciwko toalety i wykonałam obrót do wyjścia, kłapa się otworzyła i walnęła mnie z tyłu w plecaczek. No to mam na koniec atrakcje. Paweł nie może mnie wyciągnąć z toalety, bo muszę obejrzeć wszystkie.

Ok. 21 zaczyna się boarding naszego samolotu. Jest wypełniony do ostatniego miejsca. Z Tokio wylatujemy o 22:15 z kwadransem spóźnienia. Przed nami 9 godzin i 55 minut lotu. Zjadamy późną kolację. Rety w końcu są jakieś owoce! Brakowało mi ich w Japonii, bo bardzo drogie, w porównaniu do polskich. Na dodatek na pokładzie samolotu można oglądać na żywo olimpiadę w Rio. Akurat trwa finał rzutu młotem. Anita Włodarczyk jest nie do pokonania. Po drugim rzucie odstawia o 5 metrów drugą zawodniczkę i ustanawia rekord świata na 82,29m. Obłęd. Komentator angielski jest pełen podziwu. W jego wypowiedzi co chwile pada słowo fantastic.

Po finale rzutu młotem i zjedzeniu kolacji czas iść spać... zakładam „naoczni” będące w zestawie linii Emirates, puszcza sobie spokojną muzykę relaksacyjną i... zapadam w sen na 6,5 godziny!

## **16 sierpnia (wtorek)**

Budzi mnie ruch w samolocie w związku z serwowaniem śniadania. O ludu dawno nie spałam tyle godzin. Czas zjeść śniadanie, które już tak nie smakuje jak kolacja. Eh ta wysokość i zmiana odczucia smaku plus jakoś samego jedzenia...

W Dubaju lądujemy o 3:10 lokalnego czasu, dla nas to już 8:10 więc jesteśmy wyspani. Przechodzimy przez kontrolę bezpieczeństwa, gdzie jak to było w drodze do Azji moje sandały piszczą na bramkach. Na lotnisku jeszcze cisza i spokój.

Idziemy z terminala A do B, gdzie trochę chodzimy po sklepikach, po czym z naszym voucherem (za długi pobyt na lotnisku) udajemy się do kawiarni na dobrą kawę i wrapy z kurczakiem. Tu czekamy na naszego kolegę Kubę, który wraca Birmy.

Przed naszym odlotem na lotnisku już jest gwarno. Od 7 rano zaczynają się loty kolejnego dnia. Ci co przylecieli w nocy teraz lecą dalej. Ludzi jest tyle, że nie ma miejsc siedzących. W łazience damskiej dzieje się to co zwykle. Rewia mody arabskiej. Tu zmieniają swoje ubrania Arabki, które lecą do Europy. Pozbywają się swoich czarnych sukman, na rzecz zachodnich ubrań, rozpuszczają włosy, robią makijaż. Natomiast te które będą wracać do krajów arabskich wskakują w czarne hidżaby. Co roku kiedy tu jestem obserwuję to samo.

Przed bramkami na lot do Warszawy dużo Polaków, ale o dziwo nie da się za bardzo rozpoznać skąd lecą. Jest kilka osób w indyjskich spodniach, ktoś wiezie wietnamskie kapelusze. Jest też Polak, który w opakowaniu wiezie kompletny złoty indyjski strój ślubny pana młodego. To intrygujące. Ciekawe czy kupił to jako kostium, czy może to z jego ślubu...

Pakujemy się do samolotu, którego wylot planowany jest na 8:05, ale wylatujemy z opóźnieniem o 8:33, bo samolot nie stoi przy rękawie tylko na jakimś wygwizdowie lotniska. Sporo czasu wiozą nas autobusami do samolotu, co oczywiście powoduje opóźnienie. No nie ma co się dziwić Warszawa, to nie takie miasto jak Rzym, Paryż czy Londyn.

W samolocie sporo polskiej obsługi i jak zawsze wzmocnionej o stewardów. Chociaż jakby Polacy w samolocie pili mniej. Czyżbyśmy się w końcu zmieniali na lepsze? Przed nami 5:31 minuty lotu. Dwa posiłki śniadanie i lunch. Kolo południa powinniśmy wylądować na warszawskim lotnisku. I tak się dzieje. Samolot o 12:04 ląduje na Okęciu. A potem szybko bagaże, paszporty, i szybko na kolejkę aby zdążyć na dworzec Warszawa Zachodnia skąd mamy pociąg do Krakowa, na którego mamy już bilety, więc dobrze byłoby, aby wszystko poszło zgodnie z planem.

W Krakowie jesteśmy o 16, a pół godziny później w domu...

Zakończenie:

Czas pożegnać się z Azją. Czy mnie zaskoczyły Korea i Japonia? Ależ jak zawsze tak. Wcale tak dużo osób nie chroni obsesyjnie swojej skóry przed słońcem. O dziwo Japończycy nie chodzą masowo w maseczkach jak mi się wydawało. Poza tym myślałam, że jednak w Japonii bardziej widać zagęszczenie ludzi, ale skoro potrafią być nawet kilka pięter pod ziemią, to nie są tak widoczni. Niczym mrówki i krety wydrążyli podziemne miasta. Japonia wcale nie jest tak wymuskana jak mi się wydawało z racji bogactwa kraju. Budynki są szare i wysokie, brakuje im koloru. Samochody muszą się mieścić na wąskich parkingach. Ale za to szybkość przemieszczania się shinkansenem, to jest po prostu bajka.

Wyspa Hokkaido taka japońska prowincja z polami i wioskami. Ogromna kultura Japończyków – poczynając od obsługi w sklepach, a kończąc na tym, że wiedzą iż nie rozmawia się przez telefon w pociągu. W obu krajach duże wrażenie zrobiły na mnie wulkany.

W Korei powaliła mnie jaskinia lawowa Manjanggal. To było mistrzostwo świata. Długo jej nie zapomnę. Koreański kult elektroniki, gdzie większość ludzi jest stale do czegoś podłączona, mnie naprawdę zadziwił. No i japońskie toalety... mogą wszystko: grać, czyli zagłuszać, aby człowiek się nie krępował, myć, suszyć, a nawet dokonywać masażu o różnym stopniu natężenia! W życiu tyle czasu nie spędziłam w toaletach, jak w Japonii! Japoński brak śmietników... ale i braku śmieci na ulicach, o czym pisałam już wcześniej. Obie rzeczy niby się wykluczają, ale działają w tym kraju.

No i kuchnia... nie ma nic przeciwko japońskiemu sushi, ale zdecydowanie wolę kuchnię koreańską z kimbapem, czy lodową zupą. Chociaż ramenowe zaułki w Sapporo, czy Tokio w wąskich uliczkach są naprawdę urokliwe.

Obu krajów nie da się porównać do tych miejsc, które widziałam w Azji do tej pory, bo to jednak inna liga ekonomiczna, ale muszę przyznać, że mimo początkowych wątpliwości co do wyboru miejsca tegorocznych wakacji, jestem z nich zadowolona, bo udało mi się zweryfikować wiele informacji o tych krajach. Ale jest też i smutniejsza sprawa... na każdym wyjeździe do Azji można było „pobratać” się z mieszkańcami w mniej lub bardziej znanym nam języku, albo po prostu na uśmiechy. W czasie całego wyjazdu tym razem udało nam się raz nawiązać rozmowę z Koreańczykiem – emerytem. I to było wszystko przez cały miesiąc. Dla Koreańczyków i Japończyków byliśmy niczym niewidzialny obłok, na który nikt nie zwracał uwagi. W związku z tym wiedzę o tych krajach trzeba było czerpać głównie z obserwacji. Co kraj to obyczaj... Ale tak zamkniętych narodów nie miałam okazji poznać wcześniej...